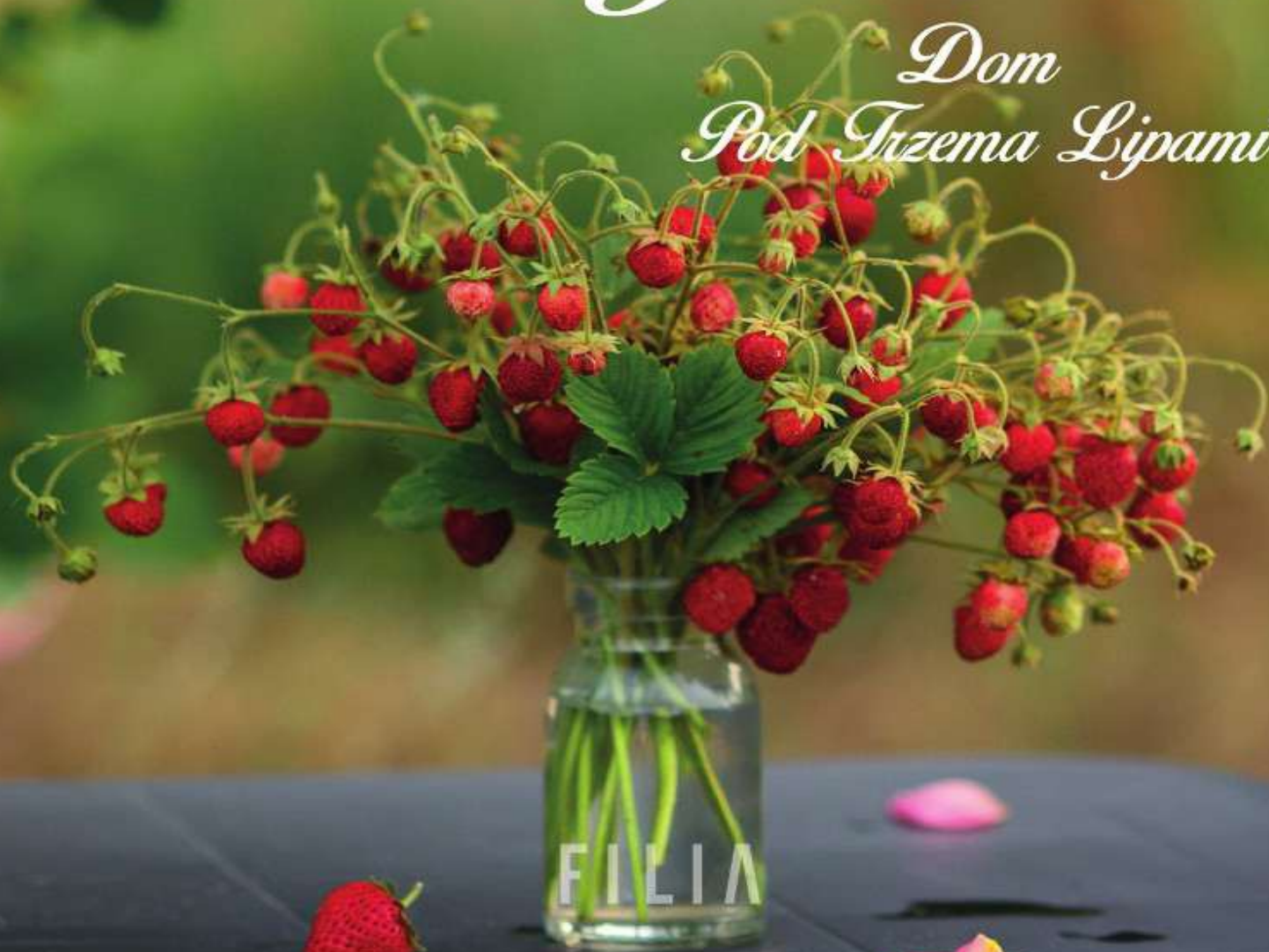




AGNIESZKA JEŻ

*La siódma  
górra*

*Dom  
Pod Trzema Lipami*



AGNIESZKA JEŻ

*La siódma  
górá*

*Dom  
Pod Trzema Lipami*

FILIA

# Prolog



Delikatny trzepot skrzydeł motyla może wywołać tajfun na drugiej półkuli.

To tylko przerośnia, poetyckie widzenie świata, powie ktoś. Przecież to nieprawdopodobne, by subtelne drgnienie wywołało sztormy i burze.

A jednak. Siedemdziesiąt lat temu amerykański matematyk i meteorolog Edward Lorenz prowadził badania nad przewidywaniem pogody. Opracował system, który miał umożliwić przygotowywanie długoterminowych prognoz. Zauważył jednak, że nawet najmniejsza ingerencja w wielkość wprowadzanych danych, ot, taka jak zaokrąglenie liczb, powoduje, że symulacja zaczyna wyglądać zupełnie inaczej – zmiany następują lawinowo. Na wykresie układ równań obrazujących tę sytuację miał kształt motyla, stąd nazwa – efekt motyla.

Uczciwi meteorolodzy stawiają więc sprawę jasno: dokładna ocena bieżących warunków pogodowych nie jest możliwa, a zatem błędy w obliczeniach sprawiają, że długoterminowe prognozy po prostu się nie sprawdzają. Równie dobrze można by lać wosk lub stawiać pasjansa.

Subtelny i lekki jak mrugnięcie rzęs trzepot pergaminowych skrzydełek kruchego motyla, od którego zrywają się wichry i burza morza.

Skoro on może tak wstrząsnąć naturą, to jaki efekt wywoła szamoczące się w piersi serce, rozhuśtane przez przelotne spotkanie na dworcu?...

## Rozdział pierwszy



Przypadek. *Przypadek*. Ten pierwszy odnosi się do tego, co przed półgodziną przytrafiło mi się na Dworcu Głównym w Krakowie. Ten drugi to trzy różne warianty życia bohatera filmu Kieślowskiego – studenta, który w pędzie wpada na peron i: 1. w ostatniej chwili wskakuje do pociągu i odjeżdża; 2. próbuje wskoczyć, ale zatrzymuje go sokista i po szarpaninie nie pozwala mu na podróż, a cała sprawa kończy się w sądzie; 3. nie udaje mu się wskoczyć do wagonu i wraca do domu. Niby nic takiego, jedno niewinne wydarzenie – jaki to może mieć wpływ na całe życie? U Kieślowskiego – ogromny. Ten moment, kilka sekund na dworcu, decyduje o dalszym losie. Trzy historie biegną zupełnie innymi torami, kogo innego bohater poznaje w pociągu, podczas robót, na które skazuje go sąd, w drodze powrotnej z dworca do domu. Te spotkania zaś owocują kolejnymi wydarzeniami, które niosą ze sobą określone konsekwencje i tak dalej, i tak dalej...

Wiele lat temu, kiedy oglądałam ten film, byłam pod wrażeniem scenariusza i gry aktorskiej. Świetny pomysł na fabułę, zachwycałam się. Taka teoretyczna, wysmakowana zabawa. Zupełnie nie odnosiłam tego obrazu do swojego życia, które wtedy było poukładane jak fiszki w drewnianych szufladach biblioteki uniwersyteckiej. Dobrze się uczyłam, odbierałam kolejne świadectwa z czerwonym paskiem, które zaprowadziły mnie na

Wydział Farmacji. Wszystko zgodnie z planem, żadnych nieprzewidzianych sytuacji. Prywatnie było tak samo – ten sam Paweł, pierwszy chłopak, który miał zostać pierwszym i ostatnim mężem. Wiodłam uładzoną, prostą egzystencję, która zupełnie się nie nadawała na scenariusz filmowy. Nuda i porządek. A potem...

Od kilku miesięcy w moim życiu panował chaos. Kiedy Paweł mnie rzucał, wydawało mi się, że świat się właśnie kończy. Tymczasem on się dopiero zaczynał. I miał dla mnie zupełnie nowy scenariusz – jak u Kieślowskiego. Albo jak w tych grach komputerowych z alternatywnym życiem. Stajesz przed wyborem i w zależności od tego, w co klikniesz, przechodzisz na kolejny – inny – poziom.

Nigdy mnie nie bawiły takie wirtualne zabawy, a teraz znalazłam się w środku jednej z nich – tyle że to było moje życie, prawdziwe. Nie będę mogła wcisnąć klawisza „reset” i wrócić na niższy poziom. Trzeba wybierać, szybko i bez możliwości poprawek.

Wybrałam. Wsiadłam do tego cholernego pociągu, który wiozł mnie do Warszawy. A gdybym jednak zdjęła nogę z pierwszego schodka i została na krakowskim peronie?

Krajobraz za oknem się zmieniał, mijaliśmy lasy, pola, wsie i miasta, a ja przed oczami wciąż miałam ciemnobrązowe błyszczące oczy i pszenicznopłową grzywkę.

Staszek Skarłat.

Ten facet był taki... niesamowity. Oryginalna uroda, niski, wywołujący dreszcze głos, silne, a zarazem delikatne ramiona, w których poczułam się bezpiecznie. Stylowy, ale bardzo naturalny, bez żadnego zadęcia. Kulturalny, ale skracający dystans. Po prostu ideał. Ideał, który siedział teraz w moim krakowskim mieszkaniu w domu Pod Trzema Lipami. I skuwał kafle w łazience. Facet od remontów z niejasną przeszłością.

W głowie miałam okropny mętlik. Serce mówiło: „No przecież to poczułaś, nie udawaj, że nie. Kogo chcesz oszukać?”. Rozum prychnął: „Kilka sekund i poszłabyś za podszeptami tego szalonego serca? I dokąd by cię to zaprowadziło?”.

Nie wiem, bo nigdy próbowałam. Najwyższy czas się odważyć.

\* \* \*

– Bardzo się cieszę, że przyjechałaś, naprawdę. – Dorota ścisnęła mnie tak mocno, że jej radość musiała być ogromna.

A gdybym mimo to miała wątpliwości, czy spotkanie z córką, czyli ze mną, rzeczywiście jest dla niej tak ważne i szczęściodajne, ostatecznie przekonałby mnie o tym stół w kuchni. Pod każdą szerokością geograficzną, we wszystkich epokach i kulturach matki okazują miłość i zainteresowanie swoim powracającym do domu dzieciom, gotując. Przez żołądek do serca mężczyzny, mówi przysłowie. Sercem nakarm dziecko, powinna brzmieć wersja matczyna.

Dorota włożyła w powitalny poczęstunek całą miłość do mnie. Albo i więcej. Nigdy nie była matką pitraszącą, stojącą przy kuchence godzinami. Jedzenie miało zaspokoić głód, kajzerka to jedzenie, więc po co się wysilać? W weekendy starała się dociągnąć do średniej, ale posiłki, choć jadalne i nie takie najgorsze, były jednak czegoś pozbawione – tej właśnie pasji, emocji płynących z serca wprost na talerz.

Patrzyłam na nowy wzorzysty obrus, fikuśnie złożone papierowe serwetki, miskę z sałatą z kolorowymi dodatkami, miniaturowe bułeczki w wiklinowym koszyku, dzbanek lemoniady, wciągałam zapachy wydobywające się z bulgoczącego rondelka, a na widok kruchego placka z truskawkami aż mi ślinka pociekła.

Dorota rzeczywiście na mnie czekała.

– Mamo! – Wzruszona ucałowałam ją w oba policzki.

– Powitalny obiad dla mojej córki musi być wyśmienity. – Uśmiechnęła się promiennie.

„Córka” zabrzmiała w jej ustach tak czule. Po mojej osiemnastce stałyśmy się dla siebie Dorotą i Klarą, dwiema kobietami, bez wytykania wprost, kto i o ile lat jest w tym układzie starszy. A dziś – „córka”. Tę słodycz zatręło trochę hasło: „powitalny”. Zabrzmiało



tak, jakbym wróciła z dalekiej podróży do domu rodzinnego i miała tu już zostać na zawsze. Albo przynajmniej na bardzo długo.

A ja, choć wcześniej trochę się jeszcze wahałam co do ostatniej oferty Doroty, że to ona przejmie krakowski adres, a ja z powrotem wskoczę w warszawski nurt życia, po spotkaniu Staszka wiedziałam już, że zostanę na Wiślniej. Nie chciałam od razu poruszać tego wątku, żeby nie zepsuć przemiłej atmosfery, a o Staszku to już całkiem wolałam nie opowiadać. No bo jakbym właściwie miała to wytłumaczyć mamie? Och, przez kilka minut popatrzyłam sobie na dworcu na faceta od remontów (bo przecież właściwie nie rozmawialiśmy) i wiem, że to ten jedyny. Po prostu, najzwyklejsza w świecie sprawa. Powiem to z pełnym przekonaniem, wygłoszę jak prawdę objawioną – ja, do niedawna trzeźwo myśląca realistka.

Nie, nie, takie rewelacje trzeba dawkować wolniej. Najpierw pogadam o tym z Anką. Będzie łatwiej.

\* \* \*

Po obiedzie poszłyśmy z mamą na spacer. Może przekonywałam samą siebie, ale mokotowskie okolice naszego – pardon, Doroty (teraz ten fakt był moją tarczą, a nie mieczem wymierzonym przeciwko mnie) – mieszkania, które do tej pory lubiłam, nie wytrzymywały porównania z krakowskim krajobrazem. Niby zielono, niby czysto, ale tak nijako. Bez historii, bez klimatu. Gdzież tym klonom do moich – tak pomyślałam: „moich” – wybijały lip. Brak mi wąskich uliczek z chłodnym cieniem starych kamienic, bulwarów, małych sklepów, pisingera i Poziomki. Krakowa po prostu mi brak.

No dobrze – i jeszcze kogoś.

Z tych rozmyślań wyrwał mnie głos Doroty.

– A z remontem to sprawy poszły jakoś do przodu?

I to jak, pomyślałam. Ciekawe tylko, dokąd zajdą.

– Widzisz, zapomniałam ci powiedzieć. – Skarciłam się w myśli za



to delikatne rozminięcie się z prawdą. – Poszły. Przed wyjazdem dałam klucze chłopakowi z tej ekipy od pana Tomka. Zaczął działać.

– Super. Ale tak bez nadzoru? To znaczy bez konkretnego planu, co i jak ma być zmienione? – Zreflektowała się Dorota, a ja poczułam, że to świetny moment, by postawić kropkę nad i.

– Na razie zmiany polegają na rozwalaniu, budowanie będzie potem. Zaczynamy od łazienki, w weekend mają zostać skute kafle. A potem, kiedy już wrócę – bardzo starannie wyartykułowałam wyraz „wrócę” – przejdziemy do prac koncepcyjnych.

Dorota przystanęła.

– Czyli jednak wybierasz Kraków? – Spojrzała na mnie. Może podejrzliwie, a może zwyczajnie, tylko mnie wyrzuty sumienia z powodu drobnej nieszczerości podsuwały fałszywe interpretacje.

– Ahoj, przygodo! – zawołałam. Miało wyjść entuzjastycznie, a wypadło jakoś nienaturalnie. Nadmiarowo. – No wracam, mamo. Nie chcę po raz kolejny zmieniać zdania. Zresztą muszę ci powiedzieć, że naprawdę mi się tam spodobało. Wszystko jest takie inne, a ja potrzebuję odmiany. Z babcią się częściej spotykam. O, i sąsiadkę poznałam fajną, tę z parteru. Kojarzysz może?

– To ona jeszcze żyje? – zdumiała się Dorota. – Musi mieć ze sto dwadzieścia lat.

– Chyba masz na myśli jej ciotkę. Więc owszem, ciotka zmarła. Mówię o jej kuzynce, Jadzi. Tej, co kiedyś wpadła, a ja akurat z tobą rozmawiałam.

– Możliwe. Jak kuzynka, to młodsza. Dziewięć dyszek?

Roześmiałam się.

– Góra osiem. A wygląda na sześćdziesiąt. I jest bardzo fajna. Wesoła, optymistyczna, bezproblemowa.

Dorota przystanęła po raz drugi.

– Zatrappku, ty naprawdę się zmieniasz.

No, mamo, westchnęłam w duchu, żebyś ty wiedziała, jak bardzo.

\* \* \*

W niedzielę po śniadaniu odprowadziłam Dorotę na dworzec, skąd pociąg powiózł ją do Gdańska na kongres tłumaczy symultanicznych. Mama nieczęsto pracowała w taki sposób, bo raz, że to stresujące i trudne, a dwa, że wymagało podróży, a ostatnie lata Dorota spędziła w cichej leśniczówce w sercu puszczy. Zawsze jednak mówiła, że w pracy najważniejsze są kontakty z innymi ludźmi, zwłaszcza gdy się jest freelancerem i żyje się od zlecenia do zlecenia. „Nie można pić tylko z jednego źródła, nawet jak wydaje się, że bije mocno, i woda smaczna. Trzeba mieć w odwodzie inne źródło”. Teraz, gdy zaczęła życie w pojedynkę, pewnie odczuwała tę konieczność jeszcze mocniej.

Ja nigdy nie musiałam się nad tym zastanawiać, bo zawsze byłam etatowcem. O ewentualny brak pracy też się nie martwiłam. Co czwarty lokal usługowy w Polsce to apteka – takie obserwacje poczyniłam, spacerując po różnych miastach. Rodacy uwielbiają samodzielnie leczyć choroby, których nie mają, i zapobiegać tym, na które suplementy diety im nie pomogą. Raj dla koncernów farmaceutycznych.

Teraz mogłam trochę zmienić swoje CV. Byłam już po pierwszej rozmowie w Aptece Pod Wieżą, a za kilka dni czekało mnie spotkanie z Maćkiem i – być może – początek kariery w koncernie badawczym.

A teraz siedziałam na tarasie Anki, która była sprężyną tej ewentualnej zmiany. Z założenia nie tylko zawodowej, lecz także prywatnej, choć akurat ta część planu przestawała być aktualna...

Dziś sytuacja była komfortowa. To znaczy dla mnie była po prostu miła, taka jak zawsze, czyli z czasów przed urodzeniem Zosi, gdy spotykałyśmy się z Anką bez żadnych ograniczeń. Ja wciąż byłam wolna jak ptak, natomiast Ankę blisko ziemi trzymała mocna niepowinności wobec jej dwumiesięcznej córki.

– Nić? To sznur jest. Twardszy od pępowiny. Przy okazji, ty wiesz, jak trudno ją przeciąć? Tomek się biedził i biedził. Dobrze, że nie zemdlął na porodówce – powiedziała, gdy podzieliłam się z nią tym

poetyckim, jak mi się wydawało, porównaniem.

Przyniosła mi kieliszek schłodzonego białego wina i colę. Przed sobą postawiła niegazowaną wodę mineralną. Z mikroskopijnym listkiem mięty.

– Nic dla siebie, wszystko dla ssaka – mruknęła, z zazdrością przyglądając mi się, jak sączę zimny, orzeźwiający trunek.

– No przecież ją kochasz nad życie – bąknęłam w poczuciu winy, że ja się raczę procentami, bąbelkami, cukrem i tym tajemniczym uzależniającym składnikiem coli, a moja przyjaciółka popija zwykłe H<sub>2</sub>O.

– Kocham, jasne. I nawet teraz, choć się cieszę, że Tomek ją zabrał do parku, a my możemy spokojnie pogadać, to jakoś mi nieswojo, że nie mam jej tu blisko, w gnieździe – westchnęła.

Tajemne ścieżki, po których kroczy macierzyństwo, pomyślałam.

– No właśnie, a jak tam u was, to znaczy u ciebie i Doroty? – zapytała.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Dorota zrobiła wczoraj superobiad, wspięła się na wyżyny sztuki kulinarnej. Widać było, że naprawdę jej się chciało. No i oczywiście już żadnych fochów czy dąsów, ani z mojej, ani z jej strony. Czuję, że to naprawdę może być nowe rozdanie. Mama chyba się trochę zmieniła.

– A ty? – Anka przechyliła szklankę i pociągnęła łyk mineralki z miną osoby, która zaspokaja pragnienie, nie czerpiąc z tego żadnej przyjemności.

– No co: ja?

– Też się zmieniłaś. Trochę. – Uśmiechnęła się łobuzersko. – I w ciuchach wrzuciłaś na luz. – Przyjrzała się mojej zielonej sukience, tej, w której widział mnie na peronie Staszek. Właśnie. Dorocie nie powiedziałam, ale z Anką się podzielę tą informacją. We dwie łatwiej przeżywać emocje. No i Anka będzie moim głosem rozsądku, jakby co.

– No... Słuchaj, a co do zmian...

– Poczekaj, najpierw ty popatrz, a potem ja posłucham. – Sięgnęła po telefon, odblokowała go, postukała w monitor, a potem zaczęła

przesuwać palcem po ekranie. – O, mam go. No i jak? – zapytała, podsuwając mi aparat pod nos.

Wzięłam go do ręki i spojrzałam na wyświetlacz. Facet, na oko czterdziestoletni. W niebieskiej koszuli, dopasowanej kolorystycznie do oczu. Ciemny blondyn, starannie zaczesany. Wejrzenie miłe. Profesjonalne zdjęcie zadbanego kierownika w jakimś koncernie.

– No i okej. Chyba. A kto to jest?

– A jak myślisz? Masz jakiś pomysł? – Anka ewidentnie była w bojowym nastroju. Musiała się wyspać.

– A skąd ja mam to wie... – zaczęłam, wznosząc oczy ku niebu, ale nagle mnie olśniło. – Maciek.

– Brawo, panno bystra. Co sądzisz?

Spojrzałam na zdjęcie raz jeszcze. Przez tych kilkanaście sekund zdążyłam już zapomnieć, jak wyglądał. Nie chodziło o to, że był brzydki lub coś z nim było nie w porządku. Nic z tych rzeczy, przecież mężczyźni na takich stanowiskach są tak samo odpicowani jak kobiety. Maciek był po prostu... nijaki. Gdyby teraz Anka przemieszała jego fotografię ze zdjęciami innych menedżerów w błękitach, pewnie bym go nie rozpoznała. Za to Staszka...

– Jest okej – odparłam.

– Jest bardzo okej. – Anka przyjrzała mi się badawczo. – Co masz mu do zarzucenia? Bo widzę, że nie zaskoczyło.

– Nie, no nic, przecież ja go nawet nie znam – zaprotestowałam asekuracyjnie.

– Właśnie – potwierdziła Anka. – Ale na szczęście to się niebawem zmieni.

Milczałam, zastanawiając się, jak powiedzieć o spotkaniu na peronie. Anka była wyraźnie podekscytowana rolą swatki. Odmowę w sprawie Maćka potraktuje osobiście. A ja zupełnie nie potrafiłam wykrzesać z siebie entuzjazmu. Nie żeby z tym Maćkiem było coś nie tak – wyglądał miło i pewnie był miły. Ale nic ponad to. Żadnego drgnienia w sercu, gdy patrzyłam na jego zdjęcie. Motyl nawet na milimetr nie poruszył skrzydełkiem...

Kiedy się z kimś przyjaźni od wielu lat, to się go zna na wylot. Kto inny niczego by nie wyczuł, ale przyjaciel od razu zauważy, że coś jest na rzeczy.

– Dobra, przecież widzę. O co chodzi? – Anka wpatrywała się we mnie nieustępliwie.

– Poznałam kogoś – wydusiłam.

– Nooo! Fantastycznie! A kto to? – Na chwilę zapomniała, że jej wybór odsuwamy na boczny tor.

– To dość skomplikowane – zaczęłam ostrożnie. – Nasze spotkanie było... krótkie. Przelotne, można powiedzieć. Poznałam go na dworcu, tuż przed odjazdem.

– To co ty właściwie o nim wiesz? Umówiliście się jakoś? Skąd masz pewność, że się jeszcze odezwie? – Anka zasypała mnie gradem pytań. Widać macierzyńskie odosobnienie wyostrzyło jej apetyt na plotki.

– Spotkamy się. On na mnie czeka – odparłam. – U mnie w mieszkaniu – dodałam, żeby bardziej zbliżyć się do prawdy.

– Przepraszam, ale ja chyba opacznie cię zrozumiałam. Przelotnie, powiadasz?... W sensie, że szybko przeleciało, czy że...

– Daj spokój! Za kogo ty mnie masz?!

– Za spragnioną miłości kobietę, być może skłonną z tego powodu do popełniania głupot.

– Kulą w płot. Nic z tych rzeczy. Może źle się wyraziłam – nie tyle czeka na mnie, ile czeka, aż wrócę. Zajmuje się remontem.

– Ale jak to? – Anka zbaraniała. – Poderwał cię albo ty jego, zresztą nieważne, i od razu się wprowadził, a do tego jeszcze zabawia się w majstra? A może to jakiś oszust i numer jak z tymi różnymi złodziejami, co niby sprzedają perfumy, a w rzeczywistości dają do powąchania gaz i... – Anka była w swoim żywiole.

– Jezu, Anka, wyobraźnia cię ponosi. Nic z tych rzeczy. To normalny facet. A ja go znam. To znaczy: poniekąd go znam. To ten daleki kuzyn pana Tomka, który ma mi remontować mieszkanie.

– Nie jesteś już zainteresowana właścicielem dużej firmy badawczej, wykształconym, obytym i kulturalnym, a do tego

bogatym, bo zakochałaś się w robotniku budowlanym?

Wytrzymałam to spojrzenie.

– Może źle ci to przedstawiłam. Poznałam go na dworcu, kiedy przyszedł po klucze. Wyglądał... niesamowicie. – Aż mnie ciarki przeszły na to wspomnienie. – Przystojny, męski. Bardzo oryginalna uroda: ciemne oczy i jasne włosy. I ładnie ubrany. Kiedy na mnie spojrzał, to... No jakaś chemia, coś niesamowitego. I wiesz, co jeszcze? – Nakręciłam się, ale Anka wciąż patrzyła na mnie sceptycznie. – On się nazywa Staszek. I też jest góralem.

– Jakie też? Maciek jest z nizin, z Warszawy dokładnie.

– Też, jak Staszek prababci Emilii!

Wyraz twarzy Anki się zmienił. Teraz spoglądała na mnie z widocznym zatroskaniem.

– Klara – odezwała się do mnie jak do dziecka. – Posłuchaj.

Tak samo, dzieląc wypowiedź na jednowyrazowe zdania, mówił do mnie Paweł, kiedy mnie rzucał. Powoli, dobitnie, żebym przypadkiem niczego z jego wypowiedzi nie uroniła.

– Myślę, że za bardzo cię urzekła ta rodzinna historia. Pamiętnik, odkryta tajemnica, dramatyczne losy. Bardzo to romantyczne i wzruszające, ale... To było wiele lat temu i w innych czasach. Prawdopodobieństwo, że tobie się przytrafi coś podobnego... – Pokręciła głową. – Zresztą – ożywiła się – to była historia bez happy endu.

– Teraz nie ma wojny – uczepiłam się tego argumentu. – Ja tylko zauważam, że to niezwykle, że spotykam górala o tym samym imieniu i podobnym wyglądzie. Tylko tyle i aż tyle. Ale rzecz w tym, że gdy go zobaczyłam, to... No mówię ci, zaiskrzyło. Znak od losu. Przeznaczenie.

– A niedawno twierdziłaś, że wisi nad wami fatum. – Anka miała pamięć absolutną.

– Wtedy nie myślałam trzeźwo – próbowałam się bronić.

– A teraz tak. Szczyty rozsądku, można powiedzieć. – Ironia w jej głosie była bardzo wyraźna. – Klara, życie to nie bajka. „Za siedmioma rzekami, za siedmioma lasami, za siedmioma górami...”

Nie wiedziałam, za którą górą mieszkał Staszek Skarłat, ale cieszyłam się, że przyjechał do Krakowa.

Jutro wracałam na Wiślną.



## Rozdział drugi



Nie byłam śpiochem, nie potrafiłam się długo wylegiwać. Nie uważałam tego za swoją zasługę, bo przecież wiem, że rytm dobowy jest od nas niezależny. Jeśli ktoś się skowronkiem urodzi, to sowa nie umrze.

Mimo wszystko jednak piąta czterdzieści to była nieludzka pora. A właściwie piąta, bo wtedy musiałam wstać, żeby zdążyć na pociąg. Bez śniadania, w lekkim otępieniu ciągnąc walizkę na Dworzec Centralny. Koleje są perfidne – pociąg do Krakowa, który pamiętał czasy sprzed moich narodzin, jechał tylko dwadzieścia dziewięć minut dłużej niż pendolino, a był trzy razy tańszy. Jedyna malutka niedogodność to pora odjazdu. Potem, bardzo proszę – masz kasę, to możesz wybierać połączenia co godzinę i w luksusie gnać pod Wawel.

Postanowiłam być oszczędna. Na podróże na trasie Warszawa–Kraków wydałam sporo pieniędzy. Za każdym razem wybierałam pendolino, myśląc sobie, że to ostatni raz. Teraz nie robiłam takich założeń. Nauczyłam się już, że bardzo ważną cechą człowieka, który chce osiągnąć spokój wewnętrzny, jest umiejętność akceptowania nieprzewidzianych wydarzeń. Dopuszczałam do siebie myśl, że być może niedługo znów stanie się coś, co mnie zmusi do podróży do Warszawy. Na pewno będzie to wizyta w sądzie, związana z przepisaniem na mnie mieszkania na Wiślniej.

Właśnie...

Dzisiejszy pośpiech wynikał oczywiście z zaciskania pasa, ale, żeby być szczerą wobec samej siebie, musiałam przyznać, że po prostu mnie ciągnęło pod Trzy Lipy.

Chciałam zobaczyć Staszka.

Po spędzonym w stolicy weekendzie miałam w głowie mętlik.

Dorota w żaden sposób nie skomentowała mojego amoku, bo jej o nim nie powiedziałam. Dopytywała jednak: „A co cię tak tam pcha?”, czyli pewnie coś przeczuwała. Zna mnie w końcu całkiem nieźle, poza tym wiadomo, że relacja matka–córka jest niepowtarzalna i obejmuje także przeczucia.

Na razie jednak Dorota musiała zostać z podszeptami intuicji – potrzebowałam czasu i spokoju, by się rozeznać w tej nowej sytuacji. Chciałam w ciszy wsłuchać się w siebie.

Wyjątkiem była Anka, jej się zwierzyłam. I teraz trochę tego żałowałam. Zrobiłam to, bo się przyjaźnimy, to raz. Ale dwa – a właściwie to powinno być na pierwszym miejscu – oczekiwałam od niej wsparcia. Zachwytu. Zdumienia nad szczodrością i pomysłowością losu, który osiemdziesiąt lat po debiucie, czyli zetknięciu Staszka Morlaczonka z Emilią Majewską, jej prawnuczce, czyli mnie, czyli Klarze Majewskiej, podsuwa Staszka Skarłata. A Anka tylko westchnęła. „Żyjesz mrzonkami”, powiedziała. Przypomniałam jej, że wcześniej mnie krytykowała za zbyt nierealizm, za „niepopuszczanie wodzy fantazji”. A kiedy już je puściłam, to też jest źle. „Popuścić nie znaczy iść na żywioł i galopować jak w *Szale* Podkowińskiego. Pomędzy jest naprawdę szerokie pole manewru”.

I, choć bardzo niechętnie, przyznawałam jej rację. Odrobinę racji.

Przez cały weekend biłam się z myślami. Właściwie nie ja się biłam, a mój adwokat, czyli serce.

W pierwszym odruchu, tam, na dworcu, świat się na chwilę zatrzymał i skurczył do metra kwadratowego peronu, na którym staliśmy. W tamtej chwili uwierzyłam, że istnieje coś takiego jak

grom z jasnego nieba, który spada na człowieka i w jednej chwili wywraca jego życie do góry nogami, podsuwając mu niespodziewaną miłość. Nie miłość, co najwyżej zauroczenie – Anka i rozum byli tu zgodni. A niech tam, zgodzę się i ja, do miłości rzeczywiście potrzeba więcej, przede wszystkim tego, żeby kogoś dobrze poznać. A w moim przypadku – żeby w ogóle rozpocząć znajomość. Jednak ten pierwszy moment, zupełnie niezwykły, jak przeskok iskry elektrycznej, nastąpił. Nigdy wcześniej się tak nie czułam. Fakt, Paweł od razu mi się spodobał, ale nie tak intensywnie, nie tak żarliwie, obsesyjnie wręcz.

Anka ukuła sobie teorię: pragnę miłości tak bardzo, że jestem w stanie sobie wmówić, że oto trafia mi się niezwykła historia. Że potrafię dopasować fakty do swoich marzeń.

Wiem, że tak się często zdarza. Ludzie, nie zdając sobie z tego sprawy, oszukują się i wmawiają sobie różne rzeczy. Zawsze po to, być znaleźć szczęście.

Ale to przecież nie ja. Ja jestem świadoma i wykształcona.

Poza tym jestem też czwartą z kolei Majewską, która jest samotna. Ostatni ślub w naszej rodzinie był sto lat temu. Więc może wreszcie już czas, by ten los z loterii życia nie okazał się pusty?...

\* \* \*

Kraków powitał mnie lekkim zachmurzeniem, ale widać było, że słońce się nie daje, zatem szanse na pogodny dzień były całkiem duże.

Szłam Plantami, lekko dygocząc z nerwów i ekscytacji. Byłam ciekawa, o której Staszek przychodzi do pracy. Bardzo chciałam z nim porozmawiać, zanim jeszcze zabierze się do działania. Mamy sporo do omówienia, więc tematów nam nie zabraknie, nie grozi mi naciągana na siłę rozmowa.

Trochę się bałam konfrontacji z rzeczywistością. Bo może faktycznie coś sobie uroiłam, potem wyobraźnia się rozpędziła

i podsuwała mi bajkowe obrazy, podczas gdy Staszek okaże się jednak przeciętnym facetem, pracownikiem fizycznym w przybrudzonej kombinezonie – nie to, żebym miała coś przeciwko mężczyznom utrzymującym się z pracy rąk. Po prostu bardzo chciałam go zobaczyć dokładnie takiego jak na dworcu – żeby podtrzymać płomień ekscytacji.

Z przyjemnością minęłam lipy – naprawdę były piękne – i otworzyłam drzwi wejściowe. Przywitał mnie blask kaflów i znajomy zapach. Przeszłam przez pierwszą klatkę, potem przez podwórko, zerkając w okno Jadzi, ale zasłonka była zasunięta. Weszłam na ostatnie piętro swojej oficyny z lekką zadyszka. Z ulgą odstawiłam walizkę. Następnym razem, to znaczy po załatwieniu spraw spadkowych, będę musiała zamówić jakiś transport, żeby przewieźć rzeczy od Doroty. Teraz nie miałam do tego głowy, zresztą czas remontu to nie najlepsza pora na składowanie w mieszkaniu ubrań i innych przedmiotów. Kiedy już będzie odnowione, to co innego. Na razie jednak czeka mnie droga przez mękę. Krew, pot i łzy. I brud. Mężczyźni lepiej się nadają do prac budowlanych, bo są silniejsi, zarazem jednak nie dbają o takie drobiazgi jak sprzątanie. Zanim więc z chaosu wyłoni się ład, ktoś ten bałagan będzie musiał sprzątać. I zapewne będę to ja.

Otworzyłam drzwi, od progu wypatrując demolki. Na pierwszy rzut oka jednak, ku mojemu zdumieniu pomieszanemu z niezadowoleniem, w mieszkaniu nie było widać żadnych oznak remontowych bojów. Pewnie wcale jeszcze nie zaczął, pomyślałam. Może nawet go tu nie było? I może dziś też nie przyjdzie? Przypomniał mi się telefon do jednego z fachowców. W poniedziałkowy rano był zdecydowanie niedysponowany. Może ten Staszek jest podobnego sortu? Co ja właściwie o nim wiem?

„Wiesz na przykład, jak wygląda w slipkach” – uprzejmie podsunął mi rozum. Serce oniemiało. I się spłonęło.

Na środku dużego pokoju, tyłem do mnie, a przodem do lip, stał Staszek. W bokserkach, dość opiętych.

Obok niego leżała karimata, a na niej śpiwór.

Nie usłyszał, że przyszedłam, ponieważ na uszach miał słuchawki.

Nie wiedziałam, co zrobić. Powiedziałam „dzień dobry”, ale bez efektu. Powtórzyłam, trochę głośniej, na tyle, na ile pozwalało mi wyschnięte gardło. Wciąż oglądałam tylko jego plecy – szerokie, gładkie, z zaznaczonymi mięśniami. I to, co niżej.

I wtedy się odwrócił.

– Przepraszam – powiedziałam, dość głupio.

– Dzień dobry – odparł Staszek. Nawet jeśli był zdumiony i speszony, to doskonale to maskował. – To ja przepraszam. Zaraz do pani wrócę, w stroju bardziej... adekwatnym. Wyminął mnie i poszedł do łazienki.

„Adekwatnym”. Hm. Zna trudne wyrazy.

I jak ładnie jest zbudowany...

Tylko dlaczego waletuje na mojej podłodze? I dlaczego wciąż nie zabrał się do pracy?

Nie spodziewałam się takiego obrotu spraw. Nic mi się nie rozjaśniło. Miałam coraz większy mętlik w głowie. Serce pozostawało niewzruszone w swoim wyborze. A nawet się rozochociło.

Po kilku minutach Staszek stawiał się przede mną w roboczym uniformie: drelichowych spodniach i spranym T-shircie. Wciąż, mimo wszystko, wyglądał pociągająco. Był w tym zestawieniu jakiś zgrzyt – trochę jak w tej reklamie z polskim hydraulikiem: ciuchy się zgadzają, narzędzie w rękę też, ale twarz informuje, że nie mamy do czynienia z prawdziwym fachowcem, tylko z aktorem. Tu było tak samo: robocze ciuchy i Staszek wydawali się z różnych parafii. „A może sobie wmawiasz?” – zapytał rozum.

– Raz jeszcze przepraszam. Nie wiem dlaczego, ale wydawało mi się, że przyjedzie pani później – powiedział. – Dlatego nie spieszyłem się z porannym wstawaniem. Wczoraj dość późno się położyłem...

Odruchowo rozszerzyłam nozdrza, próbując wyłapać woń alkoholu. Pachniało tylko kawą z kubka na stole.

– ...bo jeszcze walczyłem z kablami w łazience, ale z sukcesem,

więc było warto. – Uśmiechnął się. – To jednak nie tłumaczy, dlaczego mnie pani zastała w takiej sytuacji u siebie w domu. – Wskazał ręką na swoje posłanie.

Fakt. Zupełnie nie tłumaczyło. Gdyby to był inny robotnik, na pewno od razu bym o to zapytała, przybierając nieprzyjemny ton i zde gustowaną minę. To miejsce pracy, a nie noclegownia.

– Na swoją obronę mam tylko to, że połączyłem nocleg z dłuższymi godzinami pracy i dużo udało mi się zrobić. I, choć to całkiem już pani nie interesuje, dość nagle się zjawiłem w Krakowie i jeszcze nie załatwiłem wszystkich ważnych spraw, na przykład kwestii mieszkania. Oczywiście dziś po skończonej dniówce zabieram swoje rzeczy i od jutra pracuję bez nocnych zmian.

Rozum chciał wiedzieć więcej. Dlaczego Staszek nie ma gdzie mieszkać? Co takiego zrobił, że nagle musiał z tych swoich gór wyjechać? Kim on właściwie jest?... Serce zaś nie pomagało, skupiając się na wizji „nocnych zmian”.

W książkach, filmach, piosenkach i poezji to mężczyźni pragną kobiet – wprost lub sublimując ten zew natury w jakieś subtelne westchnienia.

Tym bardziej więc byłam zdziwiona, że ja, całą sobą, nie czekając na jego zachętę, chciałabym... Kropka, kropka, kropka.

\* \* \*

Dochodziło południe. Powoli, bardzo powoli szłam do agencji nieruchomości Stella. Odległość między firmą pana Tomka a moim mieszkaniem nie była duża, jakieś kilkaset metrów. Mnie zaś przydałby się dystans maratonu, żeby wymyślić sensowny i niebudzący podejrzeń pretekst do wizyty, której celem było zdobycie informacji o Staszku Skarłacie.

Ten mężczyzna intrygował mnie coraz bardziej. Nie potrafiłam go zaszufladkować. Oczywiście, tajemniczość była niezwykle pociągająca, ale ciekawość domagała się zaspokożenia.

Poranek spędziliśmy na omawianiu zakresu prac. Okazało się, że łazienka była już całkowicie pozbawiona kafli – oczyszczona do betonu i cegieł. Oniemiałam, bo była też... czysta. Staszek, pan Staszek właściwie, powynosił – kubełek za kubełkiem! – gruz do piwnicy, bo nie zdążyliśmy uzgodnić zamówienia kontenera. A potem umył (!!!) podłogę, „bo była zapyłona”. Zajął się też elektryką, więc po dzisiejszym gruntowaniu, kiedy ściany przeschną, będzie można układać flizy. Najpierw nie zrozumiałam, co to jest, a potem się dowiedziałam, że to kafelki, tylko w wersji małopolskiej. No więc po te flizy pojedziemy jutro rano, razem. Zaproponował siebie i swój samochód, gdy się dowiedział, że nie mam własnego auta. Uczynnie i optymistycznie. Skoro ma auto, to chyba jednak nie jest bezdomny? I jeśli nim jeździ, to pewnie nie jest na bakier z prawem, bo przecież bałby się ewentualnej kontroli policji.

Pochłonięta tą łamigłówką, zatrzymałam się przed witryną Stelli. Będę improwizować, pomyślałam. „Co, przepraszam, robić?” – prychnął rozum. Miał rację. Ktoś, kto przez całe życie zawsze i do wszystkiego się solennie przygotowywał, z trudem się odnajdzie w sytuacji, która wymaga elastyczności i spontaniczności.

– Dzień dobry, pani Klaro! A co to panią do mnie sprowadza? – Pan Tomek szeroko rozłożył ramiona, jakby chciał przytulić nie tylko mnie, lecz także cały świat.

O mamó, westchnęłam w duchu. Jak to przeprowadzić, żeby nie wzbudzić podejrzeń?

– Dzień dobry! – rzuciłam lekko. – Tak sobie pomyślałam, że wpadnę po radę. – Faceci, nawet ci nietradycyjni, lubią udzielać rad.

Pan Tomek uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Bo wspominał pan, że trochę się zajmowaliście remontami, przygotowując mieszkania na sprzedaż, a ja jestem właśnie w oku remontowego cyklonu i potrzebuję informacji, dokąd najlepiej się wybrać na zakupy. I nie najdrożej – dodałam, żeby była jasność, że najpierw proza życia, a potem ewentualne ekstrawagancje.



– Och, no tak. Chciałaby dusza do raj, a tu rzeczywistość trzyma... – Zadumał się pan Tomek, któremu wyraźnie zrobiło się przykro, że estetyka będzie musiała ustąpić oszczędnościom. – No to chyba jakiś market budowlany?... – Spojrzał na mnie pytająco.

– Tak, tak. – Ochoczo się zgodziłam.

– Może ten, w którym kupowała pani farby?

Kurde, zapomniałam o tym szczególe. Nie jestem mistrzynią intryg, zdecydowanie.

– Uh, eee, no oczywiście, ale może jakiś jeszcze? Bo tamten wybrałam ze względu na dojazd komunikacją miejską, a teraz mam do dyspozycji auto. Pan Staszek się zaoferował – dokończyłam już płynnie, zadowolona z własnej bystrości. Może nie mam świetnego refleksu, ale jednak jestem inteligentna. Wybrnęłam z trudnej sytuacji i całkiem gładko przeszłam do Staszka.

Haczyk został połknięty.

– O, to bardzo miło z jego strony. – Pan Tomek się rozanielił. – To zresztą naprawdę uczynny człowiek. Nie zawiedzie się pani, pani Klaro.

Chciałam tego bardziej niż czegokolwiek na świecie. I nie chodziło mi wcale o sprawnie przeprowadzony remont. Myśli pana Tomka poszły oczywiście tym torem.

– Nie jest fachowcem po budowlance, ale to bardzo zmyślny chłopak. Wszystko łapie w mig. Zdolny, oczywiście, ale też przećwiczony przez życie... – Westchnął teatralnie, robiąc znaczącą pauzę i dając do zrozumienia, że jest jakaś trudna sytuacja, ale dyskrecja nie pozwala mu zdradzić więcej. A ja tak chciałam, żeby nie był dyskretny! To ciekawe, że jednocześnie cenimy jakąś cechę teoretycznie, a w praktyce wolimy coś zupełnie odwrotnego.

– No właśnie – spróbowałam jednak, bo miałam przecież asa w rękawie. – Tak pomyślałam, bo w weekend pan Staszek nocował na Wiślniej.

– Oj! Nieroztropnie! Porozmawiam dziś z nim. – Pan Tomek zrobił zatroskaną minę.

– Nie, nie – zaprzeczyłam gwałtownie. – Nie skarzę się, tylko...

troszcę – wyjaśniłam szybko.

A właściwie: skręca mnie z ciekawości.

– Ech. – Machnął ręką. – No nie ma chłopak szczęścia w życiu.

Zupełnie jak ja, pomyślałam. To z pewnością nas łączy.

– Ale zarzekam się – przyłożył dłoń do serca – jest krystalicznie uczciwy. Tyle że jego życiowe ścieżki są poplątane. Wciąż ma pod górę. I to jest naprawdę wysoka góra.

Góra, znowu góra, przypomniała mi się rozmowa z Anką.

A co tam w tej górze zapisane? Jemu?.. Mnie?... Nam?...

## Rozdział trzeci



Domofon zaterkotał punktualnie o ósmej, tak jak się umówiliśmy.

Gdybym stworzyła kwestionariusz oceny Staszka Skarłata, w rubryce „Zalety” pojawiłby się ten punkt. Właściwie to oceniałam go wciąż i wciąż, bo nie mogłam przestać o nim myśleć. Taka lista zatem istniała, tyle że nie na papierze, a w mojej głowie. Żeby była kompletna i uczciwa, powinnam dołożyć do niej nocowanie u pracodawczyni bez jej zgody. Z całą pewnością nie jest to pozytyw, ale ewidentny negatyw też nie. Chyba nie. Na razie powędruje do kolumny numer trzy, „Nieokreślone” (no bo przecież pracował, długo, wytrwale, i jeszcze po sobie posprzątał, więc można uznać, że to taki dodatek za pracę w trudnych warunkach).

Spojrzałam w lustro toaletki. Dzinsy i koszulka w pastelowy kwiatowy wzór. Wygodnie, niekrępująco – bo jedziemy do sklepu budowlanego – a jednocześnie kobieco, a nawet dziewczęco, bo w końcu spotykam się z mężczyzną.

Zeszłam na dół. Staszek czekał przy lipach. Bardzo ładnie się z nimi komponował. W dzinsach i T-shircie wyglądał jak turysta.

– Dzień dobry! – przywitał mnie sympatycznie. – Zaparkowałam na ulicy obok. Krucho tu z miejscami postojowymi. Tam zresztą też, a do tego wąsko. Mam nadzieję, że nikomu nie utrudniłem życia.

Myśli o innych. Plus.

Poszłam za nim. Sąsiednia ulica rzeczywiście zupełnie nie

przystawała do współczesnych standardów. Wąziutki chodnik, pas asfaltu, na którym z trudem mijały się osobówki. Zastawiona we francuskim stylu, to znaczy auta zaparkowane zderzak w zderzak. Gdybym miała samochód, nie ośmieliłabym się nawet spróbować go tu zostawić – ten manewr wymagałby wręcz chirurgicznej precyzji.

W ciszy mijaliśmy kolejne pojazdy. Podążałam za Staszkiem; z przyjemnością patrzyłam na jego sprężyste kroki. Szedł lekko i zgrabnie. Na pewno był wysportowany i często korzystał z nóg, a nie z komunikacji.

– No to jesteście.

Spojrzałam na samochód, przy którym się zatrzymaliśmy, i zrozumiałam, dlaczego wybierał nogi zamiast kół. Auto było... właściwie poza wszelkimi kategoriami. Nie wiem, jakiej marki, bo nie potrafiłam wypatrzeć znaczka. Na pewno stare. Kojarzyło mi się z amerykańskimi filmami z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych: długie kombi, kanciaste, nieforemne. Do tego w kilku miejscach nadgryziona zębem czasu karoseria, maska w innym kolorze niż reszta blach (tu bordowo, tam – brudnokremowo). Obraz nędzy i rozpacz.

Chyba odrobinę za długo gapiłam się na to dziwo motoryzacji, bo Staszek powiedział z wymuszonym uśmiechem:

– Grunt, że jeździ, prawda? – Podeszedł do drzwi pasażera i kluczykiem zwolnił blokadę. – Zapraszam, pani Klaro.

Gruchot i kultura – w moim kajecie pojawiły się kolejne dwie oceny.

\* \* \*

Cieszyłam się, że pojechał razem ze mną na te zakupy. Przecież potrzebowałam nie tylko kafli, lecz także mnóstwa innych dodatków, takich jak kleje, fugi, silikon i co tam jeszcze, o których wiedziałam tylko tyle, że istnieją. Długie alejki były wypełnione towarami o nieznanym mi przeznaczeniu i obco brzmiących nazwach. Tak właśnie muszą się czuć mężczyźni na zakupach ze

swoimi dziewczynami lub żonami – zagubieni i oszołomieni.

Staszek zostawił mnie przed długą ścianą oklejoną kafelkami, żebym wybrała wzór, a sam poszedł szukać „wykończeniówki”.

Kafle zresztą były nie tylko na ścianach, lecz także na dużych płytach pilśniowych stojących pośrodku szerokiej alei. Zatrzęsienie wzorów i form, od którego można dostać oczopląsu. Mój wzrok jednak od razu powędrował w stronę niedużych zielonych kafelków. Miały idealny kolor: szmaragdowy, niejednoznaczny, pełen głębi. Wyglądały jak tafla w jakimś egzotycznym zbiorniku wodnym. Przypominały mi wzór z klatki schodowej domu na Wiślniej. Pewnie dlatego natychmiast je wypatrzyłam i od razu się na nie zdecydowałam. Wyróżniały się wśród pozostałej oferty – stonowanej, białej, szarej, beżowej, pastelowej.

– Ja już się uporałem, a pani? – Z zamyślenia wyrwał mnie głos Staszka. Miły, niski i spokojny. Niepopędzający.

– Też. Te mi się podobają. – Wyciągnęłam rękę w kierunku szmaragdowych płytek.

– Oryginalny wybór. – Uśmiechnął się.

– Och, bo ja uwielbiam zieleni! – Poczulałam się w obowiązku wytłumaczyć. On pewnie też, jak większość kupujących, o czym świadczyła oferta sklepu, woli tradycyjne wzornictwo. – Zielony to jest moc, potęga płynąca wprost z natury. To kolor życia, bujności, rozkwitu. Uspokaja wzrok, niesie ukojenie myślom, wycisza. Lubię przyrodę: drzewa, kwiaty, zioła. Rabaty i łąki po horyzont. – Urwałam nagle, speszona potocznością swojej wypowiedzi.

Staszek patrzył na mnie, wciąż pogodny, wciąż z uśmiechem.

– O zieleni można nieskończenie.

Ależ ładnie powiedział, pomyślałam. Mgnienie poezji wśród worków z cementem i klejem.

A potem poszedł poszukać pracownika działu, złożył zamówienie, przyniósł jakże miłą wiadomość, że te kafle to końcówka i są na pięćdziesięcioprocentowej wyprzedaży, pomógł wybrać terakotę na podłogę, znowu złożył zamówienie, poczekał, aż zapłacę, odprowadził mnie do auta, a sam poszedł po większy wózek, żeby

odebrać materiały, wszystko włożył do bagażnika, pojechał na Wiślną, pownosił rzeczy i starannie je poukładał pod ścianą pierwszego pokoju. Poprzednim razem, gdy kupowałam farby, wałki i takie tam, snułam się po alejkach sama, a potem znękało mnie noszenie pakunków do komunikacji miejskiej. Tym razem było zupełnie inaczej.

Odmienne było także z innego powodu. Na pożegnanie Staszek powiedział: „Piękny ten zielony kolor kafli. Kolor nadziei. Jak pani oczy”.

A ja, oczywiście, bo to w końcu ja, nie wydusiłam z siebie ani słowa, choć w sercu też zrobiło mi się zielono.

To był bardzo dobry dzień – dzień spędzony w markecie budowlanym. To pewnie jedno z ostatnich miejsc, jeśli idzie o romantyczny klimat, a jednak.

Nie rozmawialiśmy ze Staszkiem zbyt dużo, ale cisza, jak ta podczas powrotu na Wiślną, wcale mi nie ciążyła. Przebywanie z nim było takie... naturalne.

Nie dowiedziałam się o nim właściwie niczego ponad to, że jest kulturalny, uczynny i cierpliwy. I nieśmiały. Kilka razy wydawało mi się, że dokądś odpłynął myślami. Może do tych swoich tajemniczych problemów? Miałam nadzieję, że to nic strasznego, jak na przykład jakieś oszustwo, długi, wyrok, trudna sytuacja z żoną... Te pierwsze przewiny są obiektywnie złe, ta ostatnia – zmartwiłaby moje serce. Bardzo chciałam, żeby Staszek był stanu wolnego. Istniała taka szansa, skoro do Krakowa przyjechał sam. Wyobraźnia, co prawda, podsuwała mi obrazy zostawionej na szpitalnym łóżku chorej ślubnej, na leczenie której Staszek zarabia, mając się wszelkich prac.

Odpłynęłabym pewnie dużo dalej w tych rozmyślaniach nad życiem Staszka, gdyby nie telefon Anki.

– Cześć! Możemy pogadać? – zaczęła energicznie. Słysząc było w jej głosie, że tej nocy Zosia łaskawie pozwoliła jej na sen.

– Cześć, no pewnie. Właśnie wróciłam z zakupów. Mam już kafelki do łazienki.

- O, no to tempo ekspresowe. Znaczy pan Stanisław się sprawił.
- Nie nazywaj go tak. – Wzdrygnęłam się. – Jakby był emerytem.
- No przecież ma tak na imię –zdziwiła się niewinnie Anka.
- Staszek ma na imię. Tak się przedstawił.
- Ale w papierach...
- Daj spokój, nie mam pojęcia, co ma w papierach. Nic o nim nie wiem – powiedziałam smutno.
- Nie rozmawiacie? – Kolejne niewinne pytanie.
- Rozmawiamy. Trochę. Zresztą market budowlany to nie miejsce na pogaduszki, pojechaliśmy tam w konkretnym celu.
- No tak... – Zawieszenie głosu i wymowna chwila ciszy. – Ale nie martw się, bo już niedługo będziesz mogła porozmawiać z kimś miłym i w bardziej sprzyjających okolicznościach. Tomek przed chwilą dzwonił i powiedział, że Maciek jedzie do Krakowa przed tą konferencją. I że bardzo chętnie się z tobą spotka, żeby cię bliżej poznać. Na przykład podczas kolacji. Wobec tak poważnych planów pyta zatem, czy mogę mu dać numer twojego telefonu. – Anka brzmiała jak rasowa recepcjonistka.
- Możesz – odpowiedziałam.
- Dziękuję, już to zrobiłam. Mam tylko nadzieję, że podczas tej kolacji będziesz bardziej rozmowna. I elokwentna. I miła.
- Anka, daj spokój, no. Nie dręcz mnie, i tak mnie życie doświadcza.
- No przecież cię nie dręcę – odparła Anka, ale już normalnym tonem. – Po prostu nie chcę, żebyś sobie sama dokładała.
- Nie dokładam sobie, tylko...
- Dokładasz. Zatrapek.
- Dorota już mnie tak nie nazywa! Nawet ona widzi, że się zmieniam. Staram się.
- Przyjaciółce wolno więcej. I dlatego ci walę prawdę między oczy, jak jest. I szczerze, spod samego serca ci radzę, żebyś była rozsądna. Aż tyle i tylko tyle. Po prostu się umów z Maćkiem. Daj szansę jemu i sobie. Przecież nikt cię nie wpycha w jego ramiona, nawet jeśli nie będziecie parą, to ma dla ciebie propozycję świetnej



pracy.

Przetrawiałam przez chwilę wywód Anki. W sumie racja.

– Zgoda, niech ci będzie. To mówisz, że kiedy ten Maciej przyjeżdża?

– Za kilka dni, w tym tygodniu na pewno. Tomek twierdzi, że zaprosi cię w jakieś niewyobrażalnie eleganckie miejsce, więc się zawnazs przygotuj. Masz tam jakieś odpowiednie ciuchy? Chyba nie zabrałaś niczego wyjściowego z Warszawy.

– W ten remont?...

– No właśnie.

– Poczekaj! – Olśniło mnie nagle. – A może włożę tę zieloną sukienkę? Tę, w której byłam u ciebie?

– Hm... Ona ma coś w sobie, ale pasuje raczej do rybki w barze nad jeziorem. Wyglądasz w niej jak rusałka. Nimfa wodna, o, właśnie tak, jak nimfa wodna. A powinnaś bardziej ludzko, znaczy kobieco. – Anka była pod wrażeniem własnego żartu.

– Ha, ha, ha. Bardzo śmieszne.

– Przepraszam, ponosi mnie. To pewnie z powodu tego siedzenia w domu. Całymi dniami tylko gaworzę. Ta sukienka jest urocza, ale nie na tę okazję. Potrzebujesz czegoś klasycznego. Mała czarna i perły na przykład. Biała koszula i cygaretki. W ten deseń.

– No to chyba nic nie znajdę.

– Mieszkasz w Krakowie, nie w Pcimiu Górnym. Masz na pewno jakieś sklepy z odpowiednią ofertą odzieżową niedaleko domu.

– Pewnie mam. Ale kasy nie mam. To znaczy jeszcze trochę mam, ale oszczędzam, bo jestem w trakcie remontu. Dziś wydałam w markecie budowlanym prawie dwa tysiące.

– Ileż to par butów! – Anka aż jęknęła. – Rozumiem, ale sukienka też ważna. Potraktuj to jak inwestycję w przyszłość. Potem jeszcze masz to spotkanie z Karen i pewnie kolejne, już o pracę. Potrzebujesz odpowiednich ubrań. Jakby co, to cykaj fotki w przymierzalni i ślij. Pomogę ci. A teraz spadam do Zosieńki. Paaa!

Pa, pomyślałam, bo w telefonie zapadła już cisza.

\* \* \*

Po południu poszłam na zakupy. Wracając, wstąpiłam do Jadzi. Przywitać się po przyjeździe (który to już raz...) i zapytać, czy będę się mogła u niej wykąpać (kolejna tradycja). Bardzo dobrze zrobiłam, bo okazało się, że dziś Jadzia ma dyżur do dziesiątej wieczorem i bym jej nie zastała. Dała mi zapasowy komplet kluczy i powiedziała, że mogę go sobie zatrzymać. Pewnie jeszcze niejedną raz będę potrzebowała skorzystać z jej łazienki.

Wczesnym wieczorem poszłam do jej mieszkania i zrobiłam sobie relaksującą kąpiel z szyszkowym zapachem. Może to zmęczenie, może napięcie, może olejki zawarte w soli, ale ledwo powłóczyłam nogami na swoje czwarte piętro. Pościeliłam łóżko i z ulgą zapadłam się w miękką pościel. Zasypiając, miałam przed oczami piękną łąkę, ukwieconą i zieloną. Zieloną nieskończenie.

## Rozdział czwarty



– O, ho, ho! Trochę się tego nazbierało. Dobrze, że teraz pani przynosi, bo niedługo idziemy na urlop i przez dwa tygodnie zakład będzie nieczynny. – Pani Florczyk otaksowała wzrokiem zawartość dwóch pękatych toreb, które z trudem doniosłam do zakładu. – Mnie się już daty mieszają czy ten pobyt pani tutaj trochę się przeciągnął? – Spojrzała na mnie zza okularów.

Szczerze mówiąc, to nie wyglądała jak osoba, której cokolwiek może się pomieszać w głowie. Włosy miała siwe, upięte w koczek, twarz usianą zmarszczkami, palce u dłoni lekko powykręcane reumatyzmem, ale wzrok przejrzysty i bystry.

– Cóż, zdaje się, że się przeciągnął. Na stałe. – Uśmiechnęłam się.

– Bardzo dobra decyzja. Będzie z niej pani zadowolona.

– Oby. – Pozwoliłam sobie na westchnięcie. Staszek i niepewność z nim związana mnie osłabiały. Remont, praca, historia babci Emilii – to wszystko schodziło na drugi plan, gdy przed oczami – duszy lub w rzeczywistości – pojawiał się on. Chyba zaczynałam mieć obsesję na punkcie tego tajemniczego górala.

– A co ma być źle? Dziecko, pani jest taka młoda. Młodość to za wszystko wystarcza. Człowiek zdrowy, pełny sił. Nic go nie ogranicza. Chyba że on sam.

– No tak. – Przypomniała mi się poprzednia wizyta i słowa pani Florczyk o domu i ślimaku. To była kobieta, która potrafiła

sprowadzić życiowe problemy i rozważania nad nimi do zwięzłych sentencji. Dyskutować się z nimi nie dało. Były jak żołnierska komenda: można tylko przyjąć i wykonać. – To po prostu duża zmiana w życiu. – Sformułowanie wydawało mi się bezpieczne i wymagające od rozmówcy zrozumienia oraz wsparcia.

Pani Florczyk się roześmiała. Nie uśmiechnęła, a właśnie roześmiała – głośno, szczerze, niepohamowanie. Takiego śmiechu można by się spodziewać po mnie, to znaczy po kimś w moim wieku, bo ja się śmiałam w bardziej stonowany sposób, a nie po schludnej sześćdziesięciolatce.

– Przepraszam cię, dziecko, ale duża zmiana to jest wtedy, kiedy umierasz. Wszystko inne to po prostu życie. Rabat zostawiam już na stałe, po sąsiedzku. A po pranie niech pani przyjedzie do przyszłego piątku, bo potem będziemy nad morzem.

Wracałam na Wiślną, obmyślając, czym się będę zajmować przez resztę dnia. Nie miałam niczego konkretnego do zrobienia, co było dla mnie dość niezwykłą sytuacją, bo do tej pory funkcjonowałam jak japońskie koleje – szczegółowy rozkład i idealna punktualność. Teraz byłam na przymusowym urlopie, z którego nie do końca potrafiłam korzystać. Urządzenie mieszkania musi poczekać na zakończenie remontu, teraz nawet przebywanie tam jest mało komfortowe, bo wszędzie front robót – Staszek wziął się intensywnie do pracy. Kiedy klej wysychał, on malował przedpokój, na przemian szpachlował ubytki i wymieniał listwy, naprawiał elektrykę i porządniej mocował karnisze. Była pracowity i poukładany.

Dwa plusy.

I bardzo skupiony na pracy.

Duży plus na liście i zarazem spory minus w moim sercu.

Oczywiście, że zjawił się po to, by wyprowadzić moje mieszkanie ze stanu lekkiej ruiny do stanu komfortowej używalności, i robił to z zaangażowaniem, ale bardzo bym chciała, żeby zwracał uwagę nie tylko na cegły, lecz także na mnie. Miałam, co prawda, wrażenie, że czasem mi się przygląda, ale nic konkretniejszego za

tym nie szło. Może był równie nieśmiały co ja? Byłam tak pochłonięta myślami, że dopiero po chwili się zorientowałam, że minęłam drzwi wejściowe do kamienicy. Gwałtownie się zatrzymałam i cofnęłam, omal wpadając na Jadzię, która chyba wracała ze sklepu, obie ręce miała bowiem zajęte płóciennymi torbami.

– Dzień dobry! Pomogę ci – zaoferowałam się ochoczo.

Jadzia wyraźnie się ucieszyła.

– Dziękuję. Przeholowałam z zakupami. Tak to jest, jak się idzie po jedzenie bez śniadania.

Spojrzałam na zegarek – dochodziła dwunasta.

– A czemu tak? To niezdrowo. Śniadanie to podstawa. – Jakbym babcię słyszała, no ale w końcu taka była dietetyczna prawda.

– Wiem. Tylko że wczoraj późno wróciłam. Krzyś, jeden z naszych podopiecznych, umarł.

W gardle natychmiast urosła mi duża gula. Nie znałam tego Krzysia, ale czy trzeba coś wiedzieć o dziecku, by poczuć smutek na wiadomość o jego śmierci? Dzieci nie powinny umierać, to jest cholernie niesprawiedliwe i cholernie smutne.

– Rano jeszcze nie potrafiłam się pozbierać, zupełnie nie czułam głodu. Najpierw poszłam na spacer, potem pod halę, żeby się zmęczyć, przewietrzyć, kupić warzywa, owoce i kwiaty. Zobacz, jakie ładne. – Wyciągnęła ze swojej przepastnej torby mały bukiet kolorowych kwiatów.

– I to ci pomogło? – zapytałam z niedowierzaniem.

Póki Jadzia opowiadała o chorych dzieciach, jakoś dawałam radę tego słuchać. Temat śmierci jednak całkowicie rozkładał mnie na łopatki.

– Pomogło. Zawsze pomaga, bo tak sobie postanowiłam.

– To można sobie tak postanowić? – zdziwiłam się.

– Wszystko można. Prawie wszystko. Bo tak stać na chodniku, tarasując przejście, to akurat nie bardzo można. Chodź do mnie, na śniadanie – dla mnie pierwsze, dla ciebie drugie, to sobie spokojnie porozmawiamy. No chyba że masz coś pilnego?...

Nie miałam, więc poszliśmy.

Śniadanie Jadzi mieniło się kolorami: błyszcząca czerwień rzodkiewki, świeża zieleń ogórka, pomarańcz papryki, biel twarożku. Do tego pachnąca kawa, chrupkie bułeczki i miód w szklanym słoiczku z drewnianą łyżką do nakładania. Wszystko ładnie podane, na świeżym obrusie, na środku którego stał wazonik z tym małym bukietem.

– O, i widzisz. Celebruję życie. Oczywiście, że potrzebuję chwili, by zrzucić z siebie smutek, ale już wystarczająco dużo mam lat, żeby wiedzieć, że to wymaga pewnej... nazwijmy to, dyscypliny.

– Dyscypliny? Zrzucasz smutek na rozkaz? No tak to chyba nie działa. – Byłam bardzo sceptyczna.

– A jednak. Zresztą to nie mój pomysł. Kiedy zaczynałam pracę w hospicjum, trafiłam w gazecie na wywiad z panią doktor z onkologii dziecięcej. Padło oczywiście pytanie, jak sobie radzi ze stresem i w jaki sposób walczy z tym, by cały czas nie myśleć o pracy i nie dać się zalać łzom. I ona odpowiedziała, że wraca do domu na piechotę. Mniej więcej w połowie drogi przechodzi przez most. I do tego mostu jeszcze pozwala sobie na smutek, na zanurzenie myśłami w pracy, ale gdy znajdzie się na drugiej stronie, sercem i głową jest już w innym świecie, ze swoimi dziećmi, mężem, znajomymi. Nie wierzyłam, póki nie spróbowałam. To naprawdę działa. Choć nie chodzę przez most. – Uśmiechnęła się Jadzia.

Pomyślałam, że wypróbuję. Do rad Jadzi zdążyłam się już przekonać. To nie była coachingowa paplanina, tylko mądre słowa.

– Ale zostawmy na chwilę starszą panią na boku. – Sąsiadka dołała mi jeszcze kawy. – I porozmawiajmy, co słychać u młodych. Zauważyłam – minimalnie ściszyła głos – jakiegoś miłego mężczyznę, który wychodził z twojej oficyny. Czy to ten polecony pan od remontów?

– Tak. Staszek.

– O, ładne imię. A czy przypadkiem nie tak samo nazywał się ten chłopiec z pamiętnika?

- Tak! – Aż podskoczyłam. – Zapamiętałaś!
- Jestem pilną słuchaczką. – Jadzia zrobiła skromną minę.
- Czy nie uważasz, że to niezwykley zbieg okoliczności? To, że prababcia Emilia poznała Staszka z gór, a ja kilkadziesiąt lat później wpadam w ramiona innemu góralowi o tym samym imieniu? – Opowiedziałam jej historię z dworca.
- No... – zaczęła Jadzia, dość nietypowo jak na nią. – To zależy, jak na to spojrzeć. Gdyby tak na chłodno, to Staszek nie jest rzadkim imieniem. Może gdyby to był Dobromił albo Maksencjusz... Góral – w końcu jesteśmy w Małopolsce, na Podhale stąd nie tak daleko, a wiadomo, że górale mają smykałkę do majsterkowania.
- A to, że wyglądają podobnie? To znaczy te ciemne oczy i jasne włosy?
- A nie farbuje się przypadkiem?
- No jak farbuje?! – Oburzyłam się. – To znaczy w sumie to nie mam stuprocentowej pewności, ale to mi nie pasuje do niego. Zresztą wygląda bardzo naturalnie. Zauważyłabym.
- Rozumiem, że dobrze mu się przyjrzałaś?...
- Chyba się zaczerwieniłam, cholera. Siedzę w kuchni u Jadzi, życzliwej mi duszy. Jak z nią nie będę szczerą, to z kim?
- Przyjrzałam się. Przy każdej możliwej okazji mu się przyglądam. Bo widzisz, Jadziu, ja się chyba...
- I w tym momencie rozległ się dźwięk dzwonka mojego telefonu. Spojrzałam na wyświetlacz. Nieznany mi numer, ale komórkowy, więc to pewnie nie telemarketing. Odebrałam.
- Klara Majewska, słucham.
- Dzień dobry. Maciej Dobrowolski. Znajomy Tomka i Ani. Czy nie przeszkadzam?
- Nie, nie, skąd.
- No to się cieszę. Nie chcę zabierać pani czasu, więc od razu powiem, z czym dzwonię. Pojutrze rano przyjeżdżam do Krakowa i chciałbym zaprosić panią na kolację.
- Och. Tak. Oczywiście. – Byłam spięta.



– Problem tylko w tym, że nie znam Krakowa zbyt dobrze, a Ania mówiła, że to w połowie pani miasto rodzinne, więc byłbym wdzięczny za jakąś rekomendację. – Pan Maciej zaś wcale nie miał tremy. Jego zdania płynęły lekko, bez przestojów i zgrzytów.

– Rekomendacji?... Ja chyba... To znaczy... – Gorączkowo szukałam w głowie odpowiedniej propozycji. Nie miałam pojęcia o eleganckich restauracjach, bo po prostu do nich nie chodziłam. Jadłam, co prawda, w tej knajpie przy Rynku, kiedy Poziomka już była zamknięta, ale to była pozorna elegancja, właściwie to chyba tylko ceny aspirowały do kwot z wytwornej restauracji, bo reszta była poślednia. I jeszcze mnie potem wątroba bolała. A przecież nie idziemy tam po to, by później pić napar z dziurawca albo miętę.

– A może Wierzynek? – Nagle mnie olśniło. To zawsze był synonim luksusu. „Królewska sztuka ucztowania”, przypominałam sobie hasło reklamowe, które gdzieś mi mignęło.

– Doskonała propozycja. Godzina dwudziesta będzie odpowiednia?

– Tak, oczywiście.

– A zatem we czwartek z przyjemnością zjem z panią kolację u Wierzyńka.

– Tak, z przyjemnością, dziękuję.

– Do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Odłożyłam telefon. Ręka mi minimalnie zadrżała. Właściwie sama nie wiedziałam, czym się tak denerwuję.

Jadzia wychyliła się zza kredensu, w którym układała filiżanki. Taktownie się oddaliła od stołu, kiedy zaczęłam rozmawiać z panem Maciejem. Gdy zobaczyła, że nie trzymam telefonu przy uchu, z powrotem usiadła.

– Wszystko dobrze? Jakaś blada jesteś. Coś złego przez ten telefon?...

– Nie, wręcz przeciwnie. Dzwonił... znajomy. Z polecenia moich przyjaciół, to znaczy męża mojej przyjaciółki. Ma firmę zajmującą się badaniami i szukają kogoś po farmacji. Może się okazać, że

właśnie mnie.

– To Apteka Pod Wieżą nieaktualna? – zdziwiła się Jadzia.

– Nie wiem, szczerze mówiąc. Spotkam się z tym Maciejem, a potem jeszcze raz z właścicielką apteki, bo poprzednim razem nie padły konkrety. No i wtedy będę miała pełne porównanie.

– To znaczy chyba tylko finansowe, bo to jednak zupełnie inne propozycje?...

– Inne, fakt. Kasa na pewno lepsza w tej firmie. I możliwości rozwoju – jakieś projekty, wyjazdy, badania naukowe. W aptece, wiadomo. Żadnych zaskoczeń.

– A ten pan, co dzwonił... Bo wydajesz się spięta.

Jadwiga – wykrywacz niedopowiedzeń. Detektor duszy.

– Och, Jadziu. Przed tobą nic się nie ukryje.

– A jest potrzeba ukrywać?

– Nie ma. No to karty na stół. Anka uważa, że ten Maciej to idealny kandydat na męża w ogóle, a w szczególności dla mnie. Że podobne wykształcenie, środowisko, inteligentny, obyty. I jeszcze majątny. Chodzi więc o pracę, ale nie tylko.

– Może tak być – zgodziła się uprzejmie Jadzia. – A ty co myślisz?

Trudno było odpowiedzieć na to pytanie, bo rozum, choć jeszcze się trzymał, powoli ustępował pola sercu.

– Nie mam pojęcia. Wiem, że to głupie, ale czasem bym chciała, żeby los za mnie wybrał.

– Los to wybiera nam tylko rodzinę, za resztę trzeba się wziąć samemu.

Emilia, Elżbieta, Dorota i ja. Sto lat samotności. Z rodziną losowi się udało, ale jeśli chodzi o resztę...

## Rozdział piąty



– No i jak? Według mnie niezwykle korzystnie.

Ekspedientka była bardzo miła. Nie, nie miła, tylko uprzejma. Uśmiechnięta, kulturalna, uczynna, pomocna – ale to wszystko to było wypełnianie obowiązków zawodowych. Asystentka sprzedaży Jola – bo tak miała napisane na plakietce wpiętej w idealnie odprasowaną białą koszulę – na pewno była mistrzynią w swoim fachu, a jednak nie czułam się w jej towarzystwie komfortowo. W sklepie zresztą też nie. Wszystko tu było takie doskonałe – miękka wykładzina, delikatne światło, biel mebli, subtelny zapach perfum, idealne dziewczyny, idealne ciuchy, idealna obsługa... Właśnie – za dużo ideałów. Ja tutaj po prostu nie pasowałam.

Za każdym razem, choć nie było ich aż tak wiele, odczuwałam w tego typu miejscach tremę. Wszystko mnie peszyło, a najbardziej – ekspedientki. Jak to w ogóle jest możliwe, żeby być tak doskonałym wizualnie, bez żadnej skazy? Perfekcyjny makijaż, wykonany wprawną ręką, bez skuchy typu osypujący się z rzęs tusz, nadjedzona szminka czy odbity na powiece cień. Włosy błyszczące i gładkie. Stroje doskonale skrojone, bez jednego zagniecenia, że o plamce nie wspomnę. Bardzo mnie to deprymowało. Czułam się przy nich jak uboga krewna, co przecież było głupie, bo to ja przychodziłam na zakupy. Owszem, one zawsze były profesjonalne i pomocne, jak teraz, ale wydawało mi się, że tak

naprawdę to patrzą na mnie z politowaniem, zastanawiając się, jak można mieć tyle defektów: brak makijażu (tusz na rzęsach to jednak nie jest kompletny make-up), roztrzepane włosy, które nie chcą się dać ujarzmić, wymięta mimo prasowania bluzka. Może byłam przewrażliwiona, może brakowało mi pewności siebie, a pewnie i jedno, i drugie, ale tak to właśnie odczuwałam. Znajdowałam się jednak w sytuacji podbramkowej, więc moje lęki musiały zejść na drugi plan. Szukając odpowiedniego sklepu z ciuchami, wybrałam taką trasę, żeby zahaczyć o Wierzyńka. Z ciekawości zajrzałam do restauracyjnego menu, wystawionego przed lokalem na eleganckim stoliku. Jeśli Maciej tyle zabuli za naszą kolację, to powinnam mieć na sobie coś adekwatnego do klimatu tego miejsca i nie odstawać wyglądem od innych gości.

Adekwatnego... Tak powiedział Staszek, kiedy zastałam go nieubranego w moim mieszkaniu. Jakie wnętrze kryło się pod tą – bardzo atrakcyjną – powierzchownością? Nie, to zdecydowanie nie był prosty chłopak, bez manier i obycia. Mierząc kolejny ciuch na wieczór z innym mężczyzną, myślałam właśnie o Staszku. Nie potrafiłam go wyrzucić z głowy. Zresztą – niespecjalnie próbowałam.

– Ten zestaw jest praktyczniejszy. Zarówno spodnie, jak i koszulę można łączyć z innymi ubraniami. – Asystentka Jola przerwała moje rozmyślenia. – Oczywiście, sukienka też będzie doskonałym wyborem – dodała szybko. Może się obawiała, że w swojej szafie nie mam niczego, co mogłoby pasować do tych eleganckich ubrań, więc argument o możliwości noszenia ich oddzielnie jest nietrafiony.

Westchnęłam. W zestawie, który teraz miałam na sobie, wyglądałam jak prezeska firmy – władcza i stanowcza. Granatowe spodnie w kant, długość siedem ósmych, z podwyższonym stanem, wpuszczona w nie koszula z kołnierzem jak u Słowackiego. Zaszywki tam, gdzie powinny być, nic się nie rozłaziło na biuście – nie to, żebym miała ogromny, ale bluzki z sieciówek zwykle nie wytrzymały próby w przymierzalni i na moich piersiach albo się opinały, albo marszczyły, albo rozjeżdżały; tu było perfekcyjnie.

Spodnie dopasowane mocno, ale tak jak trzeba. Nie znosiłam biodrówek – nie dość, że miałam poczucie, iż zaraz mi zjadą z pupy, to jeszcze ten absurdalny fason, który sprawiał, że wszelkie nadwyżki ciała w okolicy brzucha były wypychane ponad zapięcie spodni i tworzyła się okropna oponka. Tu było super – szeroki pas materiału ścisnął i zbierał boczki i fałdki jak gorset.

Spojrzałam na odwieszoną na ramę lustra czerwoną sukienkę. Też była świetnie skrojona, ale ten kolor, taki... ostentacyjnie randkowy. Poza tym sukienka była jedną sztuką odzieży. A przy zestawie spodnie plus koszula za podobne, astronomiczne jak na moje zwyczaje zakupowe pieniądze dostawałam dwie rzeczy. Ostrożność w randkowaniu i krakowski centuś wygrali.

– Zdecydowałam się na ten zestaw – odparłam, pokazując dłonią na włożone ciuchy.

– Doskonały wybór – pochwaliła mnie sprzedawczyni. – Dobieramy buty?

Obie spojrzaliśmy w dół, na moje tenisówki. Były granatowe, ale poza kolorem niczym się nie broniły.

– Mogę zaproponować szpilki, klasyczne, choć z nutą ekstrawagancji. – Pani Jola błyskawicznie i bezszelestnie wróciła z butami. Nawet ładnymi. Czarne, ale ze śmiesznym spodem, w biało-czarną kratkę, i z czerwonym flekiem na obcasie. – Jaki numer pani nosi?

– Trzydzieści osiem.

– Wspaniale, to właśnie ten rozmiar, proszę spróbować.

„Spróbować” to w przypadku mnie i szpilek dobre określenie. Cóż, nawet przejście po miękkim i równym podłożu sklepu stanowiło dla mnie spore wyzwanie. Przesuwałam się jak na szczydłach, wychylając do przodu. Zero wdzięku, walka o zachowanie uzębienia. Oczywiście, miła pani Jola nic nie dała po sobie poznać, tylko zaproponowała baleriny. Ku mojemu zdziwieniu bardzo wygodne, wręcz jak kaptcie, a przy tym jednak eleganckie – w stalowoszarym kolorze, lakierowane, ze śliczną wstążeczką z przodu.

Przygotowana do kolacji z Maciejem i uboższa o równowartość kolejnego piecyka, poszłam w stronę domu. Wybrałam numer babci. Miałam ochotę na popołudniowe spotkanie. Stęskniłam się za nią. I, szczerze mówiąc, za jej kuchnią. W sponiewieranym przez remont domu nieszczególnie dysponowałam warunkami do gotowania. Chęci także mi trochę brakowało. Kiedy miałam przygotować coś do jedzenia tylko dla siebie, uważałam, że to strata czasu. Stać nad garnkami, a potem w samotności jeść?... W takiej sytuacji robiłam sobie po prostu kanapkę lub wrzucałam na patelnię jakąś mrożonkę. To zaspokajało głód, ale doznań kulinarnych nie dostarczało.

– Dzień dobry, Klaruniu! – Usłyszałam ciepły głos babci. Od razu się uśmiechnęłam.

– Cześć, babciu! Nie przeszkadzam? – zapytałam zgodnie z dobrymi manierami, pchana do tego wyrzutami sumienia, że chcę się zwalić babci na głowę w celach nie tylko towarzyskich, lecz także konsumpcyjnych.

– Skąd, kochanie, właśnie wróciłam z zakupów. Zdążyłam pochować rzeczy do lodówki i usiąść, i w tym momencie ty zadzwoniłaś. Idealnie się wpasowałaś.

Rozpromieniłam się i postanowiłam od razu przejść do sedna.

– No to świetnie, babciu. Dzwonię, bo chciałabym cię dziś odwiedzić. Też wracam z zakupów, choć nie spożywczych – odpowiedziałam szybko, żeby nie zostawiać pola ewentualnym domysłom. – Odłożyłabym torby i pojechała do ciebie. W domu remontowy rozgardiasz, właściwie tylko tam śpię. Poza tym staram się uciekać. Żadnych warunków do spokojnego wypoczynku, kąpieli czy jedzenia. – Po „jedzenia” zawiesiłam głos, czekając na ofertę babci.

– No tak, moje biedactwo. Trzeba przez to przejść, nie ma innej rady. – Babcia szczerze się zatroskała. – Nie wolno jednak dopuścić, by zdrowie na tym ucierpiało. Odpowiednie posiłki to podstawa. – Te słowa rozlały się ciepłem po moim sercu. – Dziś już nie zdążę niczego przygotować, ale jutro serdecznie cię zapraszam,

słoneczko.

Spojrzałam na zegarek. Była trzecia. Może na pieczoną perliczkę czasu by nie starczyło, ale na lane kluski lub naleśniki?... To już drugi raz, kiedy babcia nie miała dla mnie czasu. Poczułam się i zaintrygowana, i zawiedziona.

– Jutro nie mogę, mam spotkanie. W sprawie pracy – powiedziałam, obstawiając, że babcia zrewanżuje mi się wyjaśnieniem co do dzisiejszego popołudnia i swojej niedostępności. Pudło.

– W aptece? – zapytała.

– Nie, w tej firmie badawczej, z polecenia Ani i Tomka.

– Grad ofert. To fantastycznie, Klaruniu. W takim razie możemy się umówić na piątek. Albo w weekend, to już jak wolisz. A jutro będę trzymać za ciebie kciuki. Denerwujesz się?

Właściwie to nie, pomyślałam. Bardziej się denerwowałam powrotem do domu i byciem sam na sam ze Staszkiem. No, może nie tyle denerwowałam, ile byłam podekscytowana. Lekko dygotałam w rytm swojego rozhuśtanego serca. W przypadku czwartkowej kolacji bałam się jakiejś wpadki, niestosowności. To była innego rodzaju niepewność, związana raczej z rozumem.

Umówiłam się z babcią na piątek i schowałam telefon do torby.

Otworzyłam drzwi i weszłam do klatki. Wspinałam się na ostatnie piętro i zastanawiałam nad planem na drugą połowę dnia. Postanowiłam dokończyć porządkowanie rzeczy złożonych w służącej teraz za składzik spiżarni, a potem pójść na obiadokolację do Poziomki. Kilkanaście złotych wobec niedawnych wydatków to pikuś. Będzie mi trochę smutno i samotnie, ale w domu byłoby jeszcze smutniej i jeszcze samotniej. No i zdecydowanie mniej smacznie.

Przystanąłam przed drzwiami do mieszkania. Nie dobiegał zza nich żaden hałas, czyli Staszek nie prowadził ciężkich robót. Ciekawe, co robił. Wciąż stremowana po niedawnych doświadczeniach, gdy zastałam go w mocno nieformalnym stroju, miałam opory, by tak po prostu nacisnąć klamkę i wejść. Głupota,

bo to w końcu moje mieszkanie, ale trudno, każdy z nas ma swoje małe dziwactwa. Wyciągnęłam klucze, podniosłam wysoko rękę i wypuściłam je z dłoni. Brzdęknęły o posadzkę, aż zadudniło. „Cholera!” – krzyknęłam, chyba trochę za głośno. Odchrząknęłam i nacisnęłam klamkę.

Staszek był w przedpokoju, coś majstrował przy lampie. Na pewno mnie usłyszał, miałam tylko nadzieję, że nie przyglądał mi się przez wizjer, jak odstawiam ten cyrk przed wejściem.

– Ekhem, dzień dobry. Załatwiłam, co miałam załatwić, i jestem z powrotem. A jak na froncie robót? – zapytałam z lekką chrypką. Dlaczego tak trudno mi było zapanować nad głosem?...

– Dobrze, sytuacja opanowana, choć było ciężko. Instalacja elektryczna w tym mieszkaniu jest jak pole minowe. Mocno się nabiedziłem, żeby to wszystko wyprostować. – Uśmiechnął się.

Rzeczywiście, wyglądał na zmęczonego. Zawstydzona, przesunęłam nogą elegancką papierową torbę z ciuchami za siebie. W sklepie Catherine czułam się przy ekspedientce jak Kopciuszek, kopciuch nawet, nieatrakcyjna, nie dość zadbana i niewystarczająco zamożna, w domu, przy Staszku – próżna i zajmująca się głupotami. Mimo wielu lat pracy nad sobą wciąż byłam swoim najsurowszym sędzią. Ech.

– To się bardzo cieszę. Idę sprzątać do spiżarni, gdyby pan czegoś potrzebował, proszę dać znać.

Z ulgą zamknęłam się w małym pomieszczeniu. Trochę byłam na siebie zła – z jednej strony wypatrywałam u niego oznak zainteresowania, z drugiej – nie stwarzałam okazji, by mogły się rozwinąć i rozkwitnąć.

Po blisko dwóch godzinach byłam całkiem zadowolona z efektu moich starań. Pod jedną ścianą piętrzyły się pudła, starannie opisane: książki, dokumenty, pamiątki, wazon i bibeloty, nici i przybory. Pod drugą – dwa niewielkie worki ze śmieciami. Pomiedzy nimi niska kupka pozostałych do przejrzania rzeczy. Można powiedzieć, że ten etap prac porządkowych był prawie skończony. Większe wyzwanie stanowiła piwnica, ale tym



postanowiłam się zająć na końcu. Jutro miała przyjechać firma sprzątająca i podstawić kontener na gruz. Wtedy się przejaśni i łatwiej mi się będzie rozeznac w piwnicznych zasobach.

Opuściłam swoją kryjówkę. W środkowym pokoju było pusto. Zajrzałam do salonu – tam też. W okienku między kuchnią a łazienką, wstawionym wysoko, tuż pod sufitem, dostrzegłam światło. Czyli Staszek zajmował się flizami. Spojrzałam na zegarek. Była piąta. Najwyższa pora na jedzenie. Przed wyjściem chciałam jeszcze skorzystać z toalety i trochę się odświeżyć, bo miałam poczucie, że wciągnęłam tyle pyłu i roztoczy, co najsilniejszy odkurzacz.

Nie było potrzeby pukać, pomieszczenie stało otworem. Staszek, już przebrany w płócienne spodnie i T-shirt, wymierzał coś na ścianie.

– O, dobrze, że pani jest. Na dziś to wszystko, czekam, aż klej zwiąże. Jutro fugi i szpachlowanie w przedpokoju. Przyjrzałem się hydraulice i myślę, że mógłbym zrobić biały montaż, żeby nie narażać pani na dodatkowe koszty. Tylko nie wiem, co zostaje, a co jest do wymiany. Umywalka ma spękaną porcelanę, warto wstawić nową. Wanna...

– Lubię wannę. Ma takie ładne nogi. Kiedy byłam mała, wyobrażałam sobie, że to krokodyl. Nie jest w idealnym stanie, ale może coś da się zaradzić?

– Pewnie, że się da – potwierdził Staszek. – To żeliwna wanna. Nie do zdarcia. Wytrzyma kolejne pokolenia.

Cóż, nie była intensywnie eksploatowana, pomyślałam. I istnieje spore prawdopodobieństwo, że na mnie się to użytkowanie skończy. Staszek nie zauważył mojego chwilowego wahnięcia nastoju i pogodnie kontynuował:

– Trzeba odczyścić i nałożyć warstwę emalii.

– A to nie będzie taka naprawa, że koszt wyższy od zakupu nowego sprzętu? – wyraziłam obawę. O fachowców coraz trudniej, więc się cenią, to już wiedziałam.

– Właściwie to ja mógłbym to zrobić. Żadna filozofia, potrzeba

tylko trochę czasu i cierpliwości.

– Naprawdę? – zdziwiłam się.

– Prawie wszystko da się zrobić, gdy są chęci. A ja mam chęci.

Jak on się ładnie uśmiecha, pomyślałam.

– Tak, to jasne. Po prostu jestem pod wrażeniem pana umiejętności. A ile by to kosztowało?

– Sprawdź ceny materiałów i jutro pani powiem. Mógłbym teraz, w komórce, ale łatwiej w komputerze, w... domu. – Jakby się zawahał przy tym określeniu.

Chciałam powiedzieć, że jest bardzo miły, ale w tym momencie zaburczało mi w brzuchu. Głośno, bulgocząco, w taki sposób, którego wszyscy się wstydzą, gdy zdarzy im się to w towarzystwie.

– Zwalniam łazienkę i kuchnię, proszę korzystać – oznajmił. – Regularne posiłki to ważna sprawa. Nie można tego zaniedbywać. A my zaniedbaliśmy. – Taktownie dał mi do zrozumienia, że usłyszał żądanie mojego żołądka. – Oboje – dodał. I zamilkł.

– A może poszlibyśmy razem coś zjeść? – Z pewnym zdziwieniem usłyszałam, jak zadaję to pytanie – skoro jemu zabrakło odwagi. Serce musiało ogłuszyć rozum i przejść do ataku. – Blisko jest miły i niedrogi bar – dodałam prędko. Oprzytomniały rozum zadbał, by zabrzmiało to możliwie niezobowiązująco i na luzie.

– Z prawdziwą przyjemnością – odparł Staszek.

\* \* \*

Drugiego człowieka poznaje się w boju. Niekoniecznie muszą to być jakieś wielkie sprawy czy wydarzenia – drobne też pozwalają ocenić, czy jest nam z kimś po drodze. W końcu życie składa się z drobiazgów.

Gdybym przyszła do Poziomki z Pawłem, kręciłby nosem. Że garkuchnia, że mały wybór, że tandetny wystrój i emerycki klimat. Staszek stwierdził, że to „bardzo przytulne miejsce”, za co od razu dopisałam mu plus. Bez marudzenia i wahania poprosił o zupę jarzynową i kotlety jajeczne, czym również mnie ujął, bo który facet

nie ma warzywnej fobii, lubi zupy i generalnie nie żywi się mięsem? Ja, choć nie byłam wojującą wegetarianką, starałam się nie wybierać dań zrobionych z naszych braci mniejszych.

Usiedliśmy przy stoliku i zaczęliśmy jeść.

– Pani tu chyba często przychodzi, prawda? – zapytał Staszek. – Zauważyłem, że kiwnęła pani głową tej parze przy oknie. – Wykonał delikatny ruch brodą w kierunku stolika. – Tak jakbyście się znali tylko z widzenia.

– Owszem – przyznałam. – Przychodzę tu od czasu do czasu. Jest pan spostrzegawczy – dodałam z podziwem.

– Skrzywienie zawodowe. – Uśmiechnął się.

– Tak, przyjrzałam się wczoraj wieczorem. Nie mam, co prawda, pojęcia o sprawach technicznych, ale na oko wszystko wygląda super. Gładko, równo i czysto. Żadnego pęknięcia czy rysy pan nie opuścił.

Staszek jakby posmutniał. A może się zmieszał?... W końcu powiedział:

– W pracach remontowych też się staram o dokładność, ale miałem na myśli mój pierwszy zawód, wyuczony.

Zastygłam z łyżką pomidorowej w połowie drogi między talerzem a ustami.

– Czyli?... – zapytałam, zawieszając głos.

– Historyk. Z wykształcenia jestem historykiem.

O matko, jak to? Studiował historię, a teraz zajmuje się reliktem epoki, czyli moim mieszkaniem? A może nie skończył studiów? Staszek jakby czytał w moich myślach, bo powiedział:

– Uczyłem się tu, w Krakowie, na UJ-ocie. Po zrobieniu dyplomu wróciłem do domu, to znaczy do Witowa.

– I zajął się pan remontami? – zapytałam zdumiona. Pięć lat studiów na dobrej uczelni, by zaraz po jej opuszczeniu łapać się za szpachlę?

– Nie, zacząłem pracę w szkole.

Szpachla w sumie dziwiła mnie mniej niż szkoła. Staszek przy tablicy, z dziennikiem pod pachą?!

– Początkowo chciałem się zajmować historią w inny sposób, widziałem siebie w archiwach, przy książkach, ale potem... Sytuacja się zmieniła. Musiałem wrócić z Krakowa w rodzinne strony, więc zrobiłem specjalizację nauczycielską i zacząłem uczyć w naszej szkole, to znaczy w tej, do której sam kiedyś chodziłem.

Strasznie mnie korciło, żeby zapytać o szczegóły. Dlaczego wtedy musiał wrócić w góry? A teraz – znowu z nich wyjechać? Za takimi decyzjami życiowymi u facetów zwykle stoi jedno – kobieta. Wyobrażnia podsuwała najprostszy scenariusz: wtedy pojechał w rodzinne strony, bo czekała tam na niego miła dziewczyna z sąsiedztwa. W ciąży, zapewne nieplanowanej. Dlatego porzucił Kraków i marzenia. Teraz wyjechał, co mogło znaczyć, że tamten związek się rozpadł, bo na przykład ona go zdradziła i zostawiła. Ale zdradzać takiego miłego chłopaka?... „To może – podsunął podły rozum – on ją zdradził, a ona kazała mu się pakować, natychmiast i już”. Tak, to było logiczniejsze. Sercu zrobiło się smutno. Czy wszyscy mężczyźni na tym świecie są tacy sami?... Pomidorowa nagle przestała mi smakować.

– A teraz znowu w Krakowie. – Ni to zapytałam, ni to stwierdziłam. Już wcale nie byłam pewna, czy chcę poznać jego historię. Czasem wyobrażenia i złudzenia są lepsze od rzeczywistości.

– No tak. Dość gwałtowna zmiana, na którą nie byłem przygotowany. Dlatego mnie pani zastała rano u siebie. Szczęśliwy zbieg okoliczności, że akurat szukała pani kogoś do remontu. I że akurat pani szukała kogoś do remontu.

„Z drugiej jednak strony – odpowiedział łaskawy rozum – gdyby był wiarołomnym mężem i żona wyrzuciłaby go z domu, toby pojechał do kochanki, a nie spał na karimacie u pracodawczyni”. W serce znów wstąpiła nadzieja.

– A dlaczego, jeśli mogę zapytać, wybrał pan to zajęcie? Nie chce pan znowu uczyć w szkole? Tu, w Krakowie?

– Nie wiem, szczerze mówiąc. Teraz to i tak martwy okres, bo zaraz koniec roku i wakacje. Może, ewentualnie, od jesieni.

Lubiłem tę pracę, nawet bardzo. Dzieciaki, gdy się je zainteresuje, potrafią się fantastycznie wciągnąć w naukę. Ale pensja... Trudno się z niej utrzymać, nawet kiedy człowiek jest sam i ma własne lokum. Budowlanka zapewnia większe zarobki. Cóż, taka proza życia, nie obrażam się. Zresztą czasem bywa tak, że gdy wszystko się wali, to po to, żeby potem zbudować coś lepszego, trwalszego. Los potrafi się odmienić w jednej chwili.

Znowu zobaczyłam to samo spojrzenie co na peronie. Pogodne, ciepłe, niezachwiane. Czy ktoś, kto tak patrzy, mógłby robić niefajne rzeczy?... Rany! Teraz do mnie dotarło to, co powiedział chwilę wcześniej: „że akurat pani szukała kogoś do remontu”. Że akurat ja! Serce podskoczyło. Staszek był bardzo subtelny, ale co się dziwić – połączyły nas relacje szefowa–pracownik.

– A pani czym się zajmuje? Jeśli, oczywiście, ma pani ochotę o tym opowiadać.

– Jestem farmaceutką.

– O, to chyba ciekawe zajęcie. Pracuje pani w aptece?

– Tak. To znaczy chwilowo nie. A tak dokładnie to do jesieni jestem na etacie w Warszawie i właśnie się zastanawiam nad pracą w Krakowie. Mam dwie propozycje – znowu apteka albo firma badawcza.

– Obie brzmią dobrze. – Staszek się uśmiechnął. – I to z ich powodu przeprowadziła się pani ze stolicy tutaj?

Pytanie było niewinne i naturalne, ale nie wiedziałam, jak na nie odpowiedzieć. Przecież nie powiem o Pawle. „Proszę, oto siedzi przed panem porzucona narzeczona” nie zachęca do pogłębiania znajomości. Na pewno by się zastanawiał, dlaczego jakiś facet mnie zostawił niemal przed ołtarzem. Nie, nie, nie. Historia rodzinna Majewskich, czyli sto lat bez ślubu i pamiątek prababci ze Staszkiem Morlaczonkiem w roli głównej, to jeszcze gorszy wątek. Rodzinny feler na całego plus obsesja wyjścia za mąż. Plus wiara w fatum. Plus wiara w przeznaczenie. Facet, a do tego historyk, po wysłuchaniu takich rewelacji mógłby zrobić tylko jedno – uciec. I pomyśleć, że to ja się doszukiwałam w jego życiorysie nie

wiadomo jakich tajemnic i mrocznych stron.

– Sprawa rodzinna. Odziedziczyłam mieszkanie po prababci, to na Wiślniej właśnie. W Warszawie nie miałam własnego lokum, więc decyzja była prosta.

„Ha, ha, ha” – ryknął rozum.

– No i mam tu babcię. Jej będzie różnie, mnie będzie różnie. Rodzina to jednak siła, ale góralowi to chyba nie muszę tłumaczyć – góralska rodzinność i trzymanie się razem to oczywiste sprawy.

Może mi się wydawało, ale chyba przez jego twarz przebiegł delikatny grymas smutku. Przez chwilę Staszek się nad czymś zastanawiał, potem lekuchno nachylił, jakby chciał coś powiedzieć. Zniżyłam głowę nad ceratą, stężałam w napięciu i wtedy zamiast jego cichego szeptu usłyszałam wyraźny, dziarski kobiecy głos:

– Kompotu jeszcze dolać? Bo za kwadrans zamykamy.

Czar prysł. Moment zbliżenia się skończył. Cholera jasna, bary to jednak nie są miejsca na randki.

– Smacznie tu karmią – powiedział Staszek, już wyprostowany i opanowany. – Chętnie bym powtórzył taki wspólny posiłek. I takie miłe popołudnie.

Nic nie powiedziałam, bo z tych emocji zaschło mi w gardle, a poirytowana na niesprzyjające miłości godziny pracy kuchni, nie poprosiłam o kolejną porcję napoju z truskawek. Uśmiechnęłam się więc i pokiwałam energicznie głową.

Nie tylko moje serce trzepotało.

W nocy przyśnił mi się piękny, spokojny sen – mała polana na skraju lasu, u stóp gór. I rosły tam poziomki. Aromatyczne, niebiańsko słodkie. Zrywałam je razem ze Staszkiem.

## Rozdział szósty



Klient w mackach sklepu jest całkowicie bezbronny. Fachowcy wiedzą, jak go podejść. Ustawiają te małe regały ze słodkimi przekąskami tuż przy kasie – nisko dla nudzących się w kolejce dzieci, wyżej – dla zgłodniałych, poirytowanych dorosłych. Rozpylają aromaty z ciepłego pieca na stoisku z pieczywem, sączą do uszu romantyczne piosenki przy perfumach. I na pewno majstrują przy lustrach w przymierzalniach. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że w salonie Catherine się sobie podobałam, a teraz, na Wiślniej, odbicie w tafli szkła toaletki budziło przede wszystkim moje zdziwienie. To na pewno ja?... A może to była kwestia otoczenia? Mój strój komponował się z elegancką panią Jolą, bielą i nowoczesnym wnętrzem. Teraz – był elementem ewidentnie obcym. I ja się tak w nim czułam – obco. I tak jakoś... ostro. Modliszkowato.

To jest właśnie wyjaśnienie zagadki ubrań, które nowe, z nieodciętymi metkami lub ledwie raz włożone, zalegają na półkach i wieszakach w garderobie – jakiś impuls, zachęta sprzedawczyni, wyobrażenie sobie siebie w nowym wcieleniu sprawiają, że wracamy do domu z kupionym ciuchem, a potem, gdy go wkładamy, myślimy: „Jak mogłam coś takiego wybrać? Przecież to zupełnie nie w moim stylu”.

Nagle jakby zabrakło mi odwagi. Spodnie były ładne. Koszula

była ładna. Ale ja w nich... jak przebrana. Może to kwestia fryzury? Ściągnęłam włosy w ścisły kucyk i uformowałam kok. Pasowało do stylizacji, ale nie do mnie. Trudno, niech zostanie.

Makijaż wydał mi się nieodzowny na taką okazję. Usiadłam na krześle przed owalnym lustrem i wyciągnęłam z szuflady kosmetyki. Do babcinych puzderek i pudełek dołożyłam swoje zbiory. Nie było tego wiele. Sięgnęłam po fluid i już miałam nacisnąć pompkę, kiedy przypomniało mi się, że lateksowa gąbka powinna być wilgotna. „Inaczej będziesz mieć na twarzy maskę pośmiertną” – pouczyła mnie Anka, fachowiec-samouk z YouTube’a. Udałam się więc do kuchni i delikatnie ją namoczyłam. Wróciłam przed lustro i zrobiłam na niej kleks z fluidu, uważając, żeby nie upaść koszuli. Poszło mi nawet sprawnie. Twarz zrobiła się gładza, choć przy okazji zamalowałam piegi. Trudno. A może nawet lepiej? Piegi kojarzyły się z Pippi Langstrumpf, ewentualnie z Anią z Zielonego Wzgórza, a nie ze specem od podziałów komórkowych. I elegancką kobietą sukcesu.

Właściwie to nie wiedziałam, czego oczekiwać od dzisiejszego wieczoru. Atmosfera była gęsta od niedomówień. Niby to spotkanie przed właściwą rozmową o pracę, ale w eleganckiej restauracji i wieczorem. Niby szukam etatu, ale i faceta. Maciej jest potencjalnym pracodawcą, lecz także zachwalanym przez Ankę materiałem na partnera życiowego.

Nie wiedziałam również, jaka intencja przyświeca jemu, dlaczego właściwie się ze mną umówił. Czy jemu Tomek też pokazał moje zdjęcie? Czy polecał mnie jako odpowiednią kandydatkę na randkę, czy tylko jako specjalistkę od leków?

I pytanie, którego nie chciałam sobie zadać, ale które zdecydowanie powinno paść: czy miałabym inne nastawienie do tej sytuacji, gdybym nie poznała Staszka.

„Tak” – szepnęło serce.

„Tak!” – huknął rozum.

Tak, zgodziłam się z nimi.

Nie potrafiłam sobie wybić z głowy tego faceta. Prawie go nie



znałam, a to, czego się o nim dowiedziałam, było albo tajemnicze, albo zniechęcające.

„Lecisz jak ćma do światła – ostrzegła mnie Anka. – W dodatku do swojego wyobrażenia o Staszku, a nie do niego prawdziwego. Uważaj, możesz się mocno poparzyć”.

Przyjmowałam to wszystko, bo trudno odrzucić logiczne argumenty, a jednak...

Po raz pierwszy w życiu serce wysunęło się przed rozum. Owszem, w Pawle byłam zakochana, ale on był taki... bezpieczny. Dobrany według klucza – ja, studentka UW, on, student UW. Ja z Warszawy, on z Warszawy. W tym samym wieku, z podobnych środowisk. Byliśmy spasowani. A jednak nie wyszło.

Skoro rozum zawiódł, to może należałoby dać szansę sercu?...

„Nie nastawiaj się i nie uprzedzaj” – zabrzmiał mi w głowie kaprałski głos Anki. Postanowiłam go słuchać przez kilka najbliższych godzin.

\* \* \*

– Krem z kiszanej kapusty w tiulu kminkowym dla pani, krem rakowy dla pana. – Kelner pojawił się bezszelestnie za moimi plecami i postawił na śnieżnobiałym obrusie dwa talerze z misternymi konstrukcjami kulinarnymi. Były tak piękne, że aż żał je było naruszyć. W przypadku zamówienia Macieja powód, dla którego nie tknęłabym jego przystawki, był jeszcze jeden – wyobrażałam sobie cierpienia raka, który stracił życie w Wierzyńskiej kuchni.

– Dzieła sztuki – powiedziałam, wpatrując się w dania. – Wszystko tutaj przykuwa wzrok, sala i jej wystrój też.

– Widoczna jest inspiracja stylem doryckim: rzeźbione kasetony, delikatne malowidła i kolumny utrzymane w starożytnym stylu. Ten wystrój to jak zaproszenie do podróży w czasie. I w dodatku w takim miłym towarzystwie. – Uśmiechnął się Maciej.

A ja się zarumieniłam.

Bardzo tu pasował. Był niezwykle elegancki, choć z nutą nonszalancji, która cechowała tych, co mieli dużo pieniędzy i nie musieli tego na siłę obwieszczać całemu światu. Idealnie skrojona ciemnoniebieska marynarka, jakby ktoś zdjął z niego komputerowo formę, a potem wydrukował ją w 3D. Granatowe spodnie, granatowe mokasyny, żółto-niebieskie skarpety i dopasowana do nich poszetka w kieszonce marynarki. Bardzo ładne były te ubrania. I on w nich też ładny. Nie można mu było odmówić urody – wysoki, szczupły. Perfekcyjnie obcięte włosy. Mocny, ale nienachalny zapach dobrej wody kolońskiej. Facet z amerykańskiego żurnala.

Zauważyłam, że dwie kobiety przy stoliku obok taksowały go spojrzeniami. Ewidentnie przypadł im do gustu. Z satysfakcją pomyślałam, że to ja siedzę naprzeciwko tego obiektu damskich westchnień. Zazdrość innych poprawia nam samopoczucie – najwyraźniej i ja nie byłam wolna od tej brzydkiej skazy.

Choć przecież nie tylko uczucie bycia wybraną sprawiało, że wieczór przebiegał w całkiem miłej atmosferze. Maciej był odpowiednim towarzyszem, w każdym calu. To taki mężczyzna, przy którym kobieta czuje się kobieca: czekał przed restauracją, otworzył mi drzwi, odsunął krzesło przy stole, zabawiał rozmową. Był elokwentny i inteligentny. Szarmancki i dobrze wychowany.

– Uroczy wieczór – powiedział, gdy kelner zabrał pucharki po naszych deserach. – Mam nadzieję, że to początek mojego udanego pobytu w Krakowie. Udanego pod każdym względem – dodał niskim, aksamitnym głosem, który, zupełnie bez moich świadomych chęci, wywołał u mnie gęsią skórkę.

– Na pewno tak będzie, Tomek i Ania mówią, że czego się pan nie tknie, zamienia pan w złoto – zapewniłam go entuzjastycznie, zmieniając temat na sprawy zawodowe. Tak mi się przynajmniej wydawało.

– Czasem kruszec jest tak szlachetny, że nie potrzebuje żadnych alchemicznych sztuczek – odparł.

On mnie... podrywał! Nie: on ze mną flirtował – subtelnie,

delikatnie, wyrafinowanie. Z klasą i wyczuciem, jak w starych filmach. Ze zdumieniem odkryłam, że to mi imponowało. Czułam się adorowana i zaopiekowana. Te uczucia się pogłębiły, kiedy opróżniliśmy do końca butelkę szampana. „Na zakończenie kolacji i dobry początek” – oznajmił Maciek, z którym zdążyłam przejść na ty. Bąbelki z alkoholem dodały mi animuszu i odwagi, zwłaszcza że wcześniej piłam już wino. Zrobiłam się bardziej rozmowna i odważna.

Oczywiście Maciej zaoferował się, że mnie odwiezie do domu. Chciał zamówić taksówkę, ale zaproponowałam spacer. Czułam, że przewietrzenie jest mi potrzebne.

Noc była przepiękna, wielki srebrny księżyc wisiał nad Wawelem, a obok nas właśnie przejechała dorożka. Bajkowa sceneria. Jeszcze tylko brakowało, żeby zegar wybił północ.

Gdy wyszliśmy na świeże powietrze, pomyślałam, otrzeźwiona lekkim podmuchem wiatru, że ciut przeholowałam z alkoholem. Mam tak słabą głowę, że powinnam się pilnować i po góra dwóch kieliszkach odmówić dalszego picia. Niestety, dałam się ponieść chwili. Teraz, lekko skonsternowana, gorączkowo się zastanawiałam, czy nie powiedziałam czegoś niestosownego lub głupiego. W głowie mi szumiało, a krajobraz leciutko się rozmazywał.

Maciek podał mi ramię, z którego skorzystałam. Pewnie prowadził mnie po nierównym bruku. Milczeliśmy. Mnie wracała ostrość myślenia, on z zaciekawieniem przyglądał się mijanym kamienicom i kościołom.

To był, mimo mojej chwilowej lekkiej niedyspozycji i ku mojemu zdumieniu, przyjemny wieczór. Wydarzenia ostatnich tygodni sprawiły, że żyłam wyłącznie prozą – praca, zakupy w markecie budowlanym, machanie wałkiem, sprzątanie, kłopoty, zmartwienia. Kolacja w Wierzynku przeniosła mnie na kilka godzin w świat poezji. Pieniądze szczęścia nie dają, ale potrafią zbudować taką scenografię, że człowiek czuje się jak w pięknej bajce.

Doszliśmy do mojej kamienicy.

– Urokliwe miejsce – powiedział Maciek, przyglądając się lipom.

– Posadziła je moja prababcia Emilia – odparłam dumna.

– To dość niezwykle jak na tamte czasy. Emilia musiała być samodzielną kobietą. – Uśmiechnął się.

Samotną raczej, pomyślałam, głośno zaś oznajmiłam:

– O tak, bardzo. To cecha charakterystyczna Majewskich. Takie właśnie jesteśmy.

– Jesteście fantastyczne – stwierdził miękko Maciek. – Ty jesteś fantastyczna.

Żadna kobieta nie jest odporna na umiejętnie podany komplement, zwłaszcza zaserwowany w odpowiedniej chwili i scenerii. Na bulwarach majaczyło rozmyte światło latarni, oświetlając granatową wstęgę Wisły. Nad nami tańczyły zielone liście lipy. A my staliśmy osrebrzeni blaskiem księżyca.

– Dziękuję – szepnęłam.

Wyciągnęłam rękę, żeby się pożegnać. Czułam, że balansuję na linii. Z każdą chwilą myślałam coraz trzeźwiej, a rozum, odzyskując sprawność działania, próbował ostrzec, bym nie wykonała fałszywego ruchu.

Maciej ujął moją dłoń w swoje ręce i złożył na niej delikatny pocałunek. A potem zrobił jeden krok, nachylił się w moją stronę i mnie pocałował. Przez chwilę zrobiło mi się ciemno przed oczami – z oszołomienia i dlatego, że księżyc zniknął, przesłonięty sylwetką mojego towarzysza.

Nic nie powiedziałam, nie wykonałam żadnego gestu, stałam skamieniała.

Maciek się uśmiechnął, skinął głową i odszedł w ciemną noc.

Powoli wracał mi oddech, a odrętwienie ustąpiło miejsca dygotowi.

Odwróciłam się w stronę drzwi frontowych i wtedy go zobaczyłam.

Stał przy swoim samochodzie. Kilkadziesiąt metrów ode mnie. Patrzył na mnie.

Staszek.

## Rozdział siódmy



Byłam na niego zła. Cholernie zła. Za wszystko.

Za to, że wczoraj się pałętał koło mojego domu. Co on tam właściwie robił o jedenastej w nocy? Śledził mnie czy co?!

Za to, że dziś rano kulturalnie się przywitał, nawet słówkiem się nie zająknąwszy na temat wieczornej sceny. Zupełnie jakby nie było tych wszystkich miłych słów, tych nieprzegadanych zdań, które potwierdzały, że on odwzajemnia wszystko, co do niego czuję. A przecież czuję, czułam, że nie jestem mu obojętna, że między nami jest coś, że to nie tylko moje zauroczenie.

I na Maćka byłam zła. Nie wystarczyły mu pocałunek w rękę? Zresztą co to w ogóle za pomysł z tym całowaniem w dłoń – uściśnięcie byłoby w sam raz.

Akurat.

Prawda wyglądała tak, że byłam zła na siebie.

Wszystko poszło nie tak. I to przeze mnie.

Maciek był miłym, kulturalnym i majątnym facetem. Aż tyle i tylko tyle. A ja przeholowałam wczoraj z szampanem. Dałam się ponieść chwili, emocji, wyobrażeniom. Zachowałam się jak księżniczka z bajki, tyle że to nie była moja bajka. Rano, kiedy zniknęły dekoracje i wyparował alkohol, boleśnie to sobie uświadomiłam. Maciej był idealny – gładki w wyglądzie, obyciu i zachowaniu. Tak gładki, że nie było w nim żadnej drzazgi, która

mogłaby mi wejść w serce. Zresztą serce miałam zajęte. Staszkiem.

Do Maćka nie czułam nic.

Siedziałam w salonie przy stole i wpatrywałam się w okno. Staszek robił coś w kuchni, a przed kwadransem oficjalnym tonem oznajmił, że na chwilę wychodzi do sklepu hydraulicznego za rogiem po jakąś uszczelkę czy coś w tym stylu. Zachowywał dystans, ale nawet ja, niewprawna w odczytywaniu uczuć, wiedziałam, co się za nim kryje – smutek i niepewność.

Nie potrafiłam wytrzymać tego napięcia. Strasznie się bałam, że Staszek opacznie odebrał tę wczorajszą scenkę. No bo co ma w końcu pomyśleć, jeśli widzi mnie w nocy całowaną przez jakiegoś faceta? Nie jest tak źle, pocieszył mnie rozum, przecież ten facet nie wszedł z tobą na górę. Serce milczało obolałe.

Postanowiłam jakoś to Staszкови wyjaśnić. Powiedzieć, że to koleżeńskie spotkanie, znajomy znajomych, wygłupy. W każdym razie w ewidentny sposób dać mu do zrozumienia, że nie jest to relacja damsko-męska, że w sercu trzymam miejsce jedynie dla niego. Gdy tylko wróci, zaproponuję mu herbatę i wtedy...

Zaterkotał dzwonek przy drzwiach. Kto to może być? Jeśli ktoś obcy, to najpierw usłyszałabym domofon, bo przecież drzwi wejściowe są zamknięte. Ach, pewnie Jadzia. I dobrze, może ona mi doradzi, jak się wyplątać z tej głupiej sytuacji.

Poszłam do przedpokoju i otworzyłam drzwi.

Patrzyły na mnie dwie pary oczu. Niebieskie i brązowe.

Te pierwsze były jak błękitne niebo w słoneczny dzień nad Bałtykiem.

Te drugie – jak burzowe chmury w górach.

Maciek i Staszek.

– Spotkałem pana na dole. Nie znał numeru mieszkania, ale zapytał o piękną młodą kobietę. Wskazanie mogłoby być tylko jedno. – Staszek skłonił się w moją stronę. Był opanowany i niezwykle uprzejmy. I wiało od niego chłodem. Sytuacja robiła się coraz koszmarniejsza.

– Zdecydowanie. – Maciek się rozpromienił. – Bardzo dziękuję

i już nie odrywam pana od pracy – rzucił w stronę Staszka, po czym spojrzał na mnie i powiedział: – Przepraszam, że tak bez uprzedzenia cię nachodzę, ale pomyślałem, że możesz się martwić swoją zgubą... Kopciuszk.

Czy ja wczoraj wieczorem zgubiłam coś oprócz rozumu?, zastanawiałam się gorączkowo.

Maciek wyciągnął rękę zza pleców. W dłoni trzymał moją apaszkę. Zdjęłam ją z szyi, bo w restauracji było ciepło, a mnie dodatkowo rozgrzewały atmosfera i wino. Odłożyłam ją na krzesło obok i całkiem o niej zapomniałam.

– Tak, bardzo ci dziękuję i przepraszam za fatygę – odparłam zmieszana, wpatrując się w plecy Staszka. Wrócił do pracy w kuchni, a my staliśmy na środku jadalni, kilka kroków od niego. Nie chciałam zapraszać Maćka do salonu – salonu, dobre sobie, na największy plac budowy w tym mieszkaniu raczej – a w przedpokoju nie wypadało mi go przecież trzymać. Tkwiłiśmy więc we trójkę na kilkunastu metrach kwadratowych powierzchni. Staszek, chcąc nie chcąc, był świadkiem naszej rozmowy.

– Ja jestem tylko posłańcem. To menedżerowi restauracji należą się słowa uznania. Odnalazł mnie w hotelu, bo martwił się twoją zgubą.

– Ale jak to zrobił? – Zdumienie na chwilę przegnało inne uczucia.

– Cóż... ujmijmy to tak: goście tej restauracji to specyficzni klienci. Jeśli są turystami, to istnieje spore prawdopodobieństwo, że zatrzymają się w jednym z kilku dobrych hoteli. Ponieważ nigdy wcześniej nas w Wierzynku nie widział, uznał, że jesteśmy przyjezdni. A że to środowisko, w którym ludzie się znają, wykonał kilka telefonów, pytając o mnie. Nazwisko zapamiętał z karty kredytowej.

Jakie to oczywiste, pomyślałam. To świat, w którym problemy rozwiązuje się łatwo jak sznurówki.

– To niezwykle uprzejme z jego strony – powiedziałam. – Szkoda, że nie mogłam mu podziękować.

– Zrobiłem to w twoim imieniu – uspokoił mnie Maciek. – Co



więcej, obiecałem, że zjawimy się ponownie na kolacji. Mam nadzieję, że nie odmówisz?

Kątem oka patrzyłam na Staszka. Na pewno nas słyszał.

– Tak, oczywiście, choć trudno mi się zadeklarować co do terminu, bo widzisz sam, co się tu dzieje, a poza tym... – Rozejrzałam się bezradnie. Stałam na środku bagna, a ono mnie wciągało coraz głębiej. Z jednej strony przecież nie mogę być nieuprzejma dla Maćka, zwłaszcza że wczoraj byłam aż ponad miarę miła. Z drugiej strony Staszek...

– Wszystko rozumiem, ustalimy kiedy. Okazji nam w najbliższym czasie nie zabraknie. A co do prac, to widać fachową rękę majstra.

– Obrzucił przelotnym spojrzeniem Staszka. – Pożegnaj się już, mam umówione spotkania.

Staszek kulturalnie się odwrócił, żeby odpowiedzieć „do widzenia”.

Uśmiechnęłam się do Maćka i ręką wskazałam przedpokój, dając znać, że chcę go odprowadzić do drzwi.

Miałam nadzieję, że serce, które mi waliło jak oszalałe, zagłuszyło cmoknięcie w policzek.

\* \* \*

– A może ty chora jesteś, Klaruniu? – zatroskała się babcia.

Sytuacja, gdy przed dzieckiem stoi talerz z przepyszными pierogami z truskawkami, polanymi gęstą śmietaną i posypanymi sówicie cukrem, a one stygną, podczas gdy dziecko popatruje w okno i cicho wzdycha, musi wzbudzać w babci niepokój, nawet gdy dziecko jest po trzydziestce.

– Nie, babciu, nic mi nie jest. Po prostu... – To, co mnie dręczyło, wcale nie było proste. A ja to dodatkowo zagmatwałam. – Zafundowałam sobie trudną sytuację.

– Chodzi o pieniądze? Ja mogę...

– Nie, nie! – Aż zamachałam rękoma. – Nie o pieniądze, tylko o... O miłość.

– Ach, to poważniejsza sprawa. – Babcia zdjęła kuchenny fartuch, odwiesiła go na haczyk przy drzwiach i usiadła naprzeciwko mnie.

– Nie wiem, czy pomogę, ale wysłucham chętnie.

– Od czego by zacząć... – westchnęłam.

– Od początku – zaproponowała babcia z filuternym uśmiechem. Łatwo żartować, kiedy człowiek już na zawsze zamknął drzwi z napisem „Zakochanie”, zostawiając za nimi lęki, niepokoje, huśtawki nastrojów, obsesje i pragnienia. Babcia była wolna od tego mętliku, ja się całkowicie zaplątałam.

Westchnęłam. Dwa razy.

– Ależ ja poważnie mówiłam, żeby od początku. Potem to już historia popłynie.

– No dobrze. Zatem... poznałam mężczyznę. A właściwie – dwóch mężczyzn. I jest tak, że ten pierwszy nie chce mi wyjść z głowy, ale on chyba nie jest mną tak zainteresowany, jak ja nim. Ten drugi zaś ewidentnie się mną interesuje, ale ja nie odwzajemniam tego, bo...

– ...bo jesteś zainteresowana tym pierwszym. Cóż, brzmi, skomplikowanie, ale może, gdy się przyjrzymy bliżej, coś się uda zaradzić? Powiesz więcej na temat tych mężczyzn? – Babcia przypatrywała mi się z zachętą w oczach.

– I tu się sprawa komplikuje jeszcze bardziej. Jeden z nich to Maciej, właściciel tej firmy biotechnologicznej, w której miałabym pracować, polecony przez Ankę i jej męża. Bardzo miły, bardzo kulturalny, bogaty chyba też bardzo.

– Aż takie skomplikowane to nie jest. – Babcia puściła do mnie oko. – No, żartowałam tylko, mów dalej, kochanie.

– No więc jest ten Maciek i wczoraj byliśmy razem na kolacji. W Wierzynku, bardzo eleganckiej. Było miło, zwłaszcza że wypiałam za dużo alkoholu i być może zachowywałam się swobodniej niż zwykle, co, przypuszczam, Maciej mógł odebrać trochę opacznie – Boże, jak ja się wiłam, opisując przebieg wieczoru! – na przykład jako odwzajemnianie jego zainteresowania. A potem mnie odprowadził do domu i kiedy tak staliśmy pod lipami, a księżyc

świecił, to on mnie pocałował. Ale tylko raz – dodałam z kronikarskiego obowiązku. – I właśnie ten moment zobaczył Staszek, to znaczy drugi mężczyzna.

– On tam był z wami? – zdumiała się babcia.

– Nie! Nie mam pojęcia, co robił w mojej okolicy, i to o tej godzinie.

– A tego pana skąd znasz?

– No właśnie... Teraz się zacznie najciekawsze. Wyobraź sobie, babciu, że poznałam go na peronie. To znaczy najpierw był pan Tomek, z agencji, który obiecał pomóc z remontem, że kogoś mi znajdzie. I gdy ostatnim razem jechałam do mamy, zadzwonił, że ten ktoś już jest gotowy do pracy i mógłby zacząć, gdyby miał klucze. No ale klucze miałam ja. Czekałam więc na tego człowieka na dworcu, a przyjechał... – Przed oczami znów stanęła mi tamta scena: brąz z blondem, błysk w oku, serce aż pisnęło. – Staszek. Staszek Skarłat z Witowa, góral taki sam jak Staszek prababci Emilii. No i co powiesz? – Zamarłam w oczekiwaniu.

– Że to jak z książki – odparła powoli babcia.

– Tak samo mówi Anka. Ale to się wydarzyło i naprawdę było, to znaczy jest, to znaczy on jest... no jest w nim coś niezwykłego. Naprawdę, babciu.

– Nie znam go, a skoro tak mówisz, to pewnie tak jest. Choć może być i tak, że ta nasza rodzinna historia z szuflady cię zauroczyła i teraz trochę... – babcia szukała odpowiedniego słowa – ...dodajesz wydarzeniom magii, niejako na powtórkę.

No nie! I babcia przeciwko mnie. Najpierw Anka, teraz ona. Zawsze się ze mnie podśmiewywały, to znaczy Anka, bo babcia to jest delikatna, że taka jestem twardo stąpająca po ziemi, że poukładana jak pod linijkę, a teraz, gdy się odważam, zamykam oczy i pozwalam nieść emocjom, to nie, nie, wracaj do szeregu, równo, odlicz i marsz!

– Babciu, a jeśli ci powiem, że się po prostu zakochałam, to mi uwierzysz?

– Ależ ja ci wierzę! Oczywiście, że ci wierzę! Na pewno czujesz to

wszystko, o czym mi opowiadasz. Tylko się zastanowiłam, czy za tym zauroczeniem nie stoi coś innego niż po prostu ten mężczyzna.

– Że sobie dopowiadam? Wyobrażam? To chcesz powiedzieć?

– Mniej więcej. Nie obraż się, Klaruniu, tak mi do głowy przyszło. A powiedz mi o nim coś jeszcze. Czym się zajmuje? Pracami budowlanymi właśnie?

– Nie wiem zbyt wiele. Z wykształcenia jest historykiem.

– O, to pokrewna dusza.

– Tak. Uczył w szkole, choć miał inne plany, związane z pracą naukową. Powiedział, że zmienił je pod wpływem sytuacji rodzinnej. Wrócił w góry, poszedł tam pracować jako nauczyciel. A potem znowu się coś wydarzyło i zostawił szkołę, zdaje się, że w trybie nagłym, i przyjechał do Krakowa, trafiając akurat do mojego mieszkania. Tyle informacji. A tak poza tym to jest bardzo kulturalny. Miły. Ładnie się wysławia. Jest pracowity. I ma w sobie jakiś magiczny urok... – Na chwilę się rozmarzyłam.

– Czyli można powiedzieć, że obaj, i Staszek, i Maciej, są w porządku. I nawet występują między nimi podobieństwa. Różnica polega na tym, że o panie Macieju wiadomo dużo i jest majątny, a pan Staszek to człowiek z tajemnicą, za to bez funduszków. I na pierwszego serce nie reaguje, a przed drugim staje otworem.

Pokiwałam głową.

– I co mi, babciu, teraz powiesz?

– Że to musi być miłość.

\* \* \*

Pewne zachowania, zwłaszcza gdy się sprawdzą w danej sytuacji, wchodzą człowiekowi w nawyk. Na przykład bardzo długi spacer po wizycie u babci, podczas której się grzebie w duszy, tak że potem trzeba sobie wszystko przemyśleć i spróbować poukładać. A kiedy się najlepiej myśli? Chodząc. To nie mój patent, tylko Arystotelesa, który prowadził wykłady, spacerując. Ja, co prawda, dyskutowałam sama ze sobą, ale szybko przybył mi drugi rozmówca. Podobnie jak

poprzednim razem, zadzwoniła do mnie Anka.

– *Hello!* Masz chwilę? – zapytała lekko zdyszana.

– Mam morze chwil. Jestem na wypowiedzeniu. Samotna. Bezdzienna.

– Matko, no przecież wiem. Ale mogłabyś być zajęta. Na przykład szykowaniem się do kolejnej kolacji z Maćkiem.

Przystanąłam. I od razu myśli na siebie powpadały. Miał rację filozof – nie ustawać, chodzić.

– A ty skąd wiesz?

– No jak skąd? Od Tomka. A Tomek od Maćka, gdybyś była ciekawa.

– To faceci też sobie opowiadają o takich intymnych sprawach? – spytałam z przekąsem.

– Jakich intymnych? Maciek opowiadał o Wierzyнку, a tu słyszę, że sprawy zaszły dużo dalej. No, no, sprinterka z ciebie. I taka niby zauroczona Stanisławem...

– Boże, Anka! – wrzasnęłam. – Nic się nie wydarzyło! To znaczy nic z tych rzeczy, o których myślisz. A co do Staszka...

– Jak nic, to po co się irytujesz? – zapytała zawiedziona.

– A ty co właściwie wiesz?

– Mam ci opowiedzieć, co się wydarzyło podczas wieczoru, który spędziłaś z Maćkiem? – W jej głosie usłyszałam wyraźną ironię.

– Nie, oczywiście, że nie. – Zmiękłam. – Przepraszam za ten wybuch, po prostu sprawy się trochę pokomplikowały. To co Maciek powiedział Tomkowi?

– Że spędził z tobą bardzo przyjemny wieczór, bo jesteś miła, inteligentna, bardzo ładna i kulturalna. I uroczo nieśmiała, choć podatna na działanie wina. A czego nie powiedział?

– Że mnie pocałował.

– Pocałował? Raz?

– Raz.

– No, to rzeczywiście rozpusta. Agencja towarzyska przy tobie wysiada – prychnęła Anka.

– Kpij, nie krępuj się. Rzecz w tym, że akurat ten pocałunek

widział Staszek.

– Jezus, a co on z wami robił? – Ankę zatkało.

– Nie z nami. Po prostu był w pobliżu mojego mieszkania.

– Przypadkiem? – W głosie Anki usłyszałam niedowierzanie.

– Nie wiem, pojęcia nie mam.

– A może to stalker? Wyhaczył cię, osacza, a potem...

– Anka, halo, tu ziemia! Nic z tych rzeczy. To normalny facet, jak możesz tak mówić!

– Słyszę, że zauroczenie nie minęło.

Milczałam. Nie potrzebowałam, żeby mnie ktoś obsztorcowywał. I to w dodatku najlepsza przyjaciółka.

– Jesteś tam? – zapytała ugodowym tonem Anka.

– Jestem – odburknęłam.

– Słyszę, że Stanis... znaczy Staszek, ci nie przeszedł.

– Nie, wręcz przeciwnie. On mnie coraz bardziej interesuje. Pociąga. Co mam ci powiedzieć – zakochałam się.

Teraz Anka milczała. Nie chciałam jej poganiać. Szłam, z telefonem przyłożonym do ucha. Po drugiej stronie szła Anka – wyraźnie słyszałam jej przyspieszony oddech – pewnie była z Zosią na spacerze. Skoro Arystotelesowi ruch pomagał myśleć, to może i nam przyniesie jakąś sensowną odpowiedź.

– Posłuchaj, Klara. – Moja przyjaciółka się w końcu odezwała. – Wiesz, że życzę ci jak najlepiej i bardzo mi zależy na twoim szczęściu.

Pokiwałam głową. Anka nie mogła tego zobaczyć, ale mogła sobie wyobrazić.

– Może trochę cię wpycham w ramiona Maćka, ale na ile znam jego i ciebie, to wydaje mi się, że moglibyście być dobrą parą. Wiele badań mówi o tym, że aranżowane związki są trwałe. Tak działają nawet portale matrymonialne – algorytm dobiera ludzi. No więc chcę powiedzieć, że chodzi mi wyłącznie o twoje dobro. Widzę jednak, że ty jesteś tak zafiksowana na Staszku, że to bezcelowe.

– Chyba tak. Tyle że – przełknęłam gulę wstydu – on, zdaje się, nie jest zainteresowany mną w takim samym stopniu.

- Bo?...
- Bo jakoś nie mówi, nie proponuje, nie... To znaczy niby były takie zdania, wyrazy, ale... – zaplątałam się.
- Ale się czai w nocy pod twoim domem, tak?
- No tak.
- Zawozi na zakupy do budowlanego, tak?
- Tak. I mówi, że mam oczy zielone jak nadzieja. I chciałby znowu pójść ze mną na obiad. Do Poziomki – dodałam, żeby była jasność.
- No widzisz. Jest zainteresowany, tylko postaw się na jego miejscu: ubogi chłopak z gór kontra bogaty facet ze stolicy. Przecież on nie wie, co cię łączy z Maćkiem. Jak ma z nim konkurować? Nawet się nie wychyli. Męska ambicja mu nie pozwoli.
- Rzeczywiście! Zupełnie mi to nie przyszło do głowy!
- No to co mam zrobić? – zapytałam bezradnie.
- Najprostsze rozwiązanie. Co zbliża ludzi?
- Ale tak od razu?!
- Rany! To potem. Ewentualnie, jeśli ci nie przejdzie. Rozmowa. Rozmowę miałam na myśli. Po prostu z nim porozmawiaj.

## Rozdział ósmy



Nie mogłam spać. Zawsze tak reagowałam na stres, zwłaszcza w sytuacjach, które wymagały wyjaśnienia. Nie znosiłam niepewności, mój umysł od razu zaczynał pracować na wysokich obrotach, produkując coraz bardziej skomplikowane i niekorzystne dla mnie warianty możliwego (jak się później okazało – zupełnie niemożliwego) przebiegu wypadków.

Z drżeniem oczekiwałam poniedziałku i spotkania ze Staszkiem. Chciałam od razu miło zagadać i tak między słowami przemyścić wiadomość, że nic, absolutnie nic sercowego czy erotycznego mnie nie łączy z Maciejem. Może mu zaproponuję kawę? Tak, to był niezły pomysł. A jeszcze lepszy by był, gdybym do kawy dorzuciła ciepłe, chrupiące bułki. Wydawało mi się, że Staszek nie jada w domu śniadań, dopiero u mnie robi sobie przerwę na pierwszy posiłek w ciągu dnia.

Efekt był taki, że wstałam niewyspana, bo kilka razy się przebudzałam i sprawdzałam, która jest godzina. Ostatecznie już o szóstej byłam na nogach. Dla uspokojenia nerwów wybrałam się do położonej kwadrans drogi od domu piekarni. Kilkadziesiąt metrów przed malutką dziuplą, w której było tylko kilka szerokich drewnianych półek na bochenki i kilka wiklinowych koszy na bułki, doleciał do mnie aromat gorącego pieczywa. Zniewalający, natychmiast pobudzający kubki smakowe. Nie byłam wcześniej



w tej piekarni. Przechodząc kiedyś obok niej, zdziwiłam się godzinami pracy – od czwartej rano do południa. A potem już zamknięta. Dziwne te krakusy jednak, pomyślałam wtedy. Kto by przychodził po chleb tak rańcem? A jednak. Przed drzwiami falował szybko przesuwający się ogonek. Kiedy weszłam do środka, zobaczyłam, że na półkach zdążyło się już solidnie przerzedzić. Poprosiłam o wekę (broń Boże bułkę paryską, od razu bym się zdradziła obcym pochodzeniem) i rogate maślane. Po namyśle – o jeszcze jedną zwykłą bułeczkę. W brzuchu mi burczało, nie doczekam do przyścia Staszka na głodniaka, pomyślałam. Wracając, kupiłam jeszcze miód i konfitury. Niewyszukane, świeże, smaczne. Akurat.

W domu w napięciu czekałam na dźwięk domofonu. Staszek był niezawodnie punktualny – o ósmej rano znajomy terkot poderwał mnie na nogi. Dwie minuty później usłyszałam pukanie do drzwi. Serce mi tak waliło, że pewnie było je słychać na korytarzu.

Odsunęłam zasuwę i otworzyłam drzwi. I postarałam się o najpiękniejszy uśmiech.

– Dzień dobry!

Staszek był chyba trochę oszołomiony moją eksplozją radości, bo przyglądał mi się lekko zdziwiony.

– Dzień dobry – odpowiedział. – Chyba nawet więcej niż dobry?...

– Ach – rzuciłam lekko. – Poniedziałki to taki smutek po niedzieli, więc trzeba dbać o dobry humor. Dlatego właśnie... – Tu się na chwilę zacięłam. Po wstępie jak z gładkiej telenoweli nagle zabrakło mi odwagi na ciąg dalszy.

Staszek jednak przyglądał mi się spokojnie, nie wykazując oznak ani zdenerwowania, ani niechęci, co dodało mi odwagi.

– ...właśnie dlatego mam ochotę na śniadanie. To znaczy na wspólne śniadanie. Kupiłam wszystko – dodałam na koniec, żeby już była absolutna pewność, że to dziś, teraz i tu.

Staszek, wciąż lekko niepewny, uśmiechnął się i powiedział:

– To bardzo miłe. Nie spodziewałem się.

Na te słowa od razu przypomniała mi się scena pocałunku

z Maćkiem i czerwień mi wypełzła na policzki. Też bym się nie spodziewała na jego miejscu. Co więcej, pewnie bym się uniosła honorem i odmówiła, jak to babcia mawiała, „na złość mamie odmrażając sobie uszy”. Dobrze, że Staszek był mądrzejszy. I – co nieśmiało podsunęło serce – jednak mną zainteresowany. „Albo kulturalny” – sarknął rozum. Wszystkie trzy warianty były dobre. Ale ten środkowy – najbardziej pożądany. Cały Staszek był pożądany. Znowu zrobiłam się czerwona.

– Przykręcę tylko kontakty w łazience i wracam – oznajmił, a ja, podekscytowana, poszłam do swojej minikuchenki.

Zdażyłam wyciągnąć deskę do krojenia, gdy usłyszałam dzwonek telefonu. Mama/Dorota.

– Cześć, *my darling!* – Mama była w zdecydowanie dobrym nastroju, idąc pod prąd teorii, że poniedziałek to najpodlejszy dzień tygodnia.

– Cześć! – odpowiedziałam, przytrzymując barkiem telefon przy uchu i jednocześnie nalewając wody do czajnika. Nie chciałam być nieuprzejma, ale w tej chwili co innego mnie zaprzątało, to znaczy: kto inny.

– Jak życie? Co porabiasz? – Mama ewidentnie była nastawiona na rozmowę.

– Wszystko w porządku. Właśnie przygotowuję śniadanie.

– A dobrze się odżywasz?

Westchnęłam w duchu. Cieszyłam się, że nasze kontakty się wyprostowały, że się ociepliły, że mama zrobiła się taka bardziej domowa, troskliwa, ale dlaczego właśnie teraz? Gdy nie mam już dwóch kucyków, za to mam obok równie dorosłego mężczyznę, który na pewno jest głodny.

– Dobrze, mamo, pewnie, że dobrze. Jestem świadomym konsumentem i trzymam się zaleceń dietetycznych – wyrecytowałam, jednocześnie nasłuchując odgłosów z łazienki.

– No wiem, *sweetie*, a tak konkretnie, to co jesz?

Z trudem powstrzymywałam irytację. Przegląd menu kwadrans po ósmej. Uh.

– Pieczywo. Masło. Miód. Proste składniki, dobra jakość. Po wekę poszłam specjalnie do piekarni, pachnie obłędnie, ma chrupiącą skórkę i jest bez słodu. Węglowodany wprost z natury.

– No widzisz, to jest ta nasza polska jakość! Może nie produkujemy samochodów, nie jesteśmy zaawansowani technologicznie, ale pieczywo mamy *perfect*. Muszę ci powiedzieć, że się wycierpiałam w tej Anglii, zwłaszcza podczas śniadań. Hotel niby dobry, ale jedzenie! Pominię już fasolę i bekon o siódmej rano, ale chleb! To była żalność! Wata! Nędzne kwadratowe kromki, które po wyjęciu z tosterka zamieniały się w suchary wojskowe. *Ugly!*

– A jak poza tym było? To znaczy na kongresie? – spróbowałam z innej strony. Chciałam jak najszybciej zakończyć rozmowę, ale nie potrafiłam wymyślić żadnego sensownego powodu. Mogłabym, oczywiście, powiedzieć o Staszku, ale wtedy by się dopiero zaczął korowód pytań.

– Sam kongres dość wyczerpujący, dużo panelistów, wysoki poziom, ale, jak zawsze zresztą, najciekawsze było to, co w kuluarach. Kilka bardzo miłych rozmów i jedna mocno obiecująca pozycja, którą miałabym przełożyć.

– Tak? – zaciekawiałam się uprzejmie, choć dość oszczędnie.

– Tak! Wyobraź sobie, że dobre angielskie wydawnictwo non-fiction zaproponowało mi tłumaczenie pokaźnej książki na temat Polaków podczas drugiej wojny światowej w Anglii.

Zastrzygłam uchem. To rzeczywiście brzmiało ciekawie.

– Zdążyłam już przejrzeć. Przekrojowe, z dużym wprowadzeniem, częścią, nazwijmy to, teoretyczno-historyczną, wspomnieniami, zdjęciami, mapami, dokumentami, o polskim rządzie, walczącym o suwerenność ojczyzny, o bitwie o Anglię – to absolutnie poruszające męstwo i skuteczność, słowem: *The Poles can take it*. Więc wezmę to, bo raz, że kasa, ale dwa – naprawdę mnie to wciągnęło. Trochę się w pierwszym momencie zawahałam, bo brak mi wiedzy historycznej, ale w razie czego mogę poprosić babcię o pomoc.

W tej chwili zobaczyłam Staszka, który wyszedł z łazienki i stanął

w jadalni, spoglądając w moją stronę. Dość bezradnie, bo na horyzoncie obiecanego śniadania nie było.

– Choć tu jest szczegółowo omówiony kawałek historii, a babcia jednak ma wiedzę ogólną. Lepszy byłby ktoś, kto się zajmuje historią z prawdziwej pasji, ktoś z zacięciem badawczym.

– Staszek – pomyślałam. To znaczy wydawało mi się, że pomyślałam, ale musiałam powiedzieć, bo prawie równocześnie usłyszałam: „kto?” mamy i „tak?...” Staszka. – Mamo, zaczekaj chwilę – powiedziałam i zasłoniłam głośnik w komórce ręką. – Przepraszam, rozmawiam z mamą – wyjaśniłam Staszкови, pokazując bezradnie na nietknięte pieczywo ułożone na kuchennym stoliku.

Staszek spojrzał na mnie, pokiwał głową, potem delikatnie ujął mnie za ramię i wyprowadził z kuchni.

– Zajmę się tym – szepnął, wskazując ręką na nasze niedoszłe śniadanie.

Zrobił to naturalnie, jakby to była najbardziej oczywista sprawa pod słońcem. O nic nie zapytał, nie kręcił nosem. Jak wyrozumiały ojciec. Ten facet wciąż mnie zdumiewał.

Z Dorotą nie poszło tak łatwo.

– Jaki Staszek? – wyszeptwała w słuchawkę, ale tak głośno, że Jadzia na parterze pewnie usłyszała. Stąpając na palcach, żeby nie zdradziło mnie skrzypienie parkietu, przesunęłam się do salonu. A jednak – ciąg pytań został uruchomiony i mama nie da się tak łatwo zbyć byle odpowiedzią. – Ktoś jest teraz u ciebie?

– Tak. Staszek właśnie. I nie krzycz, mammo.

– No przecież szepczę! – krzyknęła. – To znaczy teraz nie, ale przed chwilą tak. A kto to? Poznałaś kogoś z kręgów naukowych? Jakim cudem, skoro siedzisz po uszy w remoncie?

– W remoncie właśnie go poznałam.

– W Krakowie też mają taki klub studencki? Poszłaś się wyszaleć? To jakiś młodziak?

– Nie, mammo – westchnęłam. – Nie szaleję. Nawet na studiach nie szalałam, więc teraz tym bardziej.

- Fakt – strapiła się Dorota. – No to skąd? Jak? Opowiadaj!
- No przecież mówię, że w remoncie, to znaczy podczas remontu. U siebie w domu.
- Zapraszasz naukowca w ten bałagan? – Dorota nadal była zagubiona.
- Ten naukowiec właśnie przykręcił mi kontakty w łazience. A wcześniej skuł flizy. I szpachluje, i kable układa. To polecony przez pana Tomka fachowiec – wyjaśniłam, spoglądając w stronę kuchni. Chyba nie było mnie słychać.
- Dorabia sobie remontami? Aż taka bida na UJ-ocie?
- Zarabia, dorabia, pojęcia nie mam, przecież go nie przesłuchałam. Wiem tylko, że skończył historię i ma zacięcie naukowe – oznajmiłam.
- Oraz że ciągną się za nim tajemnice. I że najpierw wpadł mi w oko, a potem ja jemu w ramiona na peronie, i że się w nim zakochałam.
- To bardzo intrygujące – mruknęła Dorota z podziwem. – Zawsze mnie pociągali tacy tajemniczy faceci.
- Mój Boże, więc jednak jestem podobna do swojej matki. Ile jeszcze tajemnic o Majewskich odsłoni przede mną los?

\* \* \*

Zaspokojenie czyjeś żądzy wiedzy, a zarazem zachowanie jak najwięcej dla siebie w tajemnicy jest jak łączenie gorącego z zimnym – albo się parzysz, albo oblewa cię zimny pot.

Nie skłamałam. Nigdy nie oszukiwałam mamy. Po prostu zdałam wybiórczą relację. Podałam wszystkie fakty – oprócz spania u mnie i tego, że mnie widział całowaną przez Macieja. No i nie przyznałam się, że mam na jego punkcie lekką obsesję. Zresztą mama pewnie to wyczuła – matki naprawdę mają szósty zmysł. Obiecałam, że zagadnę Staszka o ewentualną konsultację w sprawie tekstu. To było mi na rękę – konkretny powód do rozmowy.

Gdy wróciłam do jadalni, śniadanie było gotowe. Owszem, pieczywo, masło i słodkie dodatki to nie są produkty, które rzucają śmiałe wyzwania kulinarne, ale... Weka była równo pokrojona, masło wyjęte na talerzyk, dżem przełożony do miseczki. Do tego dzbanek kawy, dzbanuszek mleka, dwa kubki, odpowiednio ułożone sztucce i nawet serwetki. Nie spodziewałam się jakiegś ogromnej niechlujności, raczej nieporadności. Paweł przyzwyczaił mnie, by myśleć, że mężczyźni mają dwie lewe ręce, jeśli chodzi o prace domowe. Staszek zadawał kłam tej teorii.

– O, jak ładnie – zdziwiłam się szczerze.

Staszek się uśmiechnął.

– Nic takiego, zwyczajna rzecz.

Wielki plus, naprawdę wielki plus.

– Z mamą rozmawiałam, przepraszam. Właśnie wróciła z wyjazdu i chciała się podzielić wrażeniami, no i dowiedzieć, co u córki.

– To miłe – powiedział Staszek, choć zmienił mu się ton. Może jemu się nie układało z mamą? Może była nadopiekuńcza? Może to był dla niego drażliwy temat? Przeszłam więc do sedna, czyli do książki.

– Rozmawialiśmy o jej pracy. Mama jest anglistką, będzie teraz tłumaczyć książkę o Polakach w Anglii podczas drugiej wojny, to znaczy o rządzie i żołnierzach. I już się rozgląda za konsultantem, bo sama nie ma odpowiedniej wiedzy historycznej. Pomyślałam, że może pan by mógł?... – Zawiesiłam głos i przypatrywałam się Staszekowi.

– To miła propozycja, czuję się wyróżniony. Nie wiem tylko, czy mi panie zbyt nie pochlebiają...

– Klara. Klara jestem. – Podniosłam się z krzesła i wyciągnęłam do niego rękę przez stół. To był dobry moment, żeby porzucić formę, która narzucała dystans. A ja przecież nie chciałam dystansu.

– Staszek. – Wstał, obszedł stół i uścisnął mi dłoń, po czym wrócił na swoje miejsce.

– Oczywiście nie wiem, jak bardzo szczegółowe informacje są

w tej książce ani jak głębokiej kwerendy historycznej wymagałaby konsultacja, ale to tekst popularnonaukowy, więc na pewno dałby pa... to znaczy, dałbyś sobie radę, Staszku. – To „Staszku” wypowiedziałam z prawdziwą przyjemnością. Bardzo ładne imię, przyjemnie brzmi. Płynnie, szelszcząco...

Staszek w milczeniu pokiwał głową.

– Mama pomyślała w pierwszej chwili o babci, bo ona też skończyła historię, całe życie uczyła w szkole, ale nigdy nie miała naukowego zacięcia, chęci na gmeranie w archiwach, przerzucanie tekstów źródłowych...

– Może nie miała czasu? Zajmowała się pewnie jeszcze dziećmi, domem?...

Zatkało mnie. Nie pomyślałabym w ten sposób, a przecież faktycznie, była praca w szkole, Dorota, brak męża, no pod górkę babcia miała. Niby oczywiste fakty, a ja poszłam takim patriarchalnym tropem. Staszek – nie. Jaki byłby z niego fajny partner. Mąż... Wciąż odpływałam w tych marzeniach na jego temat. Co się ze mną działo?

– Możesz mieć rację – przyznałam skruszona. – Choć z drugiej strony teraz babcia jest już na emeryturze i chyba nie marzy o zlecanych zajęciach. No i nie obsługuje komputera, internet w komórce trochę ogarnia, ale... To co, zechciałbyś rzucić okiem?

– Tak, pewnie. – Staszek miał w rękach serwetkę. Wydawało mi się, że jego myśli krążą gdzieś indziej. – Teraz mogę wieczorami przeglądać, a gdy skończę tu remont, to pewnie będę mieć więcej wolnego. Z Tomkiem jeszcze nie ustaliłem niczego konkretnego co do dalszych zleceń.

– A ile jeszcze czasu zajmą ci prace? – zapytałam lekko. Myśl, że przyjdzie taki dzień, kiedy Staszek nie zjawi się rano w moim mieszkaniu, była przykra. Bardzo przykra.

– Tydzień? Może dziesięć dni. Początkowo myślałem, że będzie konieczne wsparcie kogoś z chłopaków, ale teraz widzę, że sobie poradzę sam. Powiedziałem już Tomkowi, że nie musi nikogo umawiać.

– Aha. A co potem? – spytałam, starając się opanować drżenie głosu, ale chyba mi nie wyszło.

– Potem będziesz mogła się urządzać, a gdyby była potrzebna pomoc, na przykład w składaniu mebli, to chętnie się tym zajmę.

– Chodziło mi o ciebie. Co planujesz? Zostajesz w Krakowie?

Spojrzałam z napięciem w jego oczy. Pewnie dostrzegął moje drżenie. Trudno, w końcu to nie wstyd, zresztą po co mam przed nim grać?

– Nie wiem jeszcze – powiedział w końcu. – Bardzo dobrze mi się u ciebie pracuje. Wszystko idzie jak z płatka, atmosfera sprzyjająca... – Popatrzył, a mnie się zrobiło ciepło. Może wcale nie widział tego pocałunku? Albo nie dorobił do niego nie wiadomo jakiej teorii. – Poradziłbym sobie przy remontach. Żadna ujma pracować fizycznie, grunt, żeby dobrze. Choć gdy teraz opowiedziałas o tej książce, to chyba zrobiło mi się trochę żal studiów, szkoły, zawodu.

Chyba. Jadzia by mu powiedziała, żeby się zastanowił, czy „chyba”, czy „na pewno”.

– No ale przecież mógłbyś pójść za tym głosem i albo wrócić do uczenia, albo poszukać jakiejś pracy odpowiadającej twoim zainteresowaniom i wykształceniu. Kraków nie Warszawa, ale rynek pracy nie wydaje się taki zły. – Postanowiłam go zmotywować.

– Nie wiem, czy zostanę w Krakowie.

No tak. Te sprawy, problemy, nagłe wyjazdy, powroty, brak dachu nad głową. Przecież to nie zniknie ot tak. Tajemniczy Staszek.

– Też tak miałam niedawno. Mieszkałam w Warszawie, potem...

– Nie, o Pawle nie będzie, nie zaproszę do opowieści byłego narzeczonego, skoro siedzę przy stole z takim fajnym Staszkiem. Było, minęło, zamykam wieko trumny. – Potem przyjechałam do Krakowa, żeby się zająć tym mieszkaniem w spadku po prababci, później wróciłam, ale się okazało, że tymczasem mama zmieniła plany i zjeżdża do Warszawy, gdzie ja do tej pory mieszkałam, więc



muszę się wyprowadzić... – Gnałam jak rozpędzony pociąg, wprost do finału, w którym miałam wygłosić tezę, że gdy się czegoś chce, to przecież wszystko można.

– Nie chciałaś mieszkać z mamą? – zapytał Staszek, wybijając mnie z rytmu opowieści. Skupiałam się na swoim wątku – że byłam samodzielna, odważna i podjęłam decyzję. Chciałam dodać mu otuchy. No i trochę się pochwalić.

– Z mamą?... Od matury nie mieszkaliśmy razem, więc raczej nie. Kocham ją, ale się różnimy. W pewnym wieku to chyba lepiej już samodzielnie? – zapytałam zdziwiona nagłym zwrotem akcji.

– Powiedziałbym, że to zależy od relacji, nie od wieku.

– Może – zgodziłam się z ociąganiem. – A ty byś wrócił do mamy?  
– Tak, to dobra taktyka – zadać przyszpilające pytanie. I wtedy się najczęściej okazuje, że czym innym są teoretyczne deklaracje, a czym innym indywidualne decyzje. No chyba że Staszek jest typem maminsynka, ale nic, zwłaszcza to ładnie podane śniadanie, tego nie potwierdzało.

– Gdyby żyła... Miesiąc temu zmarła na raka.

Zamarłam. To jednak ja nie przewidziałam odpowiedzi na pytanie.

– Bardzo mi przykro, naprawdę. Nie mam takich doświadczeń, ale domyślałam się, jak trudne musi to być. – Nagle zrobiło mi się głupio. Ja się tu zabawiam w trenerkę personalną, a on ma za sobą dramatyczne przeżycia.

– Mama długo chorowała. Zaczęło się, kiedy skończyłem studia. Wtedy jeszcze się wydawało, że to może być choroba przewlekła. Potem jednak już było jasne, że nie ma dla niej ratunku, a ona się robiła coraz słabsza i coraz mniej samodzielna. Stąd decyzja o powrocie do Witowa. Znowu zamieszkałem w domu rodzinnym, w opiece nad mamą pomagała ciotka, gdy ja miałem lekcje. Aż w końcu... W końcu umarła.

Oczy Staszka straciły blask. Siedział przy stole, zgarbiony, skurczony. Jakby się nagle postarzał, tak się czasami mówi. I tak właśnie teraz Staszek wyglądał.

– Wyjechałem, musiałem na chwilę opuścić ten dom, to miejsce. Ale są sprawy, które mnie w Witowie trzymają, dlatego tak się miotam, między odpowiedzialnością a własnymi potrzebami.

Nagły skurcz serca. Znowu wróciły obrazy dziewczyny w ciąży, ciężko chorej żony, obowiązku, który jak kula u nogi przytrzymuje Staszka w górach.

– A... masz kogoś, kto by cię wsparł? Oprócz ciotki? Nie wyobrażam sobie, żebym miała zostać tak sama, bez mamy. To znaczy, oczywiście, wiem, że kiedyś tak będzie, a ja już jestem dużą dziewczynką, ale i tak ta myśl jest bolesna. Zwłaszcza że... – Zawahałam się, ale postanowiłam mu trochę o sobie opowiedzieć. Szczerść za szczerść. – Mam tylko mamę, to znaczy z rodziny mam mamę. I babcię. Zawsze były tylko one, ani dziadka, ani ojca. A ty masz tatę?

Staszek nie odpowiedział od razu.

– Mam – wyznał w końcu. Krótkie, twarde słowo, nic więcej. Czulałam, że nie ma po co dalej dążyć – zdecydowanie nie chciał rozwijać tego tematu. Widać nie tylko w mojej rodzinie ojcowie byli obecni wyłącznie we wspomnieniach.

Postanowiłam zadać to jedno, rozstrzygające pytanie.

– A jakąś życzliwą osobę spoza rodziny? Kogoś... bliskiego?

Du-du, du-du, du-du, waliło mi serce. Niech się wyjaśni, niech się przesili.

– Kogoś, kto by mnie całował czule na pożegnanie? – zapytał.

A jednak! Widział, widział! I teraz mi to wypomniał. Znowu się zawstydziałam.

– Ja... to nie tak, jak myślisz. – Boże, co za koszmarny frazes! Jeszcze „kotku” brakowało na końcu.

– Staram się o tym nie myśleć – odparł spokojnie.

– I słusznie, bo nie ma o czym – potwierdziłam energicznie. – Maciej... Maciej to mój znajomy, potencjalny pracodawca. Byliśmy na kolacji i ja... To przez to, że wypiliśmy za dużo wina i pozwoliłam na takie niefortunne zakończenie wieczoru.

– To nie pij za dużo wina – powiedział, patrząc mi twardo w oczy.

Był jednak zazdrosny o ten pocałunek. Nawet bardzo, skoro to wzbudziło w nim... czy ja wiem – złość?

– No właśnie nie piję prawie wcale, bo mam tak słabą głowę, ale wtedy się denerwowałam, bo nie nawykłam do takich spotkań.

– Z przystojnymi, bogatymi pracodawcami? – Głos jakby mu złagodniał. Choć wciąż ewidentnie mnie przepytował, a to przecież ja miałam go wybadać.

– Też. To znaczy nie tylko z pracodawcami albo majątymi ludźmi, a po prostu z... z mężczyznami – zająknęłam się.

– To odwrotnie niż ja. – Uśmiechnął się.

A jednak! I jeszcze mi to tak bezczelnie oznajmia! Ja go żałuję, otwieram się!... Nie, nie będę chlipać, po prostu mu wygarnę...

– Bo z mężczyznami się spotykam, z Tomkiem na przykład. Za to z kobietami – nic a nic.

Chyba głupio wyglądałam z otwartą buzią.

– Czyli... – zaczęłam.

– Czyli mogę cię pocałować, jeśli chcesz.

Chciałam, rany, jak ja chciałam!

Więc mnie pocałował.

## Rozdział dziewiąty



Pocałunek jest jak pukanie do drzwi na pierwszym piętrze z pytaniem, czy parter jest do wynajęcia.

My się wczoraj ograniczyliśmy do pierwszego piętra. Staszek mnie pocałował i... Chyba oboje pomyśleliśmy o parterze. Pewnie tak usilnie, że przyciągnęliśmy tym Jadzię. Dobrze jest być otoczonym życzliwymi ludźmi, którzy potrafią mile zaskoczyć telefonem lub niespodziewaną wizytą. Ale dlaczego to się zwykle odbywa w takich momentach?! Pukanie do drzwi sprawiło, że aż podskoczyłam. Domyśliłam się od razu, że to Jadzia, bo nie było wcześniej dzwonka domofonu. Cóż było robić – uśmiechnęłam się przepraszająco i poszłam otworzyć. Rzeczywiście, to była Jadzia. Bardzo się ucieszyła, że jest u mnie Staszek, bo wyskoczyły jej korki, a każda próba wstawienia ich na miejsce kończyła się fiaskiem, więc „może miły Staszek by mógł”. Mógłby, mógłby... co prawda, zdecydowanie bym wolała, żeby tę swoją „miłość” spożytkował w inny sposób, ale przecież Jadzia zawsze była bardzo uczynna i pomocna. Poza tym mówi się, że dobry sąsiad bliższy niż rodzina, więc o relacje należy dbać.

Staszek poszedł, wrócił po narzędzia, a potem przepadł na dwie długie godziny. Kiedy się ponownie u mnie zjawił, nie było już powrotu do tej romantycznej chwili. A jednak – czułam, że znajdujemy się w zupełnie innej rzeczywistości. Ten pocałunek był

taki czuły! Oddał to, co się między nami zaczęło rodzić, lepiej niż jakiegokolwiek słowa.

Właściwie... Może to nawet dobrze, że Jadzia wkroczyła w tym momencie? Przecież oczekiwanie na spełnienie marzenia jest równie ekscytujące, co jego realizacja. W każdym razie coś się we mnie zmieniło – jakbym się zaczęła leciutko unosić nad ziemią. Wiem, wiem, trzydzieści kilka lat, a ja się zachowuję jak Ania Shirley. Ale co poradzić? Tak się właśnie czułam.

Zadzwoiłam do Anki, żeby się nią podzielić tą radosną wiadomością.

– ...I w końcu mnie pocałował!

– Raz? – Anka była skrupulatna w każdej sytuacji. Jaka w pracy, taka w życiu.

– Raz, bo akurat...

– No to mamy remis.

– Słyszę, że wracasz do formy. Macierzyństwo tylko na chwilę przytępiło twoją zgryźliwość – zauważyłam spokojnie. Spokojnie, bo w końcu się przyjaźniłyśmy od wielu lat i wiedziałam, że Anka się często wygłupia, ukrywając pod żartami poważne nastawienie.

– Próbuję rozładować napięcie.

– A kto jest napięty? Ja nie, ja jestem po prostu szczęśliwa, więc chyba ty.

– Jestem, przyznaję. A wiesz dlaczego?

– Bo się nie wysypiasz? – Teraz ja pozwoliłam sobie na złośliwość.

– Brak snu tylko wyostreza moją czujność. Zmysły mam ostre jak żyleta – prychnęła. – No dobrze, powiem ci – zaczęła już normalnym tonem. – Wiem, wiem, zaraz stwierdzisz, że się powtarzam, ale naprawdę mi to leży na sercu. No bo tak: z jednej strony mówisz, że ten Staszek taki super – miły, kulturalny, przystojny, skromny. Że z gór i nowe wcielenie Staszka prababci to już nie wspomnę. A z drugiej strony ciągną się za nim jakieś tajemnice, niedopowiedzenia. Niby wykształcony, a ma problem z pracą. No i wreszcie – jeśli naprawdę jest taki idealny, to jakim cudem jest samotny? Jeśli naprawdę jest, bo tego nie wiemy. No?

– Do wszystkiego można się przyczepić. A samotny jest. Powiedział mi, że serce podzielił między rodzinę i góry. Nie ma nikogo, wierzę mu. Zresztą po tym pocałunku to czuję. Nie da się oszukać, całując. Kiedy Maciek mnie pocałował, to zero emocji. Prócz zdziwienia.

– Widzę, że jesteś już stracona dla świata. Poddaję się. Skoro po raz pierwszy w życiu obudziła się w tobie intuicja, to dajmy jej szansę. Żal mi Maćka, bo to fajny facet, ale ma klasę, na pewno nie da po sobie poznać, że jest zawiedziony. A w sprawie pracy co zrobisz? On czy ta apteka?

– Dziś jestem umówiona w aptece. Zobaczymy. Tu na razie intuicja nic mi nie mówi.

– Jeśli chodzi o pracę, tobym dała wychodne intuicji i jednak postawiła na rozsądek. Pensja w firmie Maćka na pewno będzie dużo wyższa. Samotna kobieta musi o tym myśleć.

– Nie zamierzam być samotna. Mam gorącą nadzieję, że to się niedługo zmieni – powiedziałam, odpływając na fali wspomnień o wczorajszym pocałunku.

– Taaa. Cóż, nawet jeśli twoje serce dostanie to, czego chce, to akurat w tym przypadku – „tym” zostało podkreślone – o dobrą pensję nadal będziesz musiała dbać. I nie, nie jestem złośliwa, po prostu znam życie.

\* \* \*

Maria Mirska też знаła życie, i to od tej samej, prozaicznej strony.

Umówiłyśmy się na spotkanie w samo południe. Do Apteki Pod Wieżą poszłam na piechotę, specjalnie nadkładając drogi, żeby kawałek trasy przebiegał bulwarami.

Mogłabym tak spacerować każdego dnia, myślałam, wędrując asfaltową ścieżką. Z jednej strony miałam kościół Na Skałce, z drugiej – Wisłę. Przyjemnie, bez pośpiechu, z dala od ruchu ulicznego. W Warszawie dojeżdżałam do pracy metrem – tłum ludzi porywał mnie na peron, tłum wynosił na powierzchnię.

Anonimowo, szybko, trybik wielkiej maszyny. Wtedy mi to nie przeszkadzało, może dlatego, że nie znałam innej rzeczywistości? Teraz już nie wyobrażałam sobie powrotu do takiego pędu.

Co do apteki... Warszawskie miejsce pracy było na wskroś nowoczesne – wyglądało jak wnętrze stacji kosmicznej. Oczywiście, każda apteka ma taki sam cel – wydać pacjentowi lekarstwo, ale oprócz leków na receptę mieliśmy też morze innych specyfików. Niektóre z nich były mocno podejrzane – na przykład suplementy diety. Nigdy bym ich sobie nie kupiła i nie miałam ochoty polecać ich pacjentom. Tymczasem Jarek obstawił nimi blat i cały teren wokół stanowiska farmaceuty, zupełnie jak w spożywczym przedkasą. Nawet nam zorganizował „szkolenie” z przedstawicielem medycznym, żeby nas zachęcić do sprzedaży tych specyfików. Mieliśmy mieć od tego premię. No po prostu upadek – nie po to się kształciłam, żeby teraz wciskać ludziom jakieś tabletki, o których nie wiadomo, jak działają. To już lepiej sobie landrynki kupić, przynajmniej są smaczne, a cukier poprawia nastrój. Napór na nas w końcu zelżał, pewnie dlatego, że Jarek znalazł sobie alternatywne źródło dochodów, czyli te przekręty, za które teraz siedział.

W Aptece Pod Wieżą czas się zatrzymał. Jasne, można tu było kupić pocziwe pastylki do ssania z tymianku i podbiału, syrop prawoślazowy i inne „leki z bożej apteki”, jak je nazywała pani Maria, ale krzykliwa reklama i nachalni przedstawiciele handlowi zostali przed drzwiami.

Pewnie dlatego apteka nie przynosiła takich kokosów, jakie by mogła. I dlatego pensja, którą magister Mirska mi zaproponowała, była, no cóż, niezbyt wysoka. Dolny poziom warszawskich aptek, choć tam można było jeszcze liczyć na jakieś bonusy. Tu jedynym dodatkiem do pracy była atmosfera. Wystrój, tchnienie historii, zapach drewnianych regałów, ryciny na ścianach. Tak, czułam się w tym wnętrzu bardzo dobrze. I w towarzystwie właścicielki, a zarazem kierowniczką, też mi było miło.

– Pani Klaro, ja wiem, że są apteki, które mogą przyciągnąć

lepszym uposażeniem, ale mnie się wydaje, że to kosztem pacjentów. Bo ja zawsze tak mówię: pacjenci, nie klienci. Oni mają klientów, my jesteśmy wspomoczeniem lekarzy. Nie tylko nie szkodzić, lecz także pomóc. Zwłaszcza że w naszej dzielnicy dużo osób starszych, schorowanych i z chudym portfelem. Nie miałabym serca narażać ich na dodatkowe koszty, a to jeszcze bez przekonania, że oferuję im coś skutecznego.

Jakbym siebie słyszała. Energicznie przytaknęłam.

– No i leki robimy. A nie wszyscy chcą się w to „bawić”, jak mówią. Dlatego... – Bezzradnie rozłożyła ręce. – Zrozumiem, jeśli pani wybierze inną ofertę. Choć szczerze przyznam, że byłoby mi żal. Wykształcenie – dyplom z wyróżnieniem – i doświadczenie to już doskonale referencje, ale, co również jest ważne, czuję, że pani do nas pasuje, że dobrze by się nam razem pracowało. Nawet, proszę się nie śmiać, to jak się pani ubiera. Bo teraz taka dziwna moda zapanowała, te brzuchy odkryte, włosy fioletowe, spodnie poszarpane. Może i jestem staroświecka, ale według mnie wygląd świadczy o człowieku. A pani w tej sukience, balerinach... Uroczo.

Uśmiechnęłam się. Staszek też mi dziś powiedział, że w zielonym mi do twarzy.

– Dziękuję, pani Mario. Mogę powiedzieć, że czuję tak samo. Proszę o tydzień do namysłu. Mam jeszcze jedno spotkanie, w zupełnie innym miejscu, bo w firmie biotechnologicznej.

– O, to nieporównywalne.

– Tak, ale dokonam niemożliwego, czyli jednak porównam i wybiorę. Możemy się tak umówić?

– Oczywiście. Proszę dać znać. Mimo moich chęci, by widzieć panią u nas, życzę pani powodzenia i na tamtym spotkaniu.

Klasa kobieta, pomyślałam, zegnając się.

Powodzenie podczas drugiego spotkania miałam zapewnione, co mnie raczej stresowało, a nie cieszyło, zwłaszcza że było to powodzenie przede wszystkim natury osobistej, a nie zawodowej.

\* \* \*



Wracałam do domu tą samą trasą. Tak, to zdecydowanie byłoby przyjemne. Zupełnie jak w *Ojcu Mateuszu* – wszędzie na piechotę, a gdy już bardzo daleko, to na rowerze. Zakupy w znanym sklepiku, zaprzyjaźniona pralnia, znajomi w Poziomce, dzieci mówiące „dzień dobry” na ulicy. Odnalazłabym się w takiej rzeczywistości. Szczególnie gdyby obok był Staszek...

Zdażyłam już zgłodnieć od śniadania, ale spieszyłam się do domu, bo chciałam się z nim zobaczyć. Na klatce spotkałam Jadzię.

– Kraków to naprawdę małe miasto, wciąż się tu wpada na znajomych – przywitałam ją, nerwowo się zastanawiając, ile mnie przytrzyma. Nie chciałam być niegrzeczna, ale ciągnęło mnie na górę.

– Czy ja wiem? – zadumała się Jadzia. – Może i tak. Ale nie tym razem. – Uśmiechnęła się. – Bo ja tu sobie na ciebie specjalnie czatuję.

Zatkało mnie.

– Ale jak to?

– Przez wizjerek. Słyszę skrzypnięcie drzwi wejściowych, bo one jednak okropnie trzeszczą, przydałoby się naoliwić, no to wtedy do otworka i filuję. Wielkiego ruchu nie ma, tutaj dużo starszych ludzi, nie biegają jak kot z pęcherzem. No i za trzecim razem to byłaś ty.

Stałam bez ruchu, wciąż zdumiona.

– A coś się stało, Jadziu? Znowu coś z prądem? Potrzebna pomoc Staszka?

Nawet kiedy o nim mówiłam, to wszystko we mnie podrygiwało. Baczna obserwatorka Jadzia oczywiście to wychwyciła.

– Nie, elektryka doskonale działa. Świetnie się pan Staszek spisał. Przy okazji – poszedł już. Drugie skrzypnięcie to był pan Janusz, ten spod siódemki, i akurat się minął z panem Staszkiem, więc nie musisz się spieszyć.

Tak, można było we mnie czytać jak w otwartej księdze.

– Przejrzałaś mnie.

– No pewnie! – Jadzia się zaśmiała. – W końcu tyle lat przepracowałam w teatrze i powiem ci, serduszko, że grać to ty nie potrafisz.

Roześmiałam się. Bardzo lubiłam Jadzię i jej zaraźliwe poczucie humoru.

– No dobrze, to o co sąsiadce chodzi?

– Teraz to o kotlety jajeczne. Zrobiłam, z pietruszką. Zjesz ze mną? A potem cię powypyuję o to i o owo.

\* \* \*

To i owo to był oczywiście Staszek. Jadzia poczuła się... „pozbawiona dostępu do informacji”. O mało się nie oplułam kompotem, gdy usłyszałam to określenie.

– Wybacz, słoneczko, wścibskiej starszej pani. Ciekawość mnie zżera. Będzie coś z tego? – Popatrzyła na mnie figlarnie, ale i z pewnym napięciem, kiedy streściłam jej ostatnie wydarzenia.

– Chciałabym. Staszek nie może mi wyjść z głowy.

– Z serca chyba bardziej.

– Z obu tych miejsc. Zakochałam się po prostu.

– Widzę. Ale to dobrze, prawda?... Bo słyszałam w twoim głosie jakieś zawahanie.

– Bo widzisz, Jadziu, Staszek jest taki trochę... nieprzenikniony.

– Mnie się wydaje prostolinijny.

– Tak, w takiej zwykłej rozmowie, owszem, ale ma jakieś kłopoty. Opowiadał coś o podjętych zobowiązaniach, które go trzymają w Witowie. Wiem tylko, że niedawno zmarła mu na raka mama, że ma ciotkę, a o ojcu nie chciał mówić, ale zrozumiałam, że żyje. Rzucił pracę naukową, by zająć się mamą, a po jej śmierci zostawił posadę nauczyciela i wylądował w Krakowie, na remoncie u mnie. W trybie pilnym się to wydarzyło, ale nie było to ostateczne, bo on regularnie tam jeździ. Czyli tajemniczo i trudno. Pan Tomek też opowiadał o tym, że Staszek ma pod górkę, nic więcej jednak nie wiem.

- Ale bardziej cię to ciekawi czy martwi?
- Martwi. Choć ciekawa też jestem.
- Przyjdzie czas, to sam powie.
- Pewnie tak. – Pokiwałam głową. – A ty co myślisz?
- O Staszku? Bardzo miły chłopiec.
- A uważasz, że jest... – Zawahałam się, jak to sformułować. – Uczciwy?
- W sensie, że ma dobre intencje? Nie oszukuje ani ciebie, ani nikogo innego?
- Pokiwałam głową.
- O ile się znam na ludziach, to nie. Powiem nawet więcej. Mnie się ten chłopiec wydaje taki... niedzisiejszy.
- O matko! Mnie też! Zupełnie jak ten Staszek od prababci Emilii.
- E, nie. Może jestem trochę szurniętą starszą panią, ale w takie cuda to jednak nie wierzę.
- Poczulałam się lekko dotknięta. Ja nie byłam ani stara, ani szurnięta, a mimo to wciąż szukałam podobieństw w naszych losach.
- Chodzi mi raczej o to, że, gdy tak sobie na tego Staszka patrzę, to myślę, że jemu rzeczywiście musiało być w życiu ciężko. Że był chowany tak tradycyjnie, z szacunkiem do starszych. Że jest odpowiedzialny, że do wszystkiego w życiu doszedł sam. Dostatek go nie popsuł, tak bym to ujęła. A że ludzie kochają tacy, jacy są, to... to chyba dobrze, że masz w sercu maj, chociaż w kalendarzu już czerwiec.
- Tak, w sercu miałam maj, a na stole w salonie czekał na mnie malutki bukiet fiołków wstawiony w mój uranowy wazonik. Od Staszka.

## Rozdział dziesiąty



– Wiara góry przenosi – wychrypiała Jadzia.

– Góra wciąż na miejscu, ale na szczęście my się w końcu przemieściliśmy z punktu A do punktu B. – Babcia też była z siebie dumna.

Sześćset pięćdziesiąt metrów to nie jest wysokość dla alpinistów, ale dla dwóch pań na emeryturze, z których jedna niedawno wróciła z sanatorium, a druga miała nadbagaż w postaci wagi, to jednak spory wyczyn. Byłam z nich dumna.

Pomysł niedzielnej wycieczki pojawił się zupełnie nieoczekiwanie. Miałam się zobaczyć z babcią, ale nie ustaliłyśmy, którego dnia, a w tym czasie Jadzia zaproponowała mi wspólny spacer i obiad. Weekend w hospicjum miała bez dyżuru i, jak to ujęła, potrzebowała „naładować akumulatory”. Umówiłyśmy się na niedzielę i wtedy zadzwoniła babcia, że właśnie niedzielę ma dla mnie. Odparłam, że najpierw ustalę z Jadzią godziny naszego spotkania, Jadzię zaś poinformowałam o planach babci. „A właściwie dlaczego nie miałybyśmy się spotkać we trzy? – zapytała babcia. – Dużo opowiadałaś o pani Jadwidze, ja przez tyle lat znałam ją tylko z widzenia, najwyższy czas nadrobić ten brak”. „No to zabieramy seniorkę Majewską z nami. Będę mieć nową koleżankę” – przystała ochoczo Jadzia.

I w ten sposób ja, babcia i Jadzia w niedzielny poranek

pojechałyśmy busem do Myślenic, skąd, już pieszo, powędrowałyśmy na górę Chełm.

Kiedy tylko minęłyśmy most na Rabie i poczułam zapach mokrych łośpianów, wróciły wspomnienia z dzieciństwa, z wakacyjnego pobytu z babcią w Rabce. Trzy tygodnie spacerów i górskich wędrówek. Wtedy odkryłam, że gdy się zejdzie z asfaltu i wejdzie na kamienistą trasę, wkracza się w zupełnie inny świat: widoków, zapachów, ludzi, przeżyć. Oraz – co w tamtym momencie czułam, a nazwałam później – przewalczania własnych słabości, stawiania sobie celów i osiągnięcia ich. I wielkiej radości, gdy się to uda – jak wtedy, gdy bolały mnie nogi, było gorąco i jęczałam, że już nie dam rady, a babcia uspokajała i zachęcała nagrodą w schronisku. I rzeczywiście, krok po kroku, zagadywana przez babcię, która opowiadała mi o kwiatach i drzewach, o własnych siłach doszłam na szczyt, gdzie dostałam naleśniki ze śmietaną i z jagodami, obficie posypane cukrem. I metalową przypinkę PTTK. Ależ byłam z siebie dumna! Podczas tej mojej pierwszej przygody z górami połknęłam bakcyła wędrówek. Kilka razy spędziłam w ten sposób wakacje z mamą, nim wybrała te swoje szuwary, raz, już po maturze, ze znajomymi z klasy, i jeszcze raz – na studiach. A potem, gdy związałam się z Pawłem, wyjazdy się skończyły. „Góry jeszcze trochę postoją, a Krzywa Wieża w Pizie to nie wiadomo”, i jechaliśmy do Włoch. Jasne, bardzo mi to imponowało, przynajmniej wtedy, gdy się po raz pierwszy zachłysnęłam zagranicznymi wożażami. Ale teraz tłok, skwar, tłum turystów, wszędzie tandetne pamiątki, oczekiwanie na stolik, by w pośpiechu wypić drogą kawę, wydały mi się męczące. I wcale bym nie chciała zamienić powoli wijącej się pod górę ścieżki i widoków na rezerwat Bluszcz na tamten hałaśliwy i duszny krajobraz.

Miałam spokój i warunki do takich przemyśleń. Okazało się, że babcia i Jadzia przypadły sobie do gustu. Niby łączył je tylko podobny wiek, a dzieliło wszystko inne, ale odnalazły wspólny język. Tempo wędrówki też czyniło z nich dobraną parę. Co jakiś

czas się odwracałam i patrzyłam, jak idą za mną. Babcia, wyglądająca jak emerytowana harcerka – w zielonych szortach do kolan, koszulce w kratkę, skórzanych traperach i wywiniętych grubych skarpetach, i Jadzia – w różowych legginsach i fioletowej tunice oraz niebieściutkich butach do wędrowek, do których dobrała kolorystycznie plecaczek. Cóż za kontrast. A jednak – przegadały całą drogę. Na górze, gdy wreszcie tam dotarliśmy, razem usiadły na drewnianej ławie, skąd podziwiała widoki.

– A mogłyśmy wjechać kolejką – sapnęła Jadzia, popijając wodę z plastikowego bidonu. – Ale się nie dałyśmy pokusie. I kto jest teraz zwycięzcą? – Powiodła po nas triumfalnym wzrokiem.

– Wiesz, że podobnie mówiłam Klaruni, kiedy była mała, a my szłyśmy na Stare Wierchy?

– Właśnie sobie wspominałam te wakacje – przytaknęłam. – I odkryłam, że brak mi gór. Widoków, emocji. Już ładnych parę lat minęło, kiedy ostatni raz wędrowałam szlakiem.

– A właściwie czemu? – zapytała Jadzia.

– Właściwie nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Jakoś się nie składało.

– No to teraz ci się składa. – Uśmiechnęła się. – Ja też miałam przerwę, choć krótką. Był czas, że ważyłam za dużo.

Przyznaję, od razu przyszła mi do głowy myśl, czy teraz Jadzia waży tyle, ile powinna, co, oczywiście, zauważyła.

– Wiem, słoneczko, do miss mi jeszcze daleko, no chyba że do Miss Piggy, ale uwierz, było gorzej, dużo gorzej. No cóż, praca suflerki to jednak praca siedząca, tak mi przybywało i przybywało, aż sobie pokaźnie obrosłam tłuszczkiem. Zawzięłam się jednak i pracuję nad sobą, tyle tylko, że powoli, w swoim tempie. Nie chcę zafundować sobie szoku, bo wtedy bym nie wytrzymała, zresztą te nagłe spadki wagi są tylko na chwilę, bo potem efekt jo-jo je pokonuje. I tak, drobnymi kroczkami, osiem kilo poszło w siną dal.

– Konsekwencja to podstawa – zgodziła się babcia. – Ja postanowiłam się nie dać tym swoim stawom. Najpierw się niby godziłam, że już będzie źle, trudno, taka kolej rzeczy, człowiek się

starzeje, a później się jednak zbuntowałam.

Buntująca się babcia, no proszę. W każdym wieku można się zmienić, pomyślałam.

– Więc oczywiście zaordynowane przez lekarza pigułki i maści, rehabilitacja: bioprądy, pola magnetyczne, różne cudenka, ćwiczenia grupowe, kijki, z którymi sobie spaceruję, choć na początku sądziłam, że to tylko dla młodych. No i wreszcie wyjazd do sanatorium. Który okazał się przełomowy.

– Właśnie widzę, babciu. Śmigasz jak mały samochodzik. Nawet się trochę obawiałam, że to może zbyt forsowne i sobie zaszkodziś...

– W naszym wieku to tylko śmierć może zaszkodzić. – Jadzia wyciągnęła z plecaka plastikowy pojemnik i zdjęła z niego wieczko. – Mam marchewkę i seler naciowy. Chcecie?

Babcia sięgnęła po zielony rulonik, ja podziękowałam. Dolatujący do nas z restauracji na szczycie zapach kwaśnicy nęcił mnie bardziej niż surowe warzywa, mimo że byłam zwolenniczką zdrowego żywienia i niejedzenia mięsa. Uwielbiałam jednak kwaśnicę, która wszędzie poza górami była po prostu kapuśniakiem, że nie wspomnę o przedziwnym wynalazku, jakim jest kapuśniak ze słodkiej kapusty. Dopiero tu smakowała, jak należy.

– Dobrze sobie czasem przypomnieć o śmierci – zgodziła się babcia.

– Daj spokój, babciu, taki piękny dzień, a ty myślisz o umieraniu – zaprotekowałam.

– Nie, właśnie nie myślę. To znaczy myślę, ale tylko po to, żeby nie zapominać, że czas biegnie i kiedyś się skończy. Jeśli więc coś by się chciało zrobić, jeszcze przeżyć, to teraz, już. Potem może być za późno.

– No to będziemy powtarzać takie wypadki. Ja z chęcią – zadeklarowałam.

– Ja również – przytaknęła Jadzia pomiędzy chrupnięciami.

– Wędrówki z wami też, oczywiście, ale chciałam co innego

powiedzieć. Mianowicie... – Babcia się na moment zawahała, a potem odchrząknęła i dokończyła: – Poznałam kogoś.

– Ale w jakim sensie? – zdziwiłam się.

Jadzi zbystrzał wzrok.

– W sanatorium? – zapytała krótko.

Babcia kiwnęła głową.

I wtedy do mnie dotarło! Babci chodziło o jakiegoś mężczyznę! Matko, to pewnie dlatego nie miała już dla mnie tyle czasu co zawsze! To dlatego była taka tajemnicza, kiedy się dokądś wybierała, i nie chciała zdradzić dokąd.

– Ale jak to? – spytałam głupio. I bezradnie.

– Na dansingu. – Babcia zarumieniła się jak panienka na wydaniu.

– No, no, Elżbietko, taką emeryturę to ja rozumiem. – Jadzia cmoknęła z podziwem.

A mnie po prostu zatkało. Myśl, że babcia mogłaby się z kimś spotykać, była absolutnie egzotyczna. Przecież przez całe moje życie była sama! Chyba raz się pojawił jakiś pan, nauczyciel, mama coś tam odkryła, ale okazało się, że to fałszywy alarm, i kolega faktycznie jest po prostu kolegą.

– A co ty tak zamilkłaś? – Jadzia przyjrzała mi się z uśmiechem.

– Że starsze panie jeszcze mogą pobrykać?

– Jadziu... – Babcia się lekko zmieszała.

Ale, słowo daję! chyba tak kurtuazyjnie, bo nie wyglądała na zagubioną. Wręcz przeciwnie – raczej na zadowoloną. Bardzo zadowoloną.

W ogóle obie tak wyglądały. I miałam wrażenie, że obie się bawią moim kosztem. Że to niby one takie wyluzowane, a ja sztywniara! Owszem, jakiś czas temu to była prawda. Generalnie przez większą część mojego życia to była prawda, ale zaczęłam się zmieniać. Postanowiłam im o tym przypomnieć.

– Żeby była jasność, to powiem, że absolutnie to popieram... popieram nowe znajomości i otwieranie się na ludzi – zaczęłam energicznie. – Co nie zmienia faktu, że jestem zdziwiona.



– Właściwie ja też jestem zdziwiona – przyznała babcia. – Nie spodziewałam się już tego, zresztą przecież nie szukałam towarzystwa. Tyle lat w pojedynkę, to znaczy nie w pojedynkę, bo oczywiście mam was, moje dziewczyny, ale bez męskiego towarzystwa. Nie sądziłam, że kiedyś jeszcze może się to zmienić. No a żeby w sanatorium, gdzie, jak się mówi, różne rzeczy się dzieją, to już w ogóle. Tymczasem jednak... Poznałam bardzo miłego pana Kazimierza. Na dansingu, więc początkowo byłam podwójnie czujna, bo przecież intencje mogły być natury, powiedzmy, wyłącznie nieplatonicznej, ale potem był spacer, jeden, drugi, kawiarnia. Niezwykle przyjemny czas. A kiedy wróciłam do Krakowa, to okazało się, że mi jakoś tak smutno. A że Kazio czuje podobnie...

– A kim jest ten pan Kazimierz? – zapytałam, przetrawiając to, co właśnie usłyszałam.

– Emerytowanym inżynierem z Olkusza. Ma mały domek i psa Szarika. Lubi czytać i oglądać filmy dokumentalne. No i jest bardzo aktywny, ma duszę turysty.

– Sporo o nim już wiesz... To dlatego znikaaś tak ostatnio?

– Tak. Po prostu chciałam się upewnić, że to dobry wybór, nim przedstawię ci mojego... chłopca.

„Kogo? – osłupiał mój rozum. – Siedemdziesięcioletni chłopiec!”  
„A miała powiedzieć: partner? – prychnęło serce. – To określenie nie z tego pokolenia”.

– Kazio jest bardzo odpowiedzialnym mężczyzną. Poza tym Jadzia ma słuszność – ciągnęła babcia. – W naszym wieku nie ma co odkładać życia na później. To znaczy w ogóle się nie powinno tego robić, a gdy biologia goni, to już zwłaszcza.

Rany, to się działo naprawdę! Babcia Elżbieta, wzorzec babć, wzorzec samotnych emerytowanych nauczycielek, wzorzec niczego-nie-zmieniających-przez-lata-w-życiu-pań... ma chłopaka, pardon, chłopca. A tymczasem ja, jej wnuczka, ekscytowałam się pocałunkiem – jednym! I małym bukietem fiołków. I dobra, niech będzie – byłam zazdrosna!

– Jestem zazdrosna – wyznałam z lekkim wstydem, ale od razu zrobiło mi się lżej na duszy. – A oprócz tego bardzo się cieszę, babciu, naprawdę.

I się rozplakałam.

– Kochanie. – Babcia przygarnęła mnie do siebie. – Dużo ostatnio przeszłaś. Emocje masz na wierzchu, ale wszystko się ułoży, zobaczysz.

– No pewnie, że się ułoży. Przypilnujemy cię, żebyś niczego nie popsuła – potwierdziła Jadzia. – A teraz proponuję wejść do restauracji i poświątować – że się tu wdrapałyśmy i że życie jest takie fajne. Szampana raczej nie mają, ale schłodzone piwo na pewno.

Babcia Elżbieta pociągająca chłodną piankę! Jeśli to jest możliwe, to wszystko jest możliwe.

## Rozdział jedenasty



Była idealna.

Zawsze mnie to fascynowało, że po świecie chodzą tacy ludzie, którzy na loterii życia zgarniają całą pulę – i wygląd, i intelekt. A do tego nienaganne maniery, opanowanie, nawet uśmiech mają doskonały!

Karen właśnie taka była.

Ostatecznie spotkaliśmy się we trójkę. Tomek miał jakieś gigantyczne zawirowania w kancelarii prawniczej, w której był współnikiem, i nie mógł dotrzymać poniedziałkowego terminu. Dzwonił do mnie usilnie w niedzielę, gdy podziwiałam górskie widoki, ale zasięg się wahał między żadnym a marniutkim, więc się nie dodzwonił. Karen już była w Krakowie, bo przyleciała wcześniej, Maciej też, więc Tomek dojechał po południu i do późnego wieczora zamknęli sprawy biznesowe.

Do omawiania pozostały kwestie czysto naukowe i koncepcje działania rozrastającej się firmy biotechnologicznej.

Siedzieliśmy w kawiarni na Rynku. *Wunderbar*, powtarzała Karen, kiedy kelner prowadził nas do stolika. Już sama lokalizacja była zachwycająca – Sukiennice. A do tego wnętrza: welury, zdobienia, mocne kolory, duże lustra na ścianach, malowidła, rzeźbienia – można się było przenieść w przeszłość. I Maciej to robił – opowiadał Karen o historii tego miejsca swoim płynnym

angielskim. Ona go słuchała, zafascynowana, od czas do czasu rzucając „*it's amazing, really?*”, a ja się uśmiechałam, kiwając głową. Także się przeniosłam w czasie, ale była to zupełnie inna wyprawa. Spotkaliśmy się w kawiarni Noworolskiego. „U Noworola”, jak pisała prababcia Emilia. To tu przychodziła na ciastka, to w tych wnętrzach wyczekiwała na spotkania ze Staszkiem, to tutaj pewnie zabierała małą Bietkę na deser, kiedy już było wiadomo, że los zgotował im samotną przyszłość...

Znów wróciła do mnie rodzinna historia.

Sto lat samotności Majewskich, które po rozstaniu z Pawłem wrzuciło mnie w otchłań zwątpienia, powoli dawało się oswoić. Kilka miesięcy temu, pogrążona w najczarniejszej rozpacz, sądziłam, że powtórzę los prababci, babci i mamy, czyli pozostanę panną Majewską do końca swych dni. Taki los, okrutne fatum. Wszystko za tym przemawiało. No, może Anka i zdrowy rozsądek próbowali mnie przekonać, że tylko w baśniach siła wyższa nawija nieć losu, ale ja wiedziałam swoje. I swoje czułam. Właśnie – nieć losu. „Od wyroku Mojr nie było odwołania”. Samo wspomnienie tego zdania, skreślonego ręką prapradziadka, wywołało nieprzyjemny dreszcz. O co w tym wszystkim chodziło? Czy ojciec Emilii zabrał do grobu jakąś rodzinną tajemnicę? Czym miał być ten fronton kamienicy? Przypomnieniem? Ostrzeżeniem? Czy po prostu dekoracją, zamówioną przez człowieka, który fascynował się mitologią?

W ogóle byłam przesądna. W podstawówce pilnowałam, żeby nie wstawać z łóżka lewą nogą. Obchodziłam blok, jeśli Ramzes, czarny kot sąsiadki, przebiegł przez alejkę przede mną. Panicznie się bałam stłuczenia kieszonkowego lusterka, do tego stopnia, że przestałam je nosić. Z wiekiem trochę mi to minęło, ale tylko trochę. Więc te strzępy informacji o przeszłości naszej rodziny, które udało mi się odkryć, układałam w budzącą mój lęk całość.

Staszek też był w tych puzzlach. To naprawdę niezwykle, że – w jakiś sposób – powtarzałam los prababci. To nadzwyczajny przypadek, upierałam się. „Przypadków nie ma, jest tylko człowiek

i jego zamiary” – obstawała Anka.

A ja miałam w głowie mętlik. Choć jedno zrozumiałam: jeśli czegoś chcę, to muszę działać.

Mój Boże, babcia Bietka! Po tylu latach w pojedynkę ma absztyfikanta! „Przez te lata byłam sama z wyboru. A teraz, także z wyboru, chcę się z kimś spotykać. Obudziły się we mnie uczucia, o których sądziłam, że ich potrzeba dawno wygasła”. Podobno gdy tylko ujrzała Kazimierza, poczuła coś, co wiele, wiele lat temu wzbudził w jej sercu Tadeusz. „Na pierwszy znak, gdy serce drgnie...” – zanuciła. Oczywiście, że znałam tę melodię i tę piosenkę, ale nie mogłam sobie przypomnieć, kto to śpiewał. „Hanka Ordonówna – powiedziała babcia. – A słowa napisane przez Tuwima. Pewnie dlatego ta piosenka wciąż żyje. Teksty współczesnych piosenek są takie, że nie tylko zapamiętywać się nie ma ochoty, a wręcz od razu zapomnieć by się chciało” – dodała. Po chwili zastanowienia przyznałam jej rację. Nie mogłam sobie przypomnieć dłuższego kawałka żadnej polskiej piosenki, a przecież pamięć mam niezłą, jak każdy farmaceuta. „Drugi znak to słodki lęk, trzeci znak – piosenki dźwięk, co się wplata w sen, złoty sen”.

– *Sleeping Beauty*, Śpiąca Królewno – wyrwał mnie z zamyślenia głos Macieja. – Chyba cię trochę zanudzamy, skoro się ratujesz ucieczką do innej rzeczywistości. A może to rozmarzone spojrzenie to z powodu naszej wizji rozwoju firmy?

Matko, o czym oni teraz rozmawiali? Ostatni zarejestrowany fragment na pewno dotyczył Noworolskiego, a potem?... Co się ze mną dzieje? Gdzie się podziała dawna Klara: skupiona, rzetelna, zawsze przygotowana? Zakochała się, usłudźnie przypomniawszy serce.

– *Exactly. Perfect vision.* – To było bardzo bezpieczne i chyba pasowało do sytuacji.

Zebrałam się w sobie i już do końca spotkania uczestniczyłam w nim nie tylko ciałem, lecz także duchem.

Plany były imponujące. Połączenie dwóch firm miało zaowocować nowoczesnym laboratorium badawczym, gdzie prowadzono by

prace nad nowatorskimi rozwiązaniami technologicznymi dla przemysłu farmaceutycznego. Patenty, substancje czynne, leki, kooperacje i kasa. Dużo kasy.

Patrzyłam na Macieja i Karen. Pasowali do siebie. Oboje byli z tego świata – elegancy, perfekcyjni, zaprogramowani na sukces. Karen spędzała życie w podróży, krążąc po całym świecie. W kolejnych stolicach siadała do rozmowy, wyciągając ze sztywnego neseseru elektroniczne gadzety: tablet, telefon, laptop, wszystko lśniące, cieniutkie – jak jej podkreślona paskiem talia – a potem błyszczącym czerwonym paznokciem jeździła po ekranach, opowiadając o wykresach, tabelkach i innych takich. Nie była zamyślona, nie ziewała, nie garbiła się. Pewnie nawet w domu była taka perfekcyjna. Chrom w kuchni, sterylne blaty, a na nich tylko ekspres, wszystko inne pochowane, minimalizm i perfekcjonizm. Moje myśli powędrowały w stronę Wiślniej – wazoników, koralików na ramie toaletki, kołkowej serwety. My dwie to inne światy, zdecydowanie. A oni dwoje...

Tak, doskonale by do siebie pasowali z Maciejem. Sto procent podobieństwa.

Co do samej pracy zaś... Tu też bym była jak na doczepkę. O ile wcześniej jeszcze się zastanawiałam, o tyle teraz już wiedziałam, że nie, to nie dla mnie. Początkowo ta propozycja mi imponowała. Szybko rozwijająca się firma, warunki na miarę XXI wieku. Nowoczesność za szklaną szybą. Ale ja nie chciałam się zamykać w sterylnych pomieszczeniach. Wręcz przeciwnie. Miałam ochotę otworzyć ramiona i wrzasnąć: „Świecie, przybywam!”. Chciałam chodzić do pracy na piechotę, ubijać składniki leków w mózdzierzu, pić herbatę na zapleczu z porcelanowych filiżanek, moczyć stopy w strumieniu i chronić głowę przed słońcem wielkim liściem łopianu, nosić opadające skarpetki, rozmazywać czasem tusz na rzęsach, zapominać telefonu. Być nieidealna. I prawdziwa.

Wspólnie odprowadziliśmy Karen do taksówki. Jechała na lotnisko, skąd samolot zabierał ją do Paryża. Kolejny *very important meeting*.

- I jak wrażenia? – zapytał Maciej, gdy zostaliśmy sami.
- Karen jest bardzo... bardzo na miejscu. Idealnie dobrana do tej pracy.
- Prawda? – ucieszył się. – Takie same miałem spostrzeżenia. Idealny partner.
- Partnerka, pomyślałam.
- Zatem wiesz już wszystko. Wizja firmy, plany, zadania – to nie kryje przed tobą żadnych tajemnic. Pozostaje tylko rozmowa o warunkach zatrudnienia.
- Ja... – zaczęłam nawet dziarsko, ale od razu oklapłam. Nie potrafiłam być stanowcza. Nie umiałam jasno wyrażać swojego zdania, bałam się, że komuś zrobię przykrość. Teraz też tak było. Choć podjęłam decyzję, to zabrakło mi odwagi, by ją przekazać. – ... chętnie o tym porozmawiam.
- „Jezu” – rozum aż jęknął. Miał rację. Było mi wstyd przed samą sobą, choć próbowałam się pocieszyć, że rozmowa do niczego nie zobowiązuje. Jasne, że nie, tylko po co zwodzić Maćka? Zwłaszcza że zwodzenie było i zawodowe, i prywatne.
- Fantastycznie. Proponuję godzinę dziewiętnastą, tam na rogu jest przyjemna knajpka. – Wskazał ręką szyld. – Teraz muszę wrócić do hotelu na telekonferencję, straszne nudy, tak między nami, za to wieczór – tu sobie odbiję.
- Wątpię, westchnęłam w duchu. Bardzo wątpię.

\* \* \*

- Czyli klamka zapadła? – W głosie Anki nie słyszałam już złości, raczej rezygnację.
- Tak. Wieczorem mu to powiem. Zaprosił mnie na drinka.
- Też sobie wybrałaś moment, wprost perfekcyjny! – gwizdnęła Anka.
- Wiem, że nie najlepszy, ale staliśmy na Rynku, dokoła tłum ludzi, on już się spieszył. Jasne, że brakowało mi odwagi, warunki jednak naprawdę nie były sprzyjające.

- Szampan je poprawi?
- Oj, Anka, daj spokój – westchnęłam. – Wytlumaczę mu wszystko. To znaczy tyle, ile trzeba. Zrobię to z klasą, nie martw się.
- O to się nie martwię, kultury ci nie brak. Za to wiedzy o życiu – tak. Zawodowo to on sobie poradzi. Po prostu wydaje mi się, że będzie mu przykro zwyczajnie po ludzku. Zdaje się, że naprawdę cię polubił.
- Ja też go lubię. Ale byłabym nieszczera, gdybym zaakceptowała jego ofertę – i pracy, i związku. Czuję to. Wiem to.
- A jak tam inne oferty?
- Jutro zadzwonię do pani Mirskiej, powiem, że przyjmuję jej propozycję.
- No a ten twój góral?...
- Ze Staszkiem się nie widziałam od piątku. Wiem, że na weekend jechał do domu, do Witowa. Rano przysłał SMS, że zjawi się później, bo nie wrócił w niedzielę, jak planował; wyruszył dopiero dziś rano. Pewnie przyjechał, kiedy ja byłam już na spotkaniu z Karen i Maćkiem.
- W tym tempie to ty zdążysz osiwieć, nim coś się z tego wykluje – westchnęła Anka, zwolenniczka szybkich decyzji. – A potem znowu będziesz pleść o klątwie...
- Rany! No i zapomniałam ci powiedzieć, bo od razu mnie zaatakowałaś tym Maćkiem.
- Nie atakowałam – obruszyła się.
- Ale przytłoczyłaś. Dobra, to słuchaj, tylko usiądź.
- Siedzę. W parku jestem. Krokomierz powiedział, że zrobiłam dziś już dziesięć tysięcy kroków, nie będę się więcej katować bez potrzeby, zwłaszcza że Zosia śpi. Co znowu nawywijałaś?
- Tym razem nie ja. Babcia.
- A co takiego mogła zrobić miła starsza pani?
- Spotyka się z kimś.
- Babcia Elżbieta?!
- Owszem.



– No nie wierzę! Jak się to stało?

A jednak, pomyślałam z satysfakcją, udało mi się zaskoczyć Ankę.

– Gdzie raczej. W sanatorium.

– Przecież w sanatorium to... Nie chcę być brutalna, ale czytałam kiedyś reportaż o seniorach, którzy jeżdżą na turnusy lecznicze i rehabilitacyjne. Część z nich rzeczywiście się kuruje, ale duża grupa jedzie tam w celach rozrywkowo-towarzyskich, ze szczególnym uwzględnieniem pory nocnej, rozumiesz. Nigdy bym nie przypuściła, że to proceder na taką skalę.

– Proceder, no daj spokój, mówisz jak o przestępcach.

– Staruszkowie potrafią być zmyślni. Najsprytniejszy lawirował między trzema emerytkami naraz. A w domu czekała żona. Niezłe ziółko, nie? No a te biedne wdowy leciały jak ćmy do światła. Że znowu nie będą samotne, że ktoś je pokocha, o rękę poprosi... Takie marzenia nie giną wraz z wiekiem...

– Babcia nie jechała z takim nastawieniem, rzeczywiście niedomagała i była skupiona na leczeniu, przecież wiesz.

– Ale się wydarzyło... Klara! – Nagle tak wrzasnęła do telefonu, że omal nie wypuściłam aparatu z ręki. – Czy ty chcesz powiedzieć, że twoja babcia się chajtnie? To nawet nie byłoby takie złe, wybiłabyś sobie wreszcie z głowy tę historię z kłątwą. Sto lat zamknięte, zaczyna się nowy rozdział.

– Nie, nie wyjdzie za mąż – odparłam. – Widzisz, ten pan Kazimierz jest... żonaty.

– Co?! Rany, odwołuję wszystko, co powiedziałam. To jest kłątwa. No po prostu niebywałe – za co los was tak nie lubi?

– Od razu pomyślałam tak samo – przyznałam. – Ale potem babcia opowiedziała nam całą historię, ze szczegółami. To znaczy mnie i Jadzi, bo razem byliśmy na wycieczce. I sprawa wygląda zupełnie inaczej.

– Zamieniam się w słuch. – Słyszałam, że Anka nie daje wiary tym wyjaśnieniom.

– Pan Kazimierz jest inżynierem. Ożenił się z dziewczyną, która pracowała jako sekretarka w jego instytucie, on tam był już od

kilku lat. Na początku świetnie się im układało, byli zakochani, zapatrzeni w siebie. Kiedy już się nacieszyli sobą, zapragnęli mieć potomstwo. Lata mijały, a ten plan się nie urzeczywistniał. W końcu się okazało, że nie mogą mieć dzieci, to znaczy ona nie może. Ciężko to przeżyła, przeszła załamanie nerwowe, miała depresję. Byli w tym razem, on też cierpiał. Jakoś wyszła na prostą, wróciła do pracy. On dostał propozycję wyjazdów na budowy do krajów arabskich. Przyjął ją i jeździł, bo dzięki temu zarabiał dużo więcej. Ona mu nie towarzyszyła, cały czas była w Olkuszu. I po którymś jego powrocie oznajmiła mu, że odchodzi. Że ich związek kojarzy jej się przede wszystkim z niespełnieniem, że on na pewno ją podświadomie obwinia o brak dziecka, że i tak się od siebie oddalili. No a poza tym – poznała kogoś. I odeszła. On się starał ją odzyskać, ale w końcu dał sobie spokój. Wyjechał – tym razem na kilkuletni kontrakt. Uczucia wygasły, on nie żywił do niej urazy. Wysyłał jej kartki na imieniny, urodziny, święta, ona się rewanżowała. Eleganckie rozstanie. Aż w końcu przestała się odzywać. Trudno, pomyślał, może na początku utrzymywała z nim kontakt, bo miała poczucie winy, a potem jej przeszło, nie drażył. Niedługo później wrócił do Olkusza, na emeryturę. I od wspólnych znajomych się dowiedział, że ona jest chora. Ma alzheimera. Fizycznie jest całkiem sprawna, ale choroba zabrała jej wszystko inne: pamięć, osobowość, tożsamość. Oraz partnera, który po prostu zwiął, kiedy na horyzoncie pojawiły się poważne kłopoty. Umieścił ją u sióstr zakonnych i dał nogę.

– Smutna historia – westchnęła Anka. – Życie potrafi być poplątane... Ale dlaczego on jest wciąż żonaty, skoro to wszystko stało się tyle lat temu?

– Na początku myślał, że to chwilowe zauroczenie, że może rzeczywiście coś w niej pękło, no bo to w końcu najcięższa próba dla małżeństwa, jeśli chce ono mieć dzieci i nie może. Że on uciekał w pracę, to może ona w romans. I że może nie wszystko stracone, tylko potrzeba trochę czasu. Nie wystąpił o rozwód, ona też nie. Potem wyjechał i nie zwracał sobie tym głowy. Ona również, bo

najwyraźniej ten jej partner się nie spieszył do żeniaczki. No a kiedy się okazało, że ona mieszka u tych sióstr i nikt jej nie odwiedza, to pojechał do niej. I był wstrząśnięty, bo zobaczył kobietę, która kiedyś była jego Renią. A teraz... Ciało Reni jest, ale Reni w tym ciele nie ma. Postanowił jej towarzyszyć, choć ona go nie poznawała. I mimo że mógłby się rozwieść bez problemu, to nie chce tego robić. Raz, że ona byłaby wtedy zdana na łaskę jakichś państwowych instytucji, które by decydowały o jej losie, a dwa, że on by się z tym czuł źle. Nie potrafi jej porzucić, gdy ona jest tak ciężko doświadczona przez los. Do tej pory zresztą w ogóle nie musiał się nad tym zastanawiać, aż poznał babcię i poczuł, jak bardzo był samotny. I że wcale nie musi tak być.

Anka milczała.

– A babcia co na to? Przecież to osoba z zasadami. Nie przeszkadza jej ten fakt?

– Zapytałam. I odpowiedziała, że bardziej by ją uwierało, gdyby on się zachował niehonorowo, że go rozumie i nawet go podziwia za tę postawę.

– No a sprawy religijne?... Twoja babcia jest przecież wierząca.

– Jest – przyznałam. – Ale zawsze mi powtarzała, że Jezus to dla niej wzór miłości bliźniego i że w życiu chodzi właśnie o to, by kochać ludzi i ich wspierać. I wiara ją w tym utwierdza, natomiast nie działa na nią jak straszak – tego ci nie wolno, a za to będzie kara. „Bóg to nie nauczyciel z różgą, a my to nie krnąbrni uczniowie”.

– Tak, twoja babcia to postępowy człowiek – zgodziła się Anka. – Bardziej niż moja matka. Cieszę się, naprawdę. To pokrzepiające, że takie historie mogą się przytrafić w każdym wieku. I że są ludzie, którzy się tak ładnie zachowują. Widzę tylko jeden mankament...

– Mianowicie?

– W żaden sposób nas to nie przybliżyło do palącej kwestii pierwszego od stu lat ślubu u Majewskich. Żeby ci ta myśl już nie zaprzętała pięknej główki, zrób coś w celu jej urzeczywistnienia.

- Czyli?  
– Matko, no. Do domu idź, do Staszka. Tam serce twoje, gdzie dom twój.  
– To chyba brzmi: tam dom twój, gdzie serce twoje.  
– Może. – Anka najwyraźniej się rozmarzyła w związku z historią babci, bo nie miała zamiaru się spierać. – W tym wypadku to chyba jednak bez różnicy, prawda?  
Prawda.

\* \* \*

Niesiona odwagą, dziarsko poszłam w kierunku swoich Trzech Lip. Niestety, fabuła życia rzadko jest gładka. Gdy tylko skręciłam w Wiślną, usłyszałam wibrowanie telefonu. Raz, a chwilę później – kolejny. Dwie wiadomości:

*Pani Klaro, próbowałem osobiście, ale się nie udało. Zatem tak: porywam dziś Staszka, bo mamy hydrauliczną tragedię w agencji i dwie (a nawet cztery) lewe ręce. Jutro rano zwracamy, odpracuje z nawiązką. Pa! Tomek K.*

I następna:

*Przepraszam, ale znowu rodzina – pomagam Tomkowi z awarią. Będę jutro rano, przyniosę bułki. Całus. S.*

Całus. Znowu jeden, ale zapisany, nieulotny. Miałam nadzieję, że jutro będzie ich więcej.

## Rozdział dwunasty



Stan na rozpoczęcie dnia był całkiem dobry: całus (znowu jeden, ale była dopiero dziewiąta rano), sześć chrupiących bułek (zjedzonych, niestety; w towarzystwie apetytowi pękają hamulce) i jeden bukiet stokrotek. Kwiaty od Staszka były takie urocze! Drobne, delikatne, kwintesencja świeżości i szczerości uczuć.

W ogóle wszystko ze Staszkiem takie było. On taki był. Zupełnie nieprzesiąknięty zmanierowaniem, nieprzybierający żadnych póz. Prosty i szczery. No, przynajmniej jeśli chodzi o to, co się między nami rodziło. Zagadnęłam go przy śniadaniu, jak w domu. Zwyczajne pytanie, bo przecież weekend spędził z bliskimi. Zauważyłam, że się lekko spał. „Jak to w rodzinie, trzymamy się razem”. Nie do końca zrozumiałam, co to miało znaczyć, bo wcale nie było wypowiedziane lekko, wręcz przeciwnie, jako coś w stylu: co w rodzinie się rodzi, w rodzinie zostaje i nie wyciągamy tego na zewnątrz. Ponieważ jednak sam nie rozwinął tego wątku, to nie drażylałam. Przyjdzie czas, to mi opowie, na pewno. Zresztą i tak nie moglibyśmy spokojnie porozmawiać, bo Staszek był umówiony na odbiór maszyny do cyklizowania, żeby odnowić parkiet w moim mieszkaniu. Planował po nią pojechać wczoraj po południu, ale awaria w agencji okazała się tak duża, że się biedził nad nią do dziesiątej wieczorem. A teraz musiał się spieszyć, bo cykliniarkę wypożyczał znajomy Tomka, za darmo, co mnie bardzo ucieszyło,

ponieważ oszczędności na koncie topniały, mimo że zaciskałam pasa. Sprzęt był dostępny tylko na jeden dzień – właśnie na dziś, bo od jutra znajomy miał umówioną pracę u klienta. „Jadę po cykliniarkę, a ty sobie zagospodaruj czas do późnego popołudnia, bo będzie hałas i jednak trochę się pyli” – poprosił Staszek. Postanowiłam więc pójść do apteki i odwiedzić panią Mirską osobiście, a potem przejść się na spacer i zajrzeć do Jadzi.

Wkładałam już trampki, kiedy usłyszałam dzwonek domofonu.

– Słucham? – rzuciłam do słuchawki.

– Poczta. – Usłyszałam w odpowiedzi.

Nacisnęłam guzik zwalniający blokadę i dopiero wtedy się zastanowiłam, jaka to przesyłka mogła do mnie przyjść. Przecież wciąż jestem zameldowana w Warszawie, co zresztą trzeba będzie zmienić, skoro już ostatecznie przeniosłam się do Krakowa i tu zaczęłam nowe życie. Na myśl o chodzeniu po urzędach zrobiło mi się lekko słabo, bo wszystkie moje wspomnienia tego typu czynności były przykre – długie godziny oczekiwania, wypełnianie wniosków, których nie rozumiałam (na urzędowych formularzach stosowano jakąś specyficzną odmianę języka polskiego), gburowate urzędniczki, no po prostu droga przez mękę. Co prawda, gdyby być tak zupełnie szczerą, to ostatni raz robiłam to dobrych kilka lat temu, a Anka zapewniała, że pod tym względem służba urzędnicza w Polsce dokonała skoku cywilizacyjnego i teraz pracujący w niej ludzie są przyjaciółmi petentów, ale złe wspomnienia wciąż we mnie tkwiły. Z tych rozmyślań wyrwał mnie dzwonek do drzwi. Podeszłam i zerknęłam przez wizjer. Czy Staszek go zamalował, odnawiając stolarkę? Widziałam tylko jakąś plamę. Gdy listonosz sobie pójdzie, to sprawdzę. Otworzyłam drzwi i zobaczyłam... największy bukiet róż, jaki można sobie wyobrazić. A może jeszcze okazalszy. Nie wiem, ile ich było, ale tak dużo, że posłaniec z trudem ścisnął w obu dłoniach grube zielone łądyżki przewiązane zieloną rafią. Róże zaś były krwistoczerwone. Piękne, aksamitne główki, z błyszczącymi płatkami, wydzielające zniewalający zapach. Przed oczami stanęła mi scenka z wakacji z Bułgarii.

Pojechałyśmy tam z mamą, kiedy byłam w liceum. Na żaden *all-inclusive* nie było nas wtedy stać, bo Dorota miała chudszy rok tłumaczeniowy. Postanowiła więc, że wybierzemy się na Słoneczny Brzeg. Warunki nie były takie, jak w Europie Zachodniej, to fakt, wszędzie jeszcze odczuwało się oddech niedawnej socjalistycznej epoki, więc hotel przypominał nasze domy wczasowe z lat siedemdziesiątych, wyszczerbiona zastawa na stołówce była taka, jaką kiedyś produkowało Społem, ale krajobraz i widoki – cudowne. To wtedy się dowiedziałam, że Bułgaria jest jednym z największych na świecie producentów olejku różanego. Pojechałyśmy na wycieczkę, podczas której oglądałyśmy plantację róży damasceńskiej – morze różowych główek, pachnących tak, że – w połączeniu z upałem i palącym słońcem – prawie doprowadziły mnie do omdlenia. Zanocowałyśmy w małych domkach przy polu, żeby rano obejrzeć, w jaki sposób produkuje się wodę różaną. Wstałyśmy bardzo wcześnie, przed świtem, by towarzyszyć kobietom zbierającym nieotwarte jeszcze kwiaty, które potem zostały przewiezione do destylarni, gdzie główki wkładano do wielkich kadzi, zalewano wodą i gotowano na dużym ogniu, a potem wiele razy przelewano, żeby na końcu otrzymać olejek o urzekającym zapachu – takim, jaki teraz wypełniał klatkę schodową i mój przedpokój.

– Klara Majewska? – Zza bukietu dobiegł męski głos.

– Tak – potwierdziłam zdziwiona. – Ale ja niczego nie zamawiałam.

– My nie rozwozimy zamówień, tylko prezenty. Poczta kwiatowa Rosa. Proszę odebrać bukiet.

Dobre sobie – odebrać. Rozłożyłam ramiona i przejęłam róże. Bałam się ukłucia, ale niepotrzebnie – łodygi pozbawiono kolców. Bukiet był ciężki. Z płatkami ocierającymi się o policzki przeszłam do jadalni. Położyłam kwiaty na stole i wróciłam do przedpokoju.

– Proszę pokwitować. – Młody chłopak w zielonej koszuli z wyhaftowaną różową nicią nazwą firmy na kieszonce podsunął w moją stronę tablet z rysikiem. Nagryzmołam „K. Majewska”

i oddałam mu urządzenie.

– Od kogo te kwiaty? – zapytałam. Wciąż jeszcze byłam oszołomiona. Nie sądziłam, że Staszek zrobi mi taki numer – rano obdaruje bielutkimi, drobnymi stokrotkami, by potem, pod pozorem pożyczania cykliniarki, wybyć z domu, a wtedy odwiedzi mnie posłaniec z gigantycznym bukietem czerwonych róż – najoczywistszą deklaracją uczuć. Mimowolnie się uśmiechnęłam. Nie byłam łasa na takie niespodzianki, ale to jednak miłe, gdy facet obsypuje kobietę kwiatami.

– Słodka tajemnica naszego klienta – odparł chłopak. – Ale w środku jest liścik. Ten ktoś musi być w pani mocno zakochany.

Zaczerwieniłam się, dopasowując się kolorem policzków do róż. Zamknęłam drzwi i poszłam do jadalni.

Kwiaty zajmowały cały stół. W co ja je włożę?, zamyśliłam się. Czy w ogóle produkuje się tak duże wazony? Delikatnie rozchyliłam łądygi, by odnaleźć liścik. Był – w małej czerwonej kopercie, przywiązanej sznurkiem do łądyżki. Odwiązałam ją i wyjęłam tekturowy kartonik ze środka. Firmowy karteluszek poczty Rosa, a na nim napisane:

*Dziękuję, że mogliśmy się poznać. Decyzję szanuję, choć marzeń nie porzucam. M.*

Maciej.

Och. A więc to on. Zrobiło mi się troszkę smutno, że to nie Staszek. Bo przecież już sobie wyobraziłam, że to od mojego górala. Te malutkie bukiety od niego naprawdę mnie wzruszały, ale – nie ma się co oszukiwać – na której kobiecie gigantyczny bukiet czerwonych róż nie zrobiłby wrażenia? Wszędzie: w książkach, na pocztówkach, w reklamach – właśnie takie kwiaty się wykorzystuje.

Tak, Maciek był doskonale przygotowany na każdą sytuację i zawsze zachowywał się z klasą. Wczoraj też taki był. Tym razem się przygotowałam. Gdy tylko usiadłam do stolika, od razu wygłosiłam monolog, jak bardzo doceniam jego propozycję, jak bardzo go polubiłam, ale że jednak pójdę inną drogą. Pocałował



mnie w dłoń, powiedział, że rozumie i zachowa mnie w miłej pamięci. I że jeszcze zachowa numer mojego telefonu, bo przecież nigdy nie wiadomo, co nam los przyniesie. Bardzo to wszystko było ładne i mój rozum to doceniał, serce zaś pozostawało niewzruszone.

Westchnęłam. Kwiaty były piękne. Cudownie by wyglądały w porcelanowej ogromnej misie, stojącej na wąskim słupku pod oknem. Gdyby oczywiście mieszkanie było wysprzątane, a nie w środku remontu.

Rozejrzałam się bezradnie dokoła. W coś muszę włożyć te kwiaty. Mój wzrok padł na plastikowe wiaderko po zaprawie. Cóż, nie wyglądało zbyt elegancko. Postanowiłam wstawić plastik do metalowego wiadra na węgiel, które wypucowałam do sesji sprzedażowej mieszkania. O niebo lepiej.

Postawiłam kwiaty na stole w jadalni. Staszek będzie je musiał przestawiać na czas cyklinowania podłogi do salonu, podobnie zresztą jak stół.

No właśnie, Staszek...

Może nie będzie zazdrosny, ale przykro to już mu się na pewno zrobi. W końcu gigantyczne czerwone róże nie wyglądają na prezent od kobiety.

Znowu westchnęłam. Nie chciałam go ranić ani – to tym bardziej! – zniechęcać. Dźwignęłam wiaderko z kwiatami i przeniosłam je do spiżarni. Miały tu chłód i małe okienko. Maciejowi wysłałam krótki SMS:

*Dziękuję za piękne kwiaty. Klara Majewska.*

Zamknęłam drzwi i poszłam do apteki.

\* \* \*

– Bardzo się cieszę, naprawdę! – Pani Mirska aż mnie uścisnęła. – Szczerze powiem, choć to może mało dyplomatyczne, że sądziłam, iż pani wybierze tę drugą propozycję. I ja bym to zrozumiała, bo czym, dobry Boże, ja, skromna aptekarka, mogę konkurować z nowoczesną firmą.

– Klimatem. – Uśmiechnęłam się.

– Jeśli kto lubi takie klimaty, to pewnie tak. Ale – i tu popiełnię drugą skuchę – tak sobie gorączkowo myślałam, czym by tu jeszcze panią do nas nakłonić. I postanowiłam, że jeśli pani zadzwoni z odmową, to zaproponuję dodatkowo talon na obiady. Mamy taki zaprzyjaźniony bar, tu blisko, żadna Francja elegancja, ale gotują niezwykle smacznie, higienicznie i świeżo.

– Poziomka? – zapytałam.

– Była tam pani? – zdumiała się moja przyszła szefowa. – To bardzo lokalne miejsce, turyści tam nie zaglądają.

– Bywam tam regularnie. Bardzo mi odpowiada – i atmosfera, i jedzenie. Poleciała mi to miejsce pani, zaraz, jak to ona się nazywała... z pralni.

– Pani Florczyk pewnie.

– O, tak, właśnie tak!

– No to kolejne miłe zaskoczenie! Od wielu już lat znam Basię, właścicielkę Poziomki. Dawno temu opiekowała się naszą córką, kiedy ta była mała, a potem, kiedy Hania już podrosła, i dzieci Basi też, a sama Basia mogła iść do jakiejś etatowej pracy, to się okazało, że właściwie nigdzie jej nie chcą albo warunki proponują takie, że aż wstyd. „Pomyśl, Basiu, co ty najbardziej lubisz robić? W czym jesteś najlepsza?” – zapytałam, kiedy mi się żaliła. „Gotować” – odpowiedziała bez namysłu. No i zaczęła. Trochę gotowała u nas, trochę dla sąsiadów, którym ją poleciliśmy. Pocztą pantoflową się rozniosło, że jest taka gospodyni, co cuda robi w kuchni, tak że był czas, iż odmawiała przyjmowania zamówień. I wtedy właśnie się zwolnił ten lokalik, w którym teraz jest Poziomka.

– A co tam wcześniej było?

– Cukiernia. Przez wiele lat. Ale właściciel się zestarzał, nie było komu przejąć interesu, bo dzieci nie chciały iść w tym kierunku, a kiedy nagle pan Jan umarł na serce, to sprawa się rozwiązała.

Pani Mirska lekko posmutniała. Pewnie pomyślała o swojej wnuczce pragnącej malować i rzeźbić, zamiast wkładać biały

fartuch farmaceutki.

– No więc talon jest. Basia na pewno się ucieszy z kolejnej stałej klientki, choć na brak miłośników swojej kuchni nie może narzekać, a ja się cieszę, że jest pani u nas. Może byśmy to jakoś uczciły? Przed południem ruch zwykle mniejszy, mogę się na godzinkę wyrwać na kawę i ciastko. Dobrze?

– Ciastko zawsze – odparłam.

Intuicja mówiła mi, że dobrze wybrałam, serce było uradowane. I nawet rozum nie wyrażał żadnych wątpliwości.

\* \* \*

Pani Maria zaprosiła mnie, a jakżeby inaczej – do Noworolskiego.

– To kawiarnia mojego dzieciństwa, młodych lat, dojrzałości i, teraz, wieku poważnego. Całego mojego życia. Ulubiony lokal mojej mamusi. Ja już go poznałam w takiej nie najładniejszej aranżacji lat powojennych, ale rodzice opowiadali, jak pięknie tu było przed wojną. Gdy spadkobiercy odzyskali lokal, przywrócili mu wygląd z epoki. Teraz, co prawda, już nie ma tak, że codziennie o ustalonej porze spotyka się tu znajomych na kapucynie...

– Na czym, przepraszam? – Nie zrozumiałam.

– Ach, no tak, starsza pani zapomina, że pewne nazwy odchodzą w zapomnienie. Kawa ze spienionym mlekiem.

– Cappuccino?

– Tak. To od włoskiego *cappuccini*, czyli kaptur. Stąd też nazwa zakonu. A że kolor habitów – brązowoczekoladowy – kojarzył się z takim napojem, to i tak zaczęto na niego mówić. A u nas polska wersja, czyli kapucyn.

– Fascynujące, nie wiedziałam. Widzę, że nie tylko aptekarstwem się pani interesuje.

– Ach, nie tyle interesuję, ile po prostu mam już sporo lat, więc od dawna nasiąkam wiedzą. Ale fakt, zawsze mnie ciekawiło, skąd się biorą różne nazwy, zwłaszcza te dziwne, śmieszne, z pozoru zupełnie nieoczekiwane. Moim konikiem są na przykład nazwy

krakowskich kamienic.

Zastygłam z porcją torciku wiedeńskiego na widelczyku.

– Gdy byłam mała, to mnie bardzo intrygowały te określenia: Kamienica Pod Orłem, Pod Pszczólkami, Pod Jagnięciem, Pod Śpiewającą Żabą, Pod Trzema Lipami...

– Dom, w którym mieszkam, tak się nazywa. To znaczy my tak zawsze o nim mówiłyśmy. Prababcia Emila wymyśliła tę nazwę i tak już zostało, choć oficjalnie nigdzie nie ma takiego napisu, a zamiast ozdoby na frontonie przed budynkiem rosną trzy lipy.

– Poczekaj, dziecko, jeśli dobrze sobie przypominam z recept, to wy mieszkacie na Wiślniej, tak?

Kiwnęłam głową.

– Wcześniej była nazwa Pod Trzema Mojrami – wyjaśniłam. – I podobno Mojry też były. Prapradziadek kazał zrobić.

– Dziwne... – zastanowiła się pani Mirska. – Dawniej to oczywiście ozdabiano i nazywano kamienice po to, by je jakoś oznaczyć, bo przecież nie było numeracji. A określenia brano najczęściej z godła. Ale Mojry?... Nie pamiętam ich zupełnie, nawet gdy sięgnę pamięcią daleko wstecz.

– Zaraz po wojnie prababcia kazała odmalować fronton i potem już ich nie było.

– Zniszczyły się? – zdziwiła się pani Mirska.

– Chyba nie. O żadnych zniszczeniach kamienicy podczas wojny nie wiem. To też nie kwestia czasu, bo Jan Milewski postawił kamienicę w 1907 roku, więc dekoracje nie były stare.

– Bardzo ciekawe... Żadnych rodzinnych zdjęć nie macie?

Cóż. W naszej rodzinie było wiele braków. Zdjęcia były jednym z nich.

Pokręciłam głową.

– Szukałam informacji, ale nie znalazłam ani jednej wzmianki. Jestem po prostu ciekawa, dlaczego prapradziadek wybrał ten motyw. Trochę straszny w sumie. Na pewno się interesował mitologią, ale żeby aż tak? Tajemnicza sprawa.

– W każdej rodzinie są jakieś tajemnice, moje dziecko. Jedne

urocze, z dreszczykiem, na przykład romanse, a inne – brrr, jakieś rozboje, samobójstwa, morderstwa... Lepiej może, żeby nigdy nie ujrzały światła dziennego.

Cóż, romans właściwie był, nieślubne dziecko też, czyli całkiem sporo jak na porządny mieszczański dom. Trupa w szafie jednak się nie spodziewałam.

Czas miał pokazać, jak bardzo się myliłam.

## Rozdział trzynasty



– No, to słyszę, że idziesz jak burza. – Jadzia krzątała się po kuchni. – Zrobiłam dziś racuchy, chcesz trochę?

Takie pytanie powinno być używane jako przykład w szkolnym słowniku terminów literackich przy haśle „pytanie retoryczne”. Odpowiedź mogła być tylko jedna – oczywiście, że chciałam.

– No... – zaczęłam ostrożnie, ale skarcona wzrokiem Jadzi, który nakazywał więcej wiary w siebie, szybko dodałam: – Układa się bardzo obiecująco.

– Ja myślę! Kiedy cię poznałam kilka tygodni temu, byłaś jak, no nie gniewaj się, ale ja zawsze jestem szczerą, kupka nieszczęścia. Zgnębiona, zgarbiona, bez uśmiechu, z wielkim znakiem zapytania w oczach. Nic, tylko cię przytulić, a potem popchnąć i huknąć, żebyś nie dawała się tak wiatrowi nosić, gdzie wieje, ale pewnie stanęła na nogach i szła tam, dokąd chcesz. No i idziesz, serduszko ty moje!

– Tak. – Uśmiechnęłam się z zadowoleniem, gryząc kolejny kawałek racucha. Wyśmienite jedzenie natychmiast wprawia człowieka w dobry nastrój.

Jadzia miała rację. Wszystko mi ostatnio sprzyjało. Przed wszystkim ja sobie sprzyjałam. Wciąż jednak była pewna niewiadoma, ta najważniejsza...

– To kiedy zaczynasz pracę?

– Do ustalenia. Na pewno już po wakacjach. Może od września, choć na wypowiedzeniu jestem do października. Pani Maria delikatnie mi zasugerowała, że byłaby wdzięczna, bo jedna z pracownic ma pod koniec sierpnia operację i właśnie we wrześniu będzie na zwolnieniu. W sumie to mogę, czemu nie. Przecież i tak mam tyle wolnego, że hej. No i pieniądze by się przydały, bo oszczędności się kurczą.

– Ale remont pięknie pruje do przodu. Świetnie się spisuje ten twój Staszek.

– No, z tym „mój” to ja tak do końca nie wiem... – Zawiesiłam głos.

Jadzia przyglądała mi się, przechyliwszy głowę.

– A co jest na tym końcu? Co będzie dla ciebie potwierdzeniem, że jednak twój? – zapytała, bębniąc palcami o stół.

Nie byłam zbyt dobra w odczytywaniu pozawerbalnych sygnałów, ale ten ewidentnie oznaczał, że zaczyna się lekko irytować.

– Gdy się jakoś zadeklaruje. – Odchrząknęłam.

– Czyli co ma powiedzieć? „Klaro, będziesz ze mną chodzić?”

– Brrr, okropne, tak to w liceum albo w podstawówce nawet.

– No to co? Jakieś oświadczenie na piśmie złożyć? Zapytanie oficjalne wystosować? – Jadzia świdrowała mnie wzrokiem.

– No nie wiem, ale żeby jakoś tak wyraźniej... – Zagubiłam się. Rzeczywiście, gdy Jadzia tak dociskała, to te moje wątpliwości i sugestie nawet mnie zaczynały się wydawać głupie.

– Kwiaty ci kupuje?

– Kupuje.

– Całuje?

– Trochę. Znaczą pojedynczo.

– A, no tak. Czuję, że zaraz te całusy się hurtem posypią... No ale przyznaj, że gdyby z tego końca od razu zaczął, to też byś nie była zadowolona?

– No nie.

Chyba. Tym razem moja wątpliwość była uzasadniona. Przypomniałam sobie ten skurcz, nie tylko serca, na peronie, kiedy

wpadłam mu w ramiona. W mniej publicznym miejscu wcale bym się nie broniła, gdyby on...

– Życie z kobietami łatwe jednak nie jest. I to mówię ja, kobieta. A tak poważnie, to myślę, że niepotrzebnie znowu kombinujesz. Przecież widać, jak on na ciebie patrzy, jak o tobie mówi. Wtedy, kiedy mi tę elektrykę łątał, to aż mu się głos zmieniał i oczy błyszczały. Nie o wszystkim trzeba gadać, bo można sprawę zagadać. Pewne rzeczy po prostu się czuje i już. Na tym to właśnie polega – ludzie nie muszą wszystkiego nazywać, wyjaśniać, słowem gwarantować, jeśli nadają na tych samych falach, jeśli są pokrewnymi duszami, jeśli się w sobie zakochali. Tak jest i w przyjaźni, i w związku. Czuj, czuj, serduszko, to wystarczy.

\* \* \*

Więc czułam. Spotkanie z Jadzią natchnęło mnie nadzieją i optymizmem. W tej kobiecie było coś takiego, co kazało od razu jej wierzyć. Gdyby się urodziła w jakimś plemieniu, na pewno byłaby wyrocznią. Wszyscy by do niej przychodzili, a ona by w milczeniu wysłuchiwała ich historii, a potem krótko radziła, co mają zrobić. I oni by to robili. Wynikało to z tego, że Jadzia była wiarygodna – żyła tak, jak mówiła. Była w tym spójność i szczerść, tego nie sposób udawać.

To strasznie ważne, żeby mieć obok siebie takich ludzi, których towarzystwo dobrze nam robi. Co to znaczy? No właśnie, tu też nie potrzeba wielu słów, to również się czuje – wewnętrzny spokój, ciepło na sercu, ukojenie. Ciało mówi nam bardzo dużo, jeśli tylko nauczymy się go słuchać. Ja byłam właśnie w trakcie tej nauki, a ponieważ zawsze stanowiłam wzór pilnej uczennicy, to postanowiłam się mocno przyłożyć.

\* \* \*

Poszłam do swojego mieszkania. Tym razem nie zadzwoniłam do



drzwi, tylko po prostu nacisnęłam klamkę. Najpierw zobaczyłam jasność – tak świetliście wyglądał odnowiony parkiet w jadalni. Potem poczułam ciepło-drzewny, żywiczny zapach, aż zakręciło mi się w głowie. Nie do wiary, że to te same deszczułki, które rano jeszcze miały ziemisty kolor. Pod skorupą złożoną z wielu warstw past, setek przeszuranych kroków i dziesiątek minionych lat kryło się piękne drewno.

Zanim weszłam do jadalni, ściągnęłam w przedpokoju tenisówki. Nie chciałam zostawić odcisków zakurzonych podeszew na tym cudzie.

Przeszłam dalej, do salonu. Tu też prace były na ukończeniu. Staszek, w słuchawkach na uszach, płynnie przesuwiał cykliniarkę w kącie pokoju. Ostatnie ciemnobrązowe plamy znikają z każdym ruchem jego rąk. Potem wyłączył maszynę, odstawił ją na bok i kucnął, żeby już ręcznie doczyścić pozostałości starych powłok. Powoli, niespiesznie, przejeżdżał papierem ściernym po deskach, co chwilę przecierając je flanelą, a później dłońmi sprawdzał gładkość powierzchni.

Patrzyłam na to z przyjemnością. Widać było, że robi to z zaangażowaniem, starannie, delikatnie. Nawet podczas takiej czynności wyglądał... Seksownie. Tak, właśnie tak.

Było w tym mężczyźnie coś takiego, co działało na mnie w sposób wręcz magnetyczny. Poza wszelkimi przemyśleniami – że miły, że uczynny, kulturalny i rzetelny, poza podszeptami serca – że jak chłopiec prababci Emilii – obudziły się we mnie emocje, którymi zupełnie nie potrafiłam sterować, które wymykały się spod mojej kontroli.

Zakochanie, pożądanie, zauroczenie – to stan, na który nie mamy wpływu. Ewolucja tak nas urządziła, że chociaż jesteśmy istotami rozumnymi i w relacjach społecznych kierujemy się normami oraz kulturą, to żeby przetrwać jako gatunek, musimy porzucić konwenanse i formy i dać się ponieść emocjom.

Och, jak bardzo chciałam być przez nie teraz poniesiona!...

– Jesteś już. – Z rozmarzenia wyrwał mnie głos Staszka.

– Tak, po prostu się zamyśliłam.

„Nie, z myśleniem to twój stan niewiele ma wspólnego” – westchnął rozum.

– Ja już właściwie skończyłem. – Staszek rozejrzał się dokoła. – I wydaje mi się, że wyszło całkiem nieźle.

„Całkiem”. Tak, Staszek był ulepiony z tej samej gliny co ja.

– Świetnie wyszło! – zapewniłam go gorąco. – Jestem absolutnie zachwycona.

– To tylko etap pośredni. Po ostatecznym odpyleniu trzeba będzie jakoś te deski zabezpieczyć. Nie ustaliliśmy jeszcze, czy chcesz je polakierować, czy zaolejować. Lakier jest trwalszy, po dwukrotnym malowaniu masz spokój na kilka, nawet kilkanaście lat. Olejowanie trzeba częściej powtarzać, ale drewno wygląda wtedy naturalniej. Słoje są ładnie podkreślone, parkiet przyjemniejszy w dotyku, jeśli się lubi chodzić boso... – Spojrzał na moje gołe stopy.

– Właściwie to nie wiem, czy lubię chodzić boso po olejowanym parkiecie, bo nigdy tego nie robiłam. – Uśmiechnęłam się. – W Warszawie mamy na podłodze panele. Podobno drewniane, ale wyglądają jak z plastiku.

– Naturalne drewno to najcudowniejszy materiał pod słońcem. Wychowałem się w drewnianym domu. Pierwsze, co pamiętam, to skrzypienie starych desek. Słoje na belkach ściennych. Małe deszczułki, z których był ułożony dach. Drewnianą ławę przed domem, zrobioną z przepołowionego potężnego bala. Zapach surowego drewna, dopiero co okorowanego. Równo poukładane deski suszące się w tartaku. No i oczywiście zapach natury – sosnową żywicę, kłujące zielone igły, młodniaki na polanie. Do drewna podchodzę z szacunkiem. Biorę, co natura daje, ale żeby z pożytkiem to wykorzystać, nie marnować. Zobacz. – Przyklęknął na podłodze, a ja kucnęłam obok niego. – Na każdej z tych małych deseczek jest zapisana historia drzewa, z którego je zrobiono. Każdy sęk, słoje, załamania linii. – Przejechał dłonią po gładkiej bieli drewna, dotykając małego palca mojej dłoni.

Poczułam dreszcz rozchodzący się po całym ciele. Podłoga była jeszcze ciepła od cyklinowania, jasna, czysta, gładka. Staszek przykrył moją dłoń swoją. Czułam, że serce zaczyna mi bić coraz mocniej, jakby chciało się wyrwać z piersi. Byłam podekscytowana, drżąca, a jednocześnie... dziwnie spokojna.

– Zamknij oczy – poprosił cicho Staszek.

Zamknęłam. Całkowicie mu ufałam.

– Wyobraź sobie, że jesteś teraz w lesie, na zalanej słońcem polanie.

Przez okno wpadało do salonu popołudniowe słońce, ogrzewając nasze plecy. Pod moimi powiekami było to słońce częściowo górujące nad wierzchołkami świerków, łagodnie przebijające się między ich gałęziami na polanę.

– A to... – Staszek delikatnie musnął drugą dłońią mój policzek.

– To jest źdźbło trawy, które, popychane wiatrem, dotknęło mojej twarzy – dopowiedziałam.

– A teraz tych traw jest więcej, bo jest ci tak dobrze, że chcesz się położyć i poczuć ich dotyk, zapach, fakturę.

Chciałam się położyć. Chciałam poczuć dotyk. Chciałam poczuć zapach. Bardzo chciałam. Ułożyłam się na plecach, wciąż z zamkniętymi oczami. Teraz słońce świeciło mi prosto w twarz, a żywica pachniała obłędnie. Staszek znowu pogłaskał mnie po policzku, a potem delikatnie i niespiesznie przesunął dłoń w kierunku szyi.

– Lubisz, kiedy wieje lekki wiatr i kołysze trawami. A one cię muskają, raz z jednej strony, raz z drugiej. – Jego dłoń płynnie się przesuwała w kierunku moich obojczyków.

– Lubię – wyszeptałam.

– A co jeszcze lubisz? – zapytał miękko Staszek, kładąc się obok mnie.

– Lubię poziomki. Błyszczące czerwienią w słońcu, pachnące do niemożliwości. – Przekreśliłam się na bok, szukając twarzy Staszka. Oczy miałam wciąż zamknięte, a pod powiekami obraz polany. – I jeszcze lubię maliny. Takie sierpniowe, kiedy lato już wysyciło

przyrodę dojrzałością. Ciemne, nabrzmiące, że gdy tylko ich dotknąć – przejechałam drżącymi palcami po jego wargach – to od razu odchodzą od szypułki, a w ustach rozpadają się na malutkie kuleczki słodczy.

I w tym momencie się pocałowaliśmy. Polana zawirowała: błękit nieba zlewał się z zielenią traw, drzewa się kołysały w rytm naszych ciał, jego usta smakowały latem, a jego dłonie prowadziły mnie do miejsca, w którym jeszcze nigdy nie byłam.

## Rozdział czternasty



O tym, że seks jest przyjemny, wiedziałam od dawna, w końcu nie byłam niedoświadczoną nastolatką, ale...

Tak, przyjemność można stopniować. Pocałunek może być miły lub doprowadzać na skraj omdlenia. Czyjś dotyk może sprawiać przyjemność lub wyrzucać na inną orbitę. Seks może być krótkotrwałą przyjemnością lub obezwładniającym na długie godziny przeżyciem. Może być doznaniem czysto fizycznym albo absolutną pełnią, obejmującą nie tylko ciało, lecz także serce.

W przypadku Staszka prawdziwe były te drugie warianty. I to już za pierwszym razem.

Kiedy się obudziłam nad ranem, pomyślałam, że wyśniłam sobie tę polanę, palące słońce, kołyszące się trawy, soczyste maliny i nieziemskie szczęście. Ale kiedy odwróciłam głowę, zobaczyłam jego. Mojego Staszka.

Czułość i zapalczywość, jakie przydarzyły nam się wczoraj, połączyły mnie z tym mężczyzną niezwykle mocno. Intymność, którą się wczoraj dzieliliśmy, była dla mnie niezwykle doznaniem. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżyłam. Owszem, z Pawłem było dobrze, po prostu okej. Dopiero jednak ze Staszkiem doznałam prawdziwej jedności – ja dawałam, on brał, on dawał, ja brałam. Ciała były zgodne, serca były zgodne.

A ja byłam niebiańsko szczęśliwa.

\* \* \*

Kiedy ponownie się obudziłam, dochodziła siódma. Spojrzałam w bok. Leżałam sama, ale pled, na którym spaliśmy, po jego stronie był jeszcze ciepły. Z czułością przesunęłam dłonią po materiale. Znowu wróciły do mnie obrazy z wczoraj, aż się lekko zarumieniałam. Podniosłam się. Serce było w euforii, ale ciało miałam zeszywniałe. Podłoga prezentowała się pięknie, jako materac sprawdzała się jednak słabo.

Założyłam flanelową koszulę Staszka, która sięgała mi do połowy uda, więc mogła udawać szlafrok. Czułam się jak bohaterki tych wszystkich filmów romantycznych, które po pierwszej nocy z mężczyzną chodzą w ich przydużych ciuchach. Taki manifest: to mój facet. Oddał mi nawet swoją koszulę (może nie ostatnią, ale jednak). No i te aktorki zawsze się wtedy ładnie prezentują – gładkie, gibkie, ponętnie rozchełstane. Tego ranka ja też się tak czułam. Wczoraj w nocy dostałam od Staszka taką porcję uwielbienia, że nawet Sharon Stone w *Nagim instynkcie* wydawała mi się jakaś mdła i nijaka. To ja byłam pożądana. To ja byłam boginią seksu – taką siebie widziałam w jego oczach.

Przeszłam do jadalni. Okienko od łazienki, widoczne od strony kuchni, było rozświetlone, a z pomieszczenia dobiegały pluski i... nucenie. Staszek musiał być w równie wyśmienitym nastroju. Uśmiechnęłam się i wróciłam do salonu. Podeszłam do okna. Zieleń lip współgrała z nadzieją w moim sercu. Czułam, że wreszcie moje życie nabiera rumieńców, że jestem we właściwym miejscu i z właściwym mężczyzną.

Byłam pełna zapału i nadziei. Gdy tylko Staszek wyjdzie z łazienki, poproszę go, żeby wyskoczył do tej małej piekarni. Ja przygotuję kawę. Razem zjemy śniadanie, ustalimy plan dnia, ja pewnie odwiedzę babcię, zadzwonię do mamy, bo od kilku dni nie rozmawiałyśmy, a jestem ciekawa, jak się jej pracuje nad tym przekładem, potem pójdziemy do Poziomki na obiad, a potem...

Och. Och! Och!!!

Stałam przed oknem. Przez uchylone skrzydło wpadały podmuchy wiatru, owiewając moją rozpaloną twarz, po której błąkał się rozmarzony uśmiech. Nagle delikatne pukanie przywróciło mnie do rzeczywistości. Odwróciłam się, myśląc, że to może Staszek w ten sposób dał mi znać, że już wyszedł z łazienki. Poszłam do jadalni. Światło w lufciku wciąż się świeciło. Może to gdzieś na zewnątrz? A może po prostu się przesłyszałam? Ale chyba nie – tym razem odgłos był mniej subtelny – choć przygłuszony, to ciężki. Taki dźwięk wydawały drzwi na klatce, jeśli się ich nie przytrzymało, zamykając. Nie spodziewałam się gości, zresztą gdyby ktoś chciał mnie odwiedzić, to najpierw by zadzwonił domofonem, a nawet jeśli jakiś lokator by go wpuścił do pierwszej klatki, to potem gość użyłby zamontowanego przy drzwiach dzwonka, który miał moc budzenia umarłych. Mimo wszystko postanowiłam sprawdzić, co się dzieje za drzwiami. Otworzyłam je i na wycieracze zobaczyłam sporą papierową torbę z uszami przewiązаныmi czerwoną wstążką. Kolejna przesyłka od Macieja? Nie porzucił marzeń i tym razem prezentuje mi fikuśną bieliznę? Zaintrygowana zajrzałam do środka. Zawartość torby była zdecydowanie bardziej przyziemna, choć bardzo odpowiadała moim obecnym potrzebom: pachnące bułki, mały karton mleka, masło i słoik, chyba z dżemem. Zabrałam torbę z korytarza i postawiłam ją na stole w jadalni. Wyjęłam słoik. Miał naklejoną etykietę i napis „Truskawka 2018”. Wyglądało na konfitury, na pewno nie sklepowe. Wyciągnęłam pozostałe produkty i na dnie torby zobaczyłam kartkę. Od razu rozpoznałam znajome koniczyny. A więc to prezent od Jadzi. Wzruszający.

*Widziałam rano samochód miłego pana Staszka. Skoro tak wcześnie zaczyna pracę, to na pewno potrzebuje dużo sił. Smacznego, kochani!*

Jadzia już wiedziała. „No po prostu wróżka” – wzruszyło się serce. „Albo czujna sąsiadka” – odpowiedział zgryźliwie rozum. A niech, byłam tak szczęśliwa, że mogłabym otworzyć okno na oścież

i wykrzyczeć całemu Krakowowi: „Zakochałam się!  
Z wzajemnością!”.

\* \* \*

– Poradzisz sobie sama? Mogę z tobą pojechać – zaproponował Staszek, wycierając ostatni talerzyk po naszym śniadaniu. Bardzo dobrze go mama wychowała – kiedy skończyliśmy jeść, sprzątnął ze stołu, umył naczynia, a teraz wkładał je do kredensu. Początki naszej bliższej znajomości wyglądały niezwykle obiecująco. Staszek był troskliwy, opiekuńczy i zaradny. W różnych sytuacjach zachowywał się odpowiednio – gdy trzeba było, zakasywał rękawy, kiedy sytuacja była bardziej romantyczna, był bardzo romantyczny, a gdy napięcie rosło – podążał tym rytmem.

Wodziłam za nim rozanielonym wzrokiem. Wszystko mi w tym facecie odpowiadało. To, w jaki sposób smaruje pieczywo i trzyma kubek. Że najpierw mnie nalewa soku. Że po sobie sprząta. Że ma taki cudowny uśmiech i pogodne spojrzenie. Włosy miał trochę za długie, a po myciu niesforne kosmyki opadały mu na czoło. Co jakiś czas nieporadnie je odgarniał i ta nieporadność też mnie wzruszała. Bo Staszek nie był facetem idealnym – miał białe zęby, ale nie stały one w równym szeregu; kiedy mówił, co jakiś czas przymrużał oczy, choć słońce go wcale nie raziło, drugie palce u stóp miał dłuższe niż paluchy, przez co śmiesznie wyglądały, lekko podwinięte, jak skorupki ślimaków. Machinalnie pocierał dłońią o dłoń. Mówił z lekko wyczuwalną gwarowością. Mocno naciskał klamkę, gdy zamykał drzwi. To były zachowania, nawyki, cechy, które ktoś inny mógłby uznać za wadę, defekt. Mnie nic w Staszku nie uwierało, akceptowałam go absolutnie i w całości. Przypomniało mi się, jak Paweł trzymał długopis, gdy pisał – ścisnął go tak, że nienaturalnie wyginał palce, przez co wyglądały jak zagięte szpony jakiegoś drapieżcy. Albo jak wydmuchiwał nos i zawsze potem tak dziwnie odchrząkiwał. Za każdym razem leciutko się wtedy spinałam, a te nieistotne w gruncie rzeczy sprawy urastały do rangi nie wiadomo



jakiego problemu. Pawła z kolei irytowały niektóre moje zachowania. Na przykład to, jak wieszalałam pranie, bo według jego systemu skarpety powinno się segregować już na suszarce, co ułatwi pracę przy składaniu. Dla mnie to nie miało żadnego znaczenia, po prostu nie zwracałam na to uwagi.

Takie drobiazgi potrafią uprzykrzyć życie, bo pielęgnowane wobec nich urazy puchną do gigantycznego problemu. Przychodzi czas, że nie ma już nic innego, nic się nie liczy, tylko te cholerne niesparowane skarpety. Tyle że, co zrozumiałam całkiem niedawno, przecież zupełnie nie chodzi o źle powieszzone pranie albo niewłaściwie odstawianą filiżankę. Tak naprawdę rzecz w tym, że nie jesteśmy przekonani do bycia z tą drugą osobą, że czujemy, że to nie jest to. Z jakiegoś jednak powodu tkwimy w związku, a zamiast nazwać rzeczy po imieniu, wynajdujemy sobie właśnie takie drobiazgi i za ich pomocą wyładowujemy swoją frustrację.

W przypadku Staszka nie chciałam zmienić niczego.

– Nie, na pewno, poradzę sobie. Skoro ty możesz przez ten czas wyczyścić listwy i uzupełnić braki w parkiecie, to szkoda marnować czas. Fajnie by było szybko skończyć ten remont i zacząć normalne życie. – Uśmiechnęłam się i dotknęłam jego dłoni.

Wieczorem chciałam porozmawiać z nim na temat przyszłości. Tej bliższej i tej dalszej. Bliższej, bo nagle sprawa rozliczenia za pracę zaczęła wyglądać inaczej – Staszek był już nie tylko majstrem na placu remontu, lecz także moim chłopakiem. Dalszej, bo przecież mógłby się wprowadzić do mnie, zamiast tracić pieniądze na wynajem, zwłaszcza że noce pewnie i tak będziemy spędzać razem...

– Świetnie – powiedział i nachylił się, by mnie pocałować. W usta, i to wcale nie raz. A kiedy skończyliśmy, dodał: – Teraz wpadnę na chwilę do siebie, po ciuchy na zmianę, bo nie byłem przygotowany... – Mrugnął.

– A może przy okazji kawałek mnie podrzucisz? – zaproponowałam.

Moglibyśmy podczas jazdy przegadać sprawę tego wynajmu,

pomyślałam.

Staszek lekko się speszył, choć przecież w moim pytaniu nie było niczego zdożnego.

– Mogę cię po prostu zawieźć do marketu, bo żeby zabrać rzeczy, nie potrzebuję auta. Mieszkam bardzo blisko.

Teraz to ja się zdziwiłam.

– Wynajmujesz mieszkanie w okolicy?

To by tłumaczyło punktualność. I jego obecność, kiedy Maciek mnie odprowadzał po kolacji.

– Troszkę dalej, kilka domów. Właściwie nie tyle wynajmuję, ile korzystam z gościny Tomka.

– Tomek mieszka na Wiślniej? Wydawało mi się, że mówił coś o Zwierzyńcu. – W zasadzie to byłam pewna. Co jak co, ale pamięć miałam dobrą.

– Bo Tomek i Bartek mieszkają na Zwierzyńcu. Ja się zatrzymałem w Stelli. Na zapleczu jest pokój gospodarczo-gościenny i prysznic.

A więc to tak! Staszek po prostu waletuje w agencji. Zrobiło mi się go żal. Musiał być naprawdę pod ścianą, skoro się zdecydował na takie rozwiązanie. A ja umówiłam się z nim na zapłatę pod koniec miesiąca, dając mu jakąś marną zaliczkę.

– Nie narzekam – powiedział, widząc moją minę. – Tomek oczywiście mówił, żebym się u nich zatrzymał, ale to kawał drogi, straciłbym dużo czasu na dojazd. Tu jest blisko i poręcznie.

Postanowiłam zaproponować mu wspólne mieszkanie. Po obiedzie pójdziemy na spacer i na spokojnie sobie porozmawiamy. Pocałowałam go i wwąchałam się w zapach jego włosów. Pachniały ziołowo – jak górską łąką.

\* \* \*

– A dlaczego tak dyszysz?

– Bo szłam do autobusu.

– No to kondycja kiepsciutka, skoro krótki spacer cię tak zmęczył.

Nie jesteś *fit, my darling*. – Dorota się roześmiała.

– E, nie jest źle, tylko mam ciężkie siatki – wyjaśniłam, uspokajając oddech. Rzeczywiście, zadyszałam się jak maratończyk, a pokonałam szybkim krokiem jakieś dwieście metrów z marketu na pętlę, bojąc się, że autobus ruszy. Gdy już ten remont się przewali, to trzeba się będzie za siebie wziąć. Takie malownicze te ścieżki na bulwarach, że w sumie aż głupio nie biegać. A przynajmniej szybkim krokiem maszerować.

– A co kupowałaś? – zainteresowała się Dorota.

– Olej.

– No to chyba nie taki ciężki? Nawet kilograma nie waży.

– Do parkietu. Trzy puchy po dwa i pół litra. Obiłam sobie uda, a plastikowe uszy siatki werznąły mi się w dłonie.

– No masz! A nie mówiłaś, że ta twoja złota rączka taka uczynna i jeździ z tobą na remontowe zakupy?

– Mówiłam. Bo jest bardzo uczynny. Poczekaj chwilę, skasuję bilet.

Co prawda, do odjazdu autobusu zostało jeszcze kilka minut, ale wolałam się już wygodnie usadowić i nie wstawać. Dorota miała tę właściwość, że kiedy tylko postanawiałam, że do niej zadzwonię – co zamierzałam zrobić właśnie z autobusu – to mnie uprzedzała i odzywała się pierwsza. Więc raz, że złapała mnie, gdy jeszcze nie uspokoiliłam oddechu, a dwa, że wciąż się biłam z myślami, co jej powiedzieć o Staszku. Czy już odkryć karty, czy jeszcze chwilę poczekać. Na razie Dorota była jedyną osobą, która nie wiedziała nic. To znaczy ode mnie się niczego nie dowiedziała, ale nasza ostatnia rozmowa musiała zasiać w niej ziarno wątpliwości co do relacji, która łączyła mnie z majstrem Staszkiem.

– No dobrze, już jestem, teraz możemy spokojnie pogadać.

– A powiedz mi, *sweetie*, dowiedziałaś się już czegoś więcej o tym swoim panu Staszku?

A jednak! Czyli całkiem nieźle znałam mamę – widać, to działa w obie strony.

– Pytam w kontekście tej książki, o której ci opowiadałam –

dodała Dorota.

Akurat!, pomyślałam, ale postanowiłam zachować to spostrzeżenie dla siebie.

– Właściwie, mamó, to o Staszku, nie o panu Staszku.

Zdecydowałam, że powiem mamie o wszystkim, ale dawkując informacje. W innym wypadku od razu zasypałaby mnie gradem pytań, no i poza tym moja przesądność nakazywała nie chwalić dnia przed zachodem słońca. Nie chciałam zapeszać. Przecież tak naprawdę byliśmy razem od wczoraj. Dziś wieczorem spokojnie sobie porozmawiamy, coś ustalimy i potem mogę już być z nią tak do końca szczerą.

– O! No dobrze, widzę, że zmierza to w stronę bardziej prywatną.

– Mama się ucieszyła, choć przecież nie znała Staszka. Zawsze jednak miała do mnie zaufanie. – Co prawda, w moim pokoleniu szybciej załatwialiśmy sprawę przełamania lodów, ale widzę, że jesteś na dobrej drodze. W tym tempie do Gwiazdki na pewno dojdzie do kolejnych, hm, zbliżeń.

– Zapewne tak, mamó – odpowiedziałam ugodowym tonem, jednocześnie myśląc sobie, że akurat tym razem niedaleko padło jabłko od jabłoni.

– Dobrze. I to nawet bardzo, bo ja się głębiej wczytałam w tę swoją książkę i myślę sobie, że przyda mi się pomoc historyka. Oczywiście, wszystko sprawdzam, ale brakuje mi merytorycznego wsparcia. To dobre wydawnictwo, ale zawsze, za każdym razem, gdy robiłam takie tłumaczenia, w konsultacji wychodziły jakieś kwiatki. W przyszłym tygodniu siadam już do przekładu i wtedy na bieżąco bym ci podsyłała pytania, jeśli się pojawiły, dobra?

– Jasne, mamó. Teraz to nawet nie wyciągałam laptopa, bo warunków nie ma, ale pod koniec przyszłego tygodnia remont powinien być na finiszu. Wprawdzie nie mam pomysłu i pieniędzy na kuchnię, więc pewnie zostanie, jak jest, ale najważniejsze, że już są kaloryfery.

– A piec zostawiłaś czy kazałaś rozebrać?

– Zostawiłam. Można go przerobić na taki z wkładem

elektrycznym. Będzie ciepło bez noszenia węgla czy drewna, czyli bez brudzenia, no i ekologicznie. Ale to już zupełnie na końcu.

– Słuchaj, a może ja ci jakoś pomogę? Mam trochę oszczędności...

– Nie trzeba, mamo, naprawdę.

Wzruszyłam się. Mama zachowała się tak samo jak babcia. Ale od niej również nie mogłam wziąć pieniędzy. Babcia miała skromną emeryturę, ale mama nie będzie mieć jej wcale, bo przecież całe życie przepracowała jako tłumaczka, bez etatu. Musi oszczędzać.

– Trzeba, nie trzeba. To przecież nie w tych kategoriach. Ja po prostu chcę, zwłaszcza że jesteś w Krakowie trochę z mojego powodu...

– Z powodu, że się na ciebie zezłościłam. Ale gdy mi przeszło, to już całkiem na spokojnie podjęłam tę decyzję. I wiesz co? Jestem z niej zadowolona. Naprawdę.

– Bardzo się cieszę, małpeczko. Że idziesz swoją ścieżką i tak dobrze sobie radzisz. – Głos mamy brzmiał jak wtedy, gdy spadłam z roweru na żwirową ścieżkę, gdzie leżała rozbita w drobny mak butelka. Mama pęsetą wyciągała mi z ciała kruszyny kamyczków i szkła i takim spokojnym, czułym tonem mówiła, że moje kolana wyglądają jak dwa durszlaki i to są najpiękniejsze i najdzielniejsze durszlaki na całym świecie.

– Och, mamo, dziękuję. – Wzruszyłam się.

Kocham cię, pomyślałam.

– Ja ciebie też, słoneczko – odpowiedziała.

## Rozdział piętnasty



– Jednak trzeba było cię zawieźć. – Staszek z czułością pogładził wnętrze mojej dłoni, na którym wciąż widać było odcisnięte od siatki czerwone pręgi.

– Daj spokój. Gdybym sobie z takimi zakupami nie poradziła, to jakim cudem bym miała sobie poradzić z trudniejszymi sprawami w życiu?... Zresztą zobacz, ile udało ci się w tym czasie zrobić – remont pędzi do przodu i bardzo mnie to cieszy. Wszystko mnie ostatnio cieszy. – Spojrzałam mu głęboko w oczy. Odwzajemnił to spojrzenie i choć było w nim widać żarliwość, to i jakby nutę niepewności. – To jak teraz wyglądają plany remontowe? Co w następnej kolejności? – zapytałam, wciąż mu się przyglądając.

– Olejowanie. Zaszpachlowałem ubytki, doczyściłem listwy i mógłbym się wziąć do zabezpieczania parkietu, ale trzeba to jakoś zaplanować, bo przez kilka dni mieszkanie nie będzie się nadawało do użytku. Olej intensywnie pachnie, no i podłoga musi wyschnąć.

– Przenocuję u babci.

– Tej, która uczyła historii w szkole? Też mieszka w Krakowie?

– Tak, w Nowej Hucie. Widzę, że jesteś uważnym słuchaczem. – Uśmiechnęłam się i odgryzłam kawałek placka z kruszonką.

Dzisiaj zaszaleliśmy w Poziomce: dwudaniowy obiad, a do tego deser i – tym razem wyjątkowo – kawa. Chyba oboje odczuwaliśmy deficyt snu po ostatniej nocy...

– Owszem. I bardzo mnie interesują sprawy, które dotyczą mojej dziewczyny.

„Mojej dziewczyny” – jak to ładnie brzmiało w jego ustach!

– A co byś jeszcze chciał wiedzieć o swojej dziewczynie? – zapytałam, z lubością wypowiadając te dwa ostatnie wyrazy. – Pewnie wszystko?...

– Wszystkiego nie, w końcu każdy z nas ma jakieś tajemnice.

Fakt. Ja na pewno miałam. Całą tę naszą historię rodzinną, która przecież przyczyniła się do tego, że teraz razem tu siedzieliśmy. Wiek bez obrączek. Niewykorzystana suknię ślubną, która została w szafie w Warszawie. Czułam, że ze Staszkiem mogę się podzielić tymi opowieściami, przecież związek trzeba budować na szczerości.

– Ale ja ci chętnie opowiem o swoich tajemnicach – szepnęłam mu do ucha. – Pytaj, o co chcesz.

Staszek patrzył na mnie tymi swoimi pięknymi brązowymi oczami, które wyglądały jak wypolerowany agat.

– O co chcę? – Przyglądał mi się.

– Tak. – Kiwnęłam głową.

– Czy nie żal ci trzymać tak pięknych róż w spiżarni?

Matko Boska, kompletnie zapomniałam o tych kwiatkach!

– Miałem wolną chwilę, więc postanowiłem wyregulować zawiasy i naoliwić wszystkie zamki. Ten w spiżarni także. Dlatego otworzyłem drzwi.

Wciąż na mnie patrzył. Czule, spokojnie, ale z nutą niepewności. To dlatego od początku popołudniowego spotkania zachowywał się tak, jakby go coś gryzło, choć starał się to ukryć.

– Stasiu, to pożegnalny bukiet. Od tego kolegi z Warszawy.

– Piękny – stwierdził.

– Okazały. Piękne są fiołki i stokrotki – zaprotestowałam. – A czy ty jesteś... – przełknęłam ślinę – zazdrosny?

– Nie – odpowiedział spokojnie. – Nie jestem. Bez zaufania nie ma związku.

Zawstydziłam się tego pytania.

– Jestem za to trochę skrepowany faktem, że nie stać mnie na

takie kwiaty. Widzisz, moja sytuacja jest teraz trudna. Życie rodzinne odbiło się na pracy i...

– Bardzo mi przykro z powodu twojej mamy. – Pogłaskałam go po policzku. – Rozumiem, że masz różne zawirowania, ale wszystko się ułoży, zobaczysz. Widzę, jak dużo potrafisz. I chcesz. Dasz sobie radę, a ja cię będę wspierać. Wiesz, niedawno ja też miałam trudne chwile, ale to już przeszłość. Zwłaszcza teraz, kiedy jesteś obok. We dwoje życie ma inny smak. – Podsunęłam mu na widelczyku kawałek placka.

– We dwoje – powtórzył za mną.

Wciąż jednak z nutą smutku.

Biedny Staszek. Nie chciałam go naciskać, ale czułam, że oprócz śmierci jego mamy w Witowie wydarzyło się coś jeszcze, co wciąż go dręczy. Przyjdzie czas, to mi o tym opowie. A ja jemu o sobie.

\* \* \*

Po obiedzie poszliśmy na spacer. Było już po szóstej, słońce się obniżyło, temperatura trochę spadła, dając wytchnienie po gorącym dniu. Wiosna była w tym roku wyjątkowo ciepła. Jeśli teraz są takie upały, to co nas czeka w lecie?

– O czym myślisz? – zapytał Staszek, biorąc mnie za rękę.

– O lecie. O wakacjach. O tym, co będzie. A ty?

– Ja się cieszę tym, co jest teraz. Że idziemy razem bulwarami i jest nam dobrze.

– Mnie też jest dobrze – zapewniłam go. – Te upały sprawiły, że zaczynam się zastanawiać nad tym, jak gorąco może być w lecie. A ostatnia wycieczka z babcią i Jadzią na Chełm obudziła we mnie zapomnianą miłość do gór.

– Widzę, że lubisz wszystko, co góralskie. – Uśmiechnął się.

– Kocham – poprawiłam go. – Tak sobie myślę... może pojechalibyśmy razem w góry na wakacje? Dobrze by nam zrobiło trochę odpoczynku. I ja bym chętnie Witów odwiedziła, nigdy tam nie byłam.



– Tak, oczywiście – odpowiedział Staszek szybko. – Ale najpierw remont. Nie lubię takich niezakończonych spraw – dodał.

– Jasne. A skoro rozmawiamy o remoncie, to chciałabym, oczywiście kiedy wszystko już będzie zrobione, zaproponować, żebyś...

– Zaraz o wszystkim porozmawiamy, ale teraz na chwilę cię opuszczę. – Staszek się uśmiechnął przepraszająco i wskazał ręką na stojący nieopodal szalet.

– Jasne. Poczekał na tej ławce przy drzewie. – Spojrzałam w kierunku Wisły.

\* \* \*

Usiadłam i od razu ogarnęło mnie nagłe rozleniwienie. Dużo zjadłam, mało spałam, organizm potrzebował odpoczynku. Przymknęłam oczy. Było mi dobrze i błogo. Wszystko tak ładnie zaczęło się układać, a mnie przepęłniała radość. Wreszcie!

– Moge panią pszeprosić?... – usłyszałam nagle i aż podskoczyłam.

Otworzyłam oczy, ale niewiele widziałam, bo mężczyzna, który przerwał mój półsen, stał przede mną, a nad nim wisiało oślepiające słońce. Na pewno był pod wpływem alkoholu, bo wyraźnie czułam ostry zapach wódki, nie wyglądał jednak na typowego menela, który zaczepia wszystkich o pieniądze. Miał na sobie garnitur – pomięty, ale nieznoszony i całkiem czysty. Mimo to poczułam się nieswojo. Rozejrzałam się – w pobliżu akurat nikogo nie było. Staszek też jeszcze nie wracał.

– Pani taktu samaaa? – zapytał.

– Nie, mój chłopak zaraz tu będzie – odparłam twardo. Nie chciałam wchodzić z nim w dyskusję. Chciałam, żeby mnie zostawił i sobie poszedł. Może był pijany, ale był też wysoki i solidnie zbudowany. Zdecydowanie nie czułam się dobrze w jego towarzystwie.

– No i dobsze... A ja jestem sam. I brakuje mi piątaka. Moszee

królowa by mnie poratowała, co?...

– Nie. – Stanowczo pokręciłam głową.

– Nie? Fszystkie takie jesteście, wiesz?...

Nachylił się nade mną. Teraz jeszcze mocniej poczułam zapach alkoholu. I zobaczyłam jego oczy. Ciemne, aż czarne. Pełne złości. Zaciśnięte usta oraz zaciśniętą pięść. Zaraz mnie uderzy, pomyślałam, trzęsąc się ze strachu. Widać było, jak rośnie w nim gniew, był jak napięta struna.

– Nie to nie – powiedział jednak.

I poszedł. Widziałam, jak się oddala chwiejnym krokiem w kierunku Wawelu. Okropne, co nałóg potrafi zrobić z ludźmi, pomyślałam. Kiedyś pewnie był całkiem zwyczajnym facetem. I tak się stoczył. Kilka razy wzięłam głęboki oddech, raz jeszcze spojrzałam na alejkę, upewniając się, że ten człowiek jest już spory kawałek od mojej ławki i nie zamierza wracać, i znowu przymknęłam oczy. Po chwili oddech mi się wyrównał, a tętno wróciło do normy.

Kiedy znowu otworzyłam oczy, zobaczyłam, że obok siedzi Staszek.

– Nie zauważyłam, kiedy wróciłeś – powiedziałam.

– Przed chwilą. Ale tak słodko przysypiałaś, że nie chciałem cię budzić. – Uśmiechnął się.

– Mam nadzieję, że nie chrapałam.

– Nie. Cichutko posapywałaś. Jak borsuk... Żartuję. Spałaś dostojnie, jak królowa.

Królowa. Od razu mi się przypomniał ten pijak.

– Coś nie tak powiedziałem? – Staszek przyjrzał mi się uważnie.

– Nie, czemu?... Tylko... Gdy byłeś w toalecie, podszedł do mnie jakiś pijany facet i chciał pięć złotych na wódkę. Przestraszyłam się. Nie znoszę pijaków.

Staszek pokiwał głową. Nic nie powiedział, tylko mocno ścisnął mnie za rękę.

Posiedzieliśmy jeszcze chwilę i w milczeniu poszliśmy moją zwyczajową trasą, czyli kółko do Jubilata, a potem Plantami

w kierunku Wiślniej.

– O, tu jest tapicer. I jakie ładne ma materiały. – Przystanąłam przed witryną zakładu, patrząc na finezyjnie ułożone kwadraty różnobarwnych tkanin tapicerskich. – Moim krzesłom przydałyby się nowe siedziska.

Staszek pokiwał głową.

– Tego akurat nie potrafię. – Uśmiechnął się. – Ale w czym mogę, to pomogę. Pomyślałem sobie na przykład, że, gdybyś chciała oczywiście, to mógłbym ci zrobić szafki do kuchni z drewna.

– Zajmujesz się stolarką? – zdziwiłam się. – Jesteś najbardziej niesamowitym historykiem, jakiego znam.

– A znasz jakichś innych? – Zaśmiał się.

– Fakt, nie znam – przyznałam.

– Teraz się zrobiła moda na nowoczesne kuchnie, błyszczące, z laminatów. Rzadko kto życzy sobie drewna.

– Uwielbiam drewno. Drzewa też.

Szliśmy Plantami. Słońce przebijało przez szerokie korony kasztanowców, tworząc na asfalcie ażurowy wzór. Pięknie to wyglądało, jak w kalejdoskopie.

– Ja też. – Staszek wziął mnie za rękę.

– Właśnie...

Skoro wróciliśmy do tematu remontu, to dobry moment, żeby porozmawiać o wspólnym mieszkaniu. Staszek jest taki dobry i uczynny, z czego korzystam, a gnieździ się kątem w Stelli. Jesteśmy razem, więc to przecież absurdalne. No i perspektywa tych nocy!...

– Wiesz, Stasiu, chciałam ci zaproponować, żebyś się wprowadził na Wiślną, to znaczy do mnie. Przecież... – Urwałam, bo na ławce w bocznej alejce zobaczyłam tego samego pijanego faceta, który mnie zaczepił na bulwarach. Siedział, a właściwie półleżał, ze zwieszonymi rękami. Usta miał otwarte, oczy zamknięte. Spał, ciężko posapując.

Zauważyłam, że Staszek także mu się przygląda.

– To ten facet – powiedziałam, wskazując ręką – który chciał ode

mnie pieniądze.

Staszek nic nie powiedział. Patrzył zimnym wzrokiem w kierunku ławki.

– Straszne, co? Przecież nie wygląda na menela – westchnęłam. – Wracając do... Staszek?

Odwróciłam się. Ja już zdążyłam odejść parę kroków, on wciąż jeszcze tkwił tam, gdzie przystanęliśmy, i przyglądał się temu człowiekowi.

– Staszek?

Obrócił się w moją stronę i szybko do mnie podszedł.

– Wódka jest okropna. Współczuję jego bliskim. – Pokiwałam głową. – Wracając do mieszkania...

– Klara, przepraszam cię, ale nagle bardzo rozbolała mnie głowa. To chyba z niewyspania. A może od tego rozpuszczalnika. Czuję, że muszę się położyć. Nie masz nic przeciwko, że cię tu pożegnam? – zapytał.

Stanęliśmy przed agencją. Spojrzałam na niego. W pierwszym momencie przeszył mnie chłód, bo pomyślałam, że za szybko się wyrwałam z tym mieszkaniem, że może on wcale nie chce, a ja się narzucam. Ale naprawdę zbladł. Przestraszyłam się.

– A to nic poważnego? Na pewno? Może choć chwilę zostanę z tobą? A może będzie lepiej, jeśli odpoczniesz u mnie?

– Nic mi nie będzie, obiecuję.

Pogłaskał mnie po policzku i przytulił do siebie, a potem poszedł. Patrzyłam, jak otwiera drzwi Stelli i znika w środku.

\* \* \*

Nie potrafiłam się pozbyć uczucia niepokoju. Widziałam, że źle się poczuł, bo zrobił się kredowobiały, ale czułam, że nie tylko jego ciało niedomagało. Coś go gryzło...

Szybko zasnąłam, w końcu ostatnia doba to był kołowrotek emocji i wydarzeń, ale noc nie przyniosła mi ukojenia i wypoczynku. Śniło mi się, że jestem w lesie. Najpierw na pięknej polanie, gdzie

znalazłam kępę poziomek. Idąc tropem kolejnych krzaczków, wchodziłam coraz głębiej i głębiej między drzewa. Początkowo ścieżka była szeroka i jasna, ale potem robiła się coraz mroczniejsza i węższa. Poziomki w takim miejscu?, zdziwiłam się. Podniosłam się i rozejrzałam dokoła. Ze zdziwieniem zauważyłam, że las nie był już zielony i pogodny. Otaczały mnie wysokie, chude drzewa o brzydkich, powyginanych pniach. Poszycie było wyschnięte. A mimo to dostrzegłam jeszcze jeden krzaczek z piękną poziomką. Schyliłam się po nią. Ugryzłam ją i wyplułam. Była okropnie kwaśna.

## Rozdział szesnasty



– Och, rany, po jednym łyku czuję się tak, jakbym wypić cały dzbanek. – Dreszcze wstrząsnęły mną od czubka głowy aż do pięt. Sięgnęłam po swoją filiżankę, by spłukać z języka gorycz Staszkowej kawy. – No, to rozumiem. – Uśmiechnęłam się błogo. To jest kawa.

– Powiedziałbym, że słodzony napój mleczny z niewielką domieszką kawy. – Staszek wziął swój kubek i upił kilka dużych łyków.

– Nie będę się spierać. U mnie w domu nie piło się kawy. Dorota, to znaczy mama, i bez kofeiny ma tyle energii, że mogłaby nią obdarować pół bloku. Uwielbia za to herbatę. Tak naprawdę kawę zaczęłam pić dopiero na studiach, i to raczej dla towarzystwa. W kawiarniach zawsze wybieram cappuccino lub latte, czyli rzeczywiście nawet nie kawę z mlekiem, a mleko z kawą.

– Ja lubię czarną. Bez dodatków.

Patrzyłam na Staszka. Ależ on miał ładną twarz! Mocno zaznaczone kości żuchwy, orli nos, obrysowane mocnymi kreskami brwi ciemne oczy – dziś trochę przygaszone i smutne.

– To może stąd ten czarny nastrój?... – zapytałam niepewnie.

Tej nocy nie spałam dobrze. Męczyły mnie dziwne sny, obudziłam się z bólem głowy. Dużo się ostatnio działo, a ja zawsze odreagowywałam takie nagromadzenie emocji. To, czego nie

przerobiła głowa (i dusza), ciało odchorowywało. No i martwiłam się Staszkiem. Chciałam jakoś zahaczyć o wczorajszy wieczór, upewnić się, że wszystko jest w porządku. Przecież zaczęliśmy tak dobrze! A potem miało być jeszcze lepiej – już sobie ułożyłam w głowie ciąg dalszych, przyjemnych wydarzeń. A teraz się dręczyłam – czy rzeczywiście Staszka dopadła wynikająca z trudnych rodzinnych spraw chandra, czy może ja się pospieszyłam i byłam zbyt zaborcza? O co w tym wszystkim chodziło?

– Czarne myśli każdemu się czasem zdarzają. – Popatrzył na mnie. – Przepraszam, że byłaś świadkiem takiej chwili.

– Ale ja chcę być świadkiem różnych chwil, które ci się przytrafiają. Wszystkich właściwie – powiedziałam cicho. – Po prostu się martwię.

– Nie martw się. – Wyciągnął ręce przez stół i ścisnął moje dłonie. – Dziś jest nowy dzień, a każdy nowy dzień to nowe rozdanie.

Uśmiechnęłam się, ale z poczuciem niedosytu. Chciałam, żeby Staszek powiedział mi coś więcej, wyrzucił z siebie to, co go męczy. Domyślałam się, że chodzi o mamę, w końcu od jej śmierci minęło zaledwie kilka tygodni. Ale było coś jeszcze, coś, co go bolało i czego źródło znajdowało się w Witowie. Zwykle jest tak, a przynajmniej tak być powinno, że dom to miejsce, w którym się leczy troski i smutki. Tymczasem z tego, co Staszek mi powiedział, i z własnych obserwacji wnioskowałam, że w rodzinne strony jeździ nie po otuchę, a... No właśnie, co się tam dzieje?

– To co na dziś wyciągnąłeś dla mnie z talii? A co dla siebie? – zapytałam, zamykając, przynajmniej na razie, temat jego rodzinnych kłopotów i tajemnic.

– Dla ciebie – królową. Masz dziś wolne. Dla mnie – waleta, czyli przez cały dzień giermkuję. Dziś prowadzę intensywne prace na zamku. Właśnie, czy po popołudniu mogę zacząć olejować parkiet? Pytałaś babcię o nocleg?

– Matko!

Zupełnie zapomniałam. Wczoraj jakoś mi wyleciało z głowy, bo

najpierw kropka, kropka, kropka, a potem ten spacer ze smutnym finałem. Dziś rano też zapomniałam zadzwonić. Nie wydaje mi się, żeby to był problem, choć – nagle przypomniałam sobie o panu Kazimierzu. I o tym, że zupełnie nieoczekiwanie, po siedemdziesiątce, babcia zaczęła mieć swoje życie. A jeśli zaprasza go do siebie? I on u niej nocuje? Kilka lat temu nie uwierzyłabym w taki rozwój wypadków. Raz, że po prostu przywykłam do tego, że babcia jest samotna, a dwa, że wydawało mi się, że starsi ludzie... Nie potrzebują być kochani? Nie chcą mieć miłego towarzystwa? Nie mają chęci, by ktoś ich przytulił, pocałował czy... No właśnie, przecież wiek nie sprawia, że człowiek staje się aseksualny. Ciało mniej jędrne, włosy srebrne, ruchy powolniejsze, ale serce, pominiawszy dolegliwości kardiologiczne, wciąż to samo. Kiedy rozmawiałam z Anką o babci, o panu Kazimierzu, o tym, co się dzieje w sanatoriach, to byłam zdziwiona i trochę się krzywiłam. „A ty myślisz, że dlaczego oni tak się pchają do tych sanatoriów? Bo tam wreszcie mają spokój od rodziny, która by zaraz zaczęła kwękać i stękać, że co to babci Marysi do głowy przyszło, jakieś amory, skoro zawsze była w domu, i Adasia odebrała, i rosół ugotowała. A teraz to nie wiadomo, co się z nią dzieje, i pomoc się nagle skończyła. A dziadek Zbynio to się powinien wstydzić – babcia Krysia się na pewno w grobie przewraca, gdy widzi, co on wyrabia, zupełnie jakby działka i gazety mu nie wystarczały. Traktujemy starszych ludzi tak, jakby nie mieli własnego życia. Najlepiej, żeby cichutko i grzeczniutko siedzieli w domach, czekając na ewentualny sygnał, by pomóc rodzinie, a potem nieabsorbująco umarli”. Miała rację. I dotyczyło to także babci Elżbiety.

– Zaraz zadzwonię i dam ci znać.

Wybrałam numer babci. Odebrała szybko, wzbudzając we mnie nadzieję, że w tej chwili nie jest zajęta. I przygarnie mnie na kilka dni.

– Cześć, babciu! Jak życie? – zapytałam.

– Wartko płynie – odparła babcia, ewidentnie w dobrym humorze, co jednak mogło znaczyć, że ma jakieś plany i niekoniecznie są one



związane ze mną.

– A powiedz, babciu, czy mogłabyś mnie u siebie przenocować przez kilka dni? Bo remont wchodzi w decydującą fazę, to znaczy Staszek będzie olejował podłogi, co z kolei oznacza, że na Wiślniej nie będzie można spać.

– No pewnie, jaki to problem?

Jakiś by się znalazł, pomyślałam, wdzięczna losowi, że ubiegłam pana Kazimierza.

– To ja bym się zjawiła u ciebie po południu, dobrze?

– Tak, Klaruniu. A ja też bym miała do ciebie prośbę, jeśli ci się udało, oczywiście.

– Jasne, co potrzebne, babciu?

– Żebyś sprawdziła rozkład autobusów do Olkusza na ten weekend.

A jednak!

– Pewnie, gdy będę, to poszukamy. Znajdziemy w internecie, żaden kłopot.

– No to doskonale. Ja się nie czuję zbyt pewnie w sieci, jestem jednak starej daty.

– Ale młoda duchem, babciu. – Chciałam dodać, że ciałem też, ale w obecnej sytuacji mogłoby to zabrzmieć dwuznacznie. Swoją drogą to ciekawe, czy babcia i pan Kazimierz... Rany, ależ u Majewskich zaczęło się ostatnio dziać! Jakby los rozsypał worek z dobrymi wróżbami!

Staszek zrobił próbę olejowania w kącie dużego salonu i uznał, że potrzebuje dodatkowego dużego wałka do rozprowadzania oleju, więc przejdzie się po niego do sklepu. Ja w tym czasie postanowiłam się spakować. Teoretycznie podłoga miała być gotowa do użytku za trzy dni, ale Staszek obiecał wpadać w ciągu dnia i sprawdzać tempo schnięcia. „Nowe życie parkietu uczcimy kolacją” – obiecałam. „Jestem za równouprawnieniem – odparł Staszek. – Zrobię śniadanie”.

Nie tylko u babci Elżbiety szykował się miły weekend.

\* \* \*

Pakowanie nie zajęło mi dużo czasu. Wrzuciłam do torby kosmetyczkę, sukienkę, spódnicę, dwa T-shirty, bluzę i książkę. O mało nie zapomniałabym ładowarki, a babcia miała jakiś przedpotopowy telefon z zupełnie innym wejściem. Kiedy byłyśmy na wycieczce, z zainteresowaniem oglądała zdjęcia, które zrobiłam na szlaku. Moja komórka wywarła na niej spore wrażenie. „Inna jakość – powiedziała, patrząc na swoją starą cegielkę. – Może ja też bym sobie sprawiła coś nowocześniejszego?”. Wtedy trochę ją przytłoczyłam ilością informacji o możliwościach, jakie daje nowoczesna technologia, ale połknęła bakcyła. Szczególnie zafascynował ją Facebook. „To jakby miliony pamiętników zebranych w jednym miejscu w internecie”. Właściwie, gdyby się zastanowić, to babcia miała rację. Podała mi kilkanaście nazwisk jej dawnych koleżanek ze szkoły i klika z nich odnalazłyśmy. W babci ewidentnie obudził się duch współzawodnictwa, bo też postanowiła założyć sobie konto. Obiecałam pomóc i wprowadzić ją w świat mediów społecznościowych. Przy okazji sprawdziłam, co tam u Pawła. Początkowo, kiedy mnie rzucił, powstrzymywałam się, żeby chronić swoje zdrowie psychiczne, bo ciekawa oczywiście byłam. Bałam się jednak, że mogę wsiąknąć w śledzenie go albo – co gorsze – napisać coś głupiego. Potem zobaczyłam to jego zdjęcie z nową panną, co mnie, rzecz jasna, zabolalo i zdenerwowało. A teraz tych zdjęć było zatrzęsienie. Ona na pierwszym planie, zawsze ten sam uśmiech napompowanych ust. To, co niżej – też eksponowane i chyba również pompowane, choć może push-upy załatwiały sprawę. Paweł w tle, rozanielony. Prawie każde ujęcie było takie samo – oni zajmowali dwie trzecie fotki, za nimi zaś majaczyły jakieś palmy, starożytne budowle lub turkusowa woda. Nieistotne zresztą, bo czy „rozbawiona w Kairze”, „kochana w Grecji”, czy „zmęczona w Rzymie”, najważniejsza była ona – Alicja. Jeszcze niedawno rozplakałabym się na ten widok, zastanawiając się, dlaczego Paweł dokonał takiej wymiany. Teraz

jednak było mi to absolutnie obojętne, a nawet więcej: cieszyłam się, że los mi zafundował takiego fikołka. Trochę się potłukłam, fakt, ale gdy już wstałam i otrzepałam kolana, nagle wszystko mi się w głowie inaczej poukładało. A myśl o nocy ze Staszkiem na Wiślniej wywołała dreszcze, których nie dostarczyłby mi żaden *all-inclusive* z Pawłem. No i fakt, że to wszystko się dzieje dlatego, że wreszcie się odważyłam żyć... Cudowne uczucie!

Dzwonek domofonu przerwał moje rozmyślania. Wrzuciłam do walizki koszulę nocną i poszłam nacisnąć przycisk. Staszкови się rzeczywiście robota w rękach paliła – w końcu do tego sklepu był kawałek, a on tak migusiem wte i wewte. Po chwili usłyszałam pukanie do drzwi. Chyba mu wracał humor, skoro robił takie podchody. Przecież mógłby sobie sam otworzyć. A może po drodze kupił kwiaty i chce mi zrobić niespodziankę?... Taki miły akcent na nowy dzień po trochę pochmurnym wczorajszym wieczorze.

– No dobra, już idę – powiedziałam do siebie i po cichu przeszłam do przedpokoju, po czym delikatnie, prawie bezgłośnie, nacisnęłam klamkę i gwałtownie otworzyłam drzwi, wołając: – A kuku!

Prosto w twarz jakiejś kobiecie.

Była mniej więcej w moim wieku. Ciemne, krótkie włosy, nietuzinkowo obcięte. Lniana jasna koszula, lniana kolorowa spódnica i duży płócienny worek przewieszony przez ramię. Ładna. Oryginalnie ubrana. I mocno zdziwiona.

Stałam jak wryta. Kto to był?

– Dzień dobry! – przywitała mnie mocno speszona.

Rzeczywiście, wejście miałam mocne.

– Dzień dobry – odpowiedziałam niepewnie. Nie spodziewałam się nikogo innego niż Staszek.

Stałam w progu mieszkania, patrząc na nią ciut podejrzliwie. Nie wyglądała na akwizytorkę, oszustkę ani nikogo, kto by przyszedł ze złymi zamiarami. Wręcz przeciwnie – było w niej coś łagodnego i pogodnego.

– Przepraszam, że tak bez uprzedzenia, ale właściwie nie miałam innego pomysłu, jak to zrobić. To znaczy mogłam, oczywiście,

wysłać list pocztą, tylko że nie byłam pewna, czy ten adres jeszcze jest aktualny. Zresztą od razu się pani przyznam: ja po prostu byłam bardzo ciekawa, jak ta historia się skończy – powiedziała, wyciągając z torby dużą białą kopertę.

– Przepraszam, ale ja chyba nic nie rozumiem. To zdaje się jakaś pomyłka... – Owszem, kobieta wzbudzała moją sympatię i chętnie bym jej pomogła, ale nie miałam pojęcia, o czym mówi. Najwyraźniej pomyliła adresy. – Ja tu mieszkam od niedawna, więc to na pewno nie do mnie – stwierdziłam, próbując jednak dojrzeć napis na kopercie. Jest coś takiego w listach, że człowieka intryguje ich zawartość. Nawet jeśli nie są do niego zaadresowane.

– Ach. Tego się właśnie obawiałam. – Na jej twarzy odmalował się zawód. – Mąż od razu tak powiedział: „Daj spokój, tyle lat minęło, ona też na pewno już nie żyje”. I właściwie przyznałam mu rację, to absolutnie logiczne, ale jednak ta sprawa nie dawała mi spokoju. Szkoda – westchnęła.

– A kto nie żyje? – Czułam, że zaczynam się wkręcać w tę przedziwną historię.

– Emilia. Emilia Majewska. Bo ona tu mieszkała, a przynajmniej tak by wynikało z tego, co było napisane na kopercie.

Rany! Poczułam, że oblewa mnie fala ciepła. Ciekawość, niepokój, zdziwienie. I gwałtowna chęć, by się dowiedzieć, co jest w środku koperty. Czy to dobre, czy złe wieści?...

– Mieszkała. Umarła na wiosnę tego roku.

– No to się spóźniłam o trzy miesiące. – Pokiwała głową. – A może wie pani coś o jakiejś rodzinie?... – Już zdjęła worek z ramienia, by na powrót włożyć do niego kopertę, gdy nagle zatrzymała rękę i spojrzała na mnie z nadzieją w oczach.

– Wiem. Jestem Klara Majewska, prawnuczka Emilii.

Teraz stałyśmy naprzeciwko siebie – zdumione i pełne wyczekiwania.

Postanowiłam zaufać intuicji – w końcu już trochę się do niej przekonałam. Skoro mi podpowiada, żeby zaprosić tę kobietę do środka i z nią porozmawiać, to jej ulegnę i nie będę trzymała tego

niespodziewanego gościa na klatce schodowej.

– Proszę, niech pani wejdzie. Co prawda, jestem w środku remontu... – Wykonałam zapraszający gest.

– To tak jak ja. To znaczy my z mężem. I właśnie stąd... – Wyciągnęła do mnie rękę z kopertą.

Koperta była nowa. Biała, A4, zwyczajna – najpopularniejszy wzór sprzedawany na poczcie. W środku jednak wyczułam drugą kopertę, mniejszą. Serce zaczęło mi szybciej bić. Ostatnie tygodnie obfitowały w różne niespodziewane wydarzenia, więc miałam już niejaką wprawę w odkrywaniu nowych faktów, ale to wcale nie znaczyło, że kolejną tajemniczą sprawę przywitam spokojnie. Czy tajemnice w ogóle mogą powszednieć?...

– Proszę, niech pani siądzie. – Odsunęłam krzesło przy małym stole w jadalni. – Dziś będziemy olejować podłogi, dlatego tak to wszystko wygląda. – Skinęłam głową w kierunku mebli zsuniętych w rogu pokoju. – Gdyby przyszła pani po południu, jutro lub pojutrze, to nikogo by pani nie zastała.

– U nas jest podobnie. – Uśmiechnęła się i usiadła. – Chyba po prostu miałam szczęście, że udało mi się panią zastać.

Ciekawe, czy to spotkanie i dla mnie okaże się szczęśliwe, pomyślałam, przyglądając się płaskiemu białemu pakunkowi leżącemu na środku stołu.

– Zrobię herbaty, dobrze? – Dbałam o to, by nie wypaść z roli dobrej gospodyni, ale właściwie odraczałam także moment sprawdzenia zawartości przesyłki. Jak zawsze to samo uczucie – i chciałabym, i się boję. Wlewanie wody do czajnika i szykowanie zastawy trochę mnie uspokoiły. Gdy po kilku minutach postawiłam na stole imbryk z naparem z zielonej herbaty z płatkami jaśminu, a potem przyniosłam dwie filiżanki i dwie łyżeczki, wewnętrzny dygot trochę zelżał. Trochę. Przeczuwałam, że poznam kolejne karty z życia Staszka Morlaczonka. Może jakieś informacje z jego wsi od rodziny? Może zagubiony, niedostarczony na czas list do babci Emilii? Zdjęcie może nawet jakieś? Dłonie znów mi zadrżały.

– Piękna porcelana – powiedziała kobieta, przyglądając się

kwiatowym wzorkom na filiżankach.

– Prababci. To znaczy właśnie Emilii. – Uśmiechnęłam się, przejeżdżając palcem po złoconym brzegu.

– O, przepraszam, bo z tego wszystkiego ja się nie przedstawiłam. Ewa Makowska. – Wyciągnęła do mnie dłoń.

Miała ciepły, dość mocny uścisk. Krótко obcięte paznokcie, żadnego lakieru, kilka zadrapań i wyczuwalne odciski na opuszkach. Chyba przejrzała moje myśli, bo dodała:

– Obecnie drugi majster na budowie. Prawie wszystko robimy z mężem sami, dlatego moje dłonie tak wyglądają. I dlatego przyniosłam to... – Spojrzała wymownie na kopertę. – Jakoś niezbornie to wszystko przedstawiłam, ale ja też jestem podekscytowana, choć to przecież mnie nie dotyczy. No to od początku opowiem. Kupiliśmy z Krzysiem, to znaczy z moim mężem, dom. Niedaleko Myślenic, w Stróży.

– Tej przy górze Chełm? – zapytałam. Pomyśleć, że byłam tam kilka dni temu.

– Tak – przytaknęła. – No więc kupiliśmy tam dom, bo pragnęliśmy mieć własny ogród i trochę prywatnej przestrzeni, a w Krakowie to oczywiście marzenie ściętej głowy. A że oboje mamy wolne zawody, bo mąż jest informatykiem, a ja mam pracownię krawiecką, to znaczy szyję z lnu...

To stąd te ładne ubrania, pomyślałam.

– ...no to mogliśmy rozszerzyć zakres poszukiwań o tereny położone dalej od Krakowa. Szukaliśmy, szukaliśmy i znaleźliśmy dom właśnie w Stróży. Urokliwie położony, na zboczu, blisko Raby. Cisza, bo kawałek od zakopianki. Spory ogród, trochę świerków, trochę drzew owocowych. Bardzo to wszystko urokliwie wyglądało, zwłaszcza że oglądaliśmy dom na jesieni – z tyłu żółto-czerwone dywany drzew, przed domem fiolet wrzosów, zapach igliwia, babie lato, no po prostu bajka. Sam dom także uroczy – piętrowy, drewniany, stary. Niebywale urokliwy.

Pokiwałam głową. Ja tak myślałam o mieszkaniu prababci Emilii.

– No, a potem przyszła zima... I wtedy urok zniknął, a zaczęła się walka o przetrwanie. – Roześmiała się. – Teraz to się śmieję, bo znowu jest ciepło, ale wtedy... Zamarzyły rury. Komin się zapchał i przez trzy dni cały dom był w sadzy. Wiatr się wdzierał przez nieszczelne okna. Kuna przegryzła kable w piwnicy. W Wigilię siedziałam przy stole w dwóch wełnianych swetrach i kamizelce, a termometr pokazywał czternaście stopni. No ale mąż się uparł, żeby zachować naturalny klimat i wszystko odnawiać. Więc żadnych plastikowych okien, paździerza i laminatów. I tak powoli, od dziesięciu miesięcy, każdego dnia skrobiemy, szlifujemy, odświeżamy. Zaczęliśmy od salonu, potem łazienka, kuchnia, sypialnia. Dom jest spory, ma sto dwadzieścia metrów. Właściwie wszystkie istotne pomieszczenia są na parterze. Góra to jeden duży pokój gościnny i drugi, mały, w którym był składzik rzeczy różnych. No i właśnie ten pokój jako ostatni opróżniliśmy i zaczęliśmy remontować. Gdy się wszystko wyniosło – a były tam i stare leżaki, i popsuta maszyna do szycia, i puste słoiki – to się okazało, że wcale nie taki mały ten pokoik. A pod ścianą, to znaczy pod skosem, nawet stało wąskie stare łóżko. I teraz wreszcie przechodzę do sedna. Otóż to łóżko było dosunięte do ściany, to znaczy do tego skosu. Ale przy samym oknie w tej ścianie nagle się robi ustęp, jakby wnęka, po prostu dodatkowy kawałek podłogi. Więc w tym miejscu między łóżkiem a skosem była wolna przestrzeń. To znaczy teoretycznie wolna, bo coś tam można było włożyć. No i właśnie coś włożono. – Spojrzała znacząco na kopertę.

Wzięłam kopertę do ręki. Przyszedł czas, by tajemnica ujrzała światło dzienne. Naderwałam zamknięcie. Klej dobrze trzymał, a mnie zabrakło cierpliwości, by powolutku próbować odlepić cienki pasek. Wzięłam ze stołu łyżeczkę i wsunęłam jej rączkę w zrobioną przeze mnie szczelinę, po czym przejechałam nią jak nożem do papieru, wzdłuż krawędzi. Koperta – i tajemnica – stały otworem.

Zajrzałam do środka. Była tam druga koperta, choć zupełnie inna. Zwyczajnych rozmiarów, to znaczy takich, w jakich się wysyła, a raczej wysyłało, bo kto teraz to jeszcze robi, kartki i listy.

Lekko poźółkła, z wyschniętym klejem na trójkątnej, zamykającej ją, klapce. Obejrzałam ją z obu stron – nic, żadnego adresata ani nadawcy. Podniosłam pytający wzrok na mojego gościa. Pani Ewa zrozumiała.

– W środku – powiedziała. – Jak matrioszki.

Rzeczywiście, zawartość tej koperty to była inna, minimalnie mniejsza koperta. Wyciągnęłam ją. Tym razem była napis:

*Emilia Majewska. Kraków, Wiślna 3 mieszkania 13. Do rąk własnych.*

Odwróciłam ją. Nadawcy nie było. Znaczka nie było. Żadnego znaku, że ten ktoś, kto wypisał imię i nazwisko prababci, próbował w tradycyjny – to znaczy za pośrednictwem poczty – sposób dostarczyć przesyłkę.

Ta koperta była zaklejona.

– Czy?... – Spojrzałam pytająco.

– Nie! – zaprzeczyła gwałtownie pani Ewa. – Nie odklejałam, nie czytałam, nie mam pojęcia, co jest w środku. Choć byłam bardzo ciekawa – dodała po chwili. – Kilka razy już prawie, prawie szykowałam się z nożem, żeby sprawdzić, co tam jest, ale potem zawsze patrzyłam na ten napis: „Do rąk własnych”, i po prostu nie mogłam...

Tak, też zwróciłam na to uwagę. Początek, znaczy imię i nazwisko, był bledszy, zupełnie jakby trzeba było rozpisać wkład; im dalej, tym kolor mocniejszy. Litery lekko koślawe, ale pisane mocno, tak że w kopercie porobiły się lekkie wgłębienia. Ręka, która prowadziła długopis, była kierowana emocjami, ale nie na tyle stanowcza, by dokleić znaczek i wrzucić list do skrzynki.

Siedziałam, trzymając w ręku tę kopertę. Bardzo chciałam poznać jej zawartość, ale bez świadków. Pani Ewa to wyczuła.

– No to moja misja zakończyła się sukcesem – powiedziała. – Dopijam herbatę i się żegnam.

Pokiwałam głową i się uśmiechnęłam. Moje myśli krążyły wokół tej tajemniczej korespondencji.

– Bardzo pani dziękuję.



Mój gość się podniósł, więc ja także wstałam. Przeszliśmy do przedpokoju.

– Cieszę się, że mogłam pomóc – powiedziała, trzymając już rękę na klamce. – Ja... no dobrze, powiem to, choć mąż by mnie zaraz zmytygował, że nie wypada i to nie moja sprawa. Ale mnie po prostu aż skręca w środku i bardzo bym chciała poznać tę historię. Choćby tak w ogólnym zarysie, jeśli to nie jakieś bardzo intymne sprawy. – Spojrzała na mnie pytająco. Oraz prosząco.

Rozumiałam ją. Też bym była bardzo ciekawa w takiej sytuacji. I, szczerze mówiąc, nie wiem, czy by mi starczyło siły woli, żeby nie przeczytać listu.

– Myślę, że to kolejny kawałek układanki pod tytułem „Wielka miłość mojej prababci”. – Uśmiechnęłam się. – Pewnie jakiś zagubiony list od ukochanego, który się odnalazł gdzieś w rodzinie po latach... Właśnie – ożywiłam się. – O to pani nie zapytałam: od kogo kupiliście ten dom?

Może to jakaś rodzina mojego pradziadka?, przyszło mi nagle do głowy. Skoro ten ktoś, kto zaadresował kopertę, był w posiadaniu takich dokumentów, to musiał mieć coś wspólnego ze Staszkiem! Już wcześniej próbowałam wyszukać informacje na jego temat, ale niczego w internecie nie znalazłam. Może to będzie nowy trop?

– Na akcie notarialnym są oczywiście nazwiska, ale sama historia mglista i również dotyczy już przeszłości. Dom kupiliśmy przez agencję, nie lokalną, a dużą, ogólnopolską. Sprzedaż zleciła pani, która mieszka w Stanach. Odziedziczyła ten dom po mamie, która nie żyje od ponad dziesięciu lat. Najpierw ktoś z okolicy, opłacany, doglądał dobytku, to znaczy przepalał w piecu, kosił trawę, ale potem ona stwierdziła, że to nie ma sensu, bo nikogo z rodziny już nie ma, ona też tu oczywiście nie zamieszka, bo wyemigrowała dawno temu, więc sprzedaje dom. Nie sama, a przez pełnomocnika. To wiem z opowieści agenta. Może gdyby pani poprosiła, udałoby się skontaktować z byłą właścicielką...

Może. Najpierw jednak musiałam się dowiedzieć, jaką tajemnicę kryje w sobie koperta. Wymieniłyśmy się z panią Ewą telefonami

i obiecałam, że opowiem jej tę historię, gdy sama już ją poznam – niech to będzie forma znaleźnego. I wynagrodzenie dla posłańca.

Wróciłam do salonu, nalałam sobie herbaty i usiadłam przy stole.

Łyzeczką otworzyłam zaklejoną kopertę.

No, pradziadku Staszku, jaką tajemnicę odkryję za tą górą?, pomyślałam, wyciągając gęsto zapisaną, pożółkłą kartkę.

Oczekiwałam jasnego promyka, rozświetlającego rodzinną tajemnicę, a spowiła mnie ciemność. Mroczny cień rzucony przez ostre skały.

## Rozdział siedemnasty



*Jak na najświętszej spowiedzi, tak powiedział mi ksiądz.*

*Boże miłosierny, tyle lat to w sobie nosiłam i tak mnie to wszystko bolało. I za mnie samą, i za panienkę Emilię. I nawet za tego chłopca, Staszek mu było.*

*Jak to możliwe, żeby tyle zła od jednego człowieka wyszło?...*

*Teraz mi lżej, bo wszystko już wyznałam Temu, co i tak prawdę znał. Ksiądz powiedział, że winy mojej żadnej nie ma, że już czas na spokój, a żebym go mogła zaznać, to muszę mojemu oprawcy przebaczyć.*

*Znam nakazy miłosierdzia, odpuszczania win i próbuję tak zrobić, choć to najtrudniejsze, na co mi przyszło. Tak samo trudne jak to, co wycierpiałam.*

*Ale on już nie żyje. Jego niech Pan Bóg osądzi, ja mu odpuszczam, za siebie mu odpuszczam.*

*Co będzie z tymi zapiskami, to się okaże. Może to tylko dla wytchnienia mojej duszy, a potem – niech los zdecyduje. Jeśli panienska Emilia ma poznać prawdę, to tak się stanie. Wszystko w rękach Opatrzności.*

*Teraz cała historia:*

*Przyjechałam do Krakowa dzięki ciotce Zofii. To ona mnie poleciła pani Majewskiej. Katarzyna Majewska – to była cudowna, dobra kobieta. Panienska Emilia – taka sama jak matka.*

*Od panienki byłam starsza trzy lata. Kiedy zamieszkałam na Wiślniej, ona już nie wymagała takiej troski jak małe dzieci, i nie do tego pani Majewska dziewczyny szukała. Nie niańka była potrzebna, a służąca. To było duże mieszkanie, cały parter kamienicy zajmowało. Ja kuchennymi drzwiami wchodziłam i w kuchni miałam swój kąt. Ciotka mówiła, że Pana Boga za nogi złapałam – tak mi się poszczęściło, że tam trafiłam. Ale w tym domu, choć był krzyż duży nad drzwiami, to nie wszyscy mieli Boga w sercu.*

*Jan Majewski to był diabeł, diabeł wcielony.*

*Z początku wszystko szło tak dobrze. Jak na wiosnę kiedyś do domu pojechałam, do mateczki do Rząski, to się nachwalić nie mogłam. Że mnie pani tak dobrze traktuje, że praca nie ponad siły, że czasem takie dobre słowo ma dla mnie, jak dla swojej córki. Bywało, że na targu, jak się z innymi służącymi widziałyśmy, to się różne rzeczy słyszało, różne niegodziwości bywały. Że pieniędzy nie dostawały, obowiązki ponad ludzkie możliwości, pani krzycząca, dzieci psotne. Mnie nigdy nic takiego nie spotkało. Los mnie za to inaczej doświadczył. Czy inne dziewczyny też podobnych krzywd doznały, to nie wiem. Znaczenia to już teraz nie ma.*

*Pierwszy raz to było w 1938 roku, jak pani z panienką pojechały do Poronina na lato. Pan był wtedy zły, wrócił z jakiegoś spotkania ze współnikiem zupełnie bez humoru. Nic wtedy nie było dobrze zrobione. Ani sprzątnięte, ani kolacja podana. Pan mi wtedy powiedział, że się do niczego nie nadaję, chyba że... Nie rozumiałam, o co chodzi, a jak pojęłam, to zaczęłam płakać, prosić, uciekać. Aż w końcu on się przecknął i odstąpił. Rano tylko powiedział, żeby mi się nie wydawało, że coś się stało, bo nic się nie stało. I że mam się starać.*

*Potem jakoś było. Staralam się, unikałam gniewu pana i jego samego też unikałam. No i pani wróciła razem z panienką. I tak rok przeminął, aż do kolejnych wakacji. Gdy pomagałam się paniom pakować, to ta scena w kuchni mi stanęła przed oczami i nagły strach mnie obleciał. Ale potem sama się uspokoiłam, że przecież*

*tyle czasu i to już się nie powtórzyło.*

*Teraz, jak się temu przyglądam, to myślę, że w domu się źle zaczęło dziać. Pani częściej bywała smutna, taka jakby zamyślona. Jak podawałam do kolacji, to rozmów nie słyszałam, było i tak, że pani szła wcześniej spać, bo ją głowa bolała, a pan jadł sam z panienką. Wydawało się, że to może jaki niepokój, bo czarne chmury się nad ojczyzną zbierały, to i ludzie częściej bywali smutni.*

*Szły wakacje, pani wreszcie znowu się cieszyła, panienka też się cieszyła, zwłaszcza że po powrocie miała się na nauczycielkę kształcić.*

*Wyjechały i wtedy się zaczęło moje piekło.*

*Zaraz, kilka dni później, pan wrócił do domu po proszonej kolacji. Usłyszałam, jak na dole drzwi odźwierny otwiera, i się poderwałam, żeby pan się nie domyślił, że już się położyłam, zamiast czekać.*

*Wszedł. Zadowolony był, herbaty kazał podać. Gdy przyniosłam do salonu, kazał usiąść przy stole, o matkę wypytał, o Rząskę. Powiedziałam, że ojciec odumarł, że tylko matka jest, a w domu jeszcze dwie młodsze siostry. „A ty masz szczęście, Róziu, że tak trafiłaś. Ulga w domu, że masz byt zapewniony. A gdybyś tak jeszcze czasem co przywiozła...” Staralam się, i co oszczędziłam, to oddawałam mateczce, choć niewiele tego było. Pan powiedział, że jak będzie zadowolony ze mnie, to i bardziej rodzinie dopomogę.*

*Jeszcze powypytywał, a kiedy zapytałam, czy już mogę pójść do siebie, to kazał mi na chwilę do sypialni państwa pójść, żeby poduszki poprawić. I on tam też poszedł.*

*Zrazu był miły, ale kiedy zrozumiałam, co ma się stać, to się rozplakałam, a w niego jakby co wstąpiło. Szarpał mnie, w twarz uderzył, nakazał być cicho.*

*Po wszystkim przykazał milczeć i powiedział, że nikt mi nie uwierzy, jego słowo przeciw mojemu, a mnie tylko z tego będzie wstyd i utrata pracy. A jak inaczej się będę zachowywać, to on to doceni, i rodzinie coś zawiozę.*

*Leżałam potem we wnęce kuchennej, łzy mi ciurkiem kapały, a ja*

*się modliłam, żeby Pan Bóg nie uznał w tym mojego grzechu i żeby to się więcej nie powtórzyło.*

*Rano nic nie powiedziałam, pan też.*

*A to się powtarzało, przez całe wakacje.*

*Potem pani razem z panienką wróciła i miałam nadzieję, że tego już więcej nie będzie. Że póki one są, to i ja jestem bezpieczna.*

*Wydawało się, że tak będzie, aż...*

*Powiedziałam panu, bo przecież i tak by się to okazało, a wtedy to już nie wiem, co by się stało. Chyba bym się z tym dzieciątkiem do Wisły rzuciła. Ze wstydu, z lęku i braku pieniędzy. Bo kto by mnie wtedy przygarnął? „Latawicę i z bachorem!”, tak mi wykrzyknął. Kazał pani powiedzieć, że o wyjazd do rodziny na kilka dni proszę, a miałam iść w umówione miejsce. Dał adres na kartce, wszystko było opłacone. Potem jakaś kobieta mnie zabrała do siebie, dała pokój, łóżko i przez trzy dni tam leżałam. Wróciłam na Wiślną, że niby jak z pobytu u rodziny. Pan mi jeszcze raz zagroził, że jak komukolwiek powiem, to życia więcej mieć nie będę w Krakowie.*

*A zaraz potem się to z panienką Emilią stało. Jak wróciły z Poronina, to ona była taka szczęśliwa, jak promyk słońca. I pani też. Pani to zwłaszcza lubiła wyjeżdżać, mnie się wydaje, że ona wtedy odpoczywała, bez pana, w spokoju.*

*Któregoś dnia na jesieni ten chłopiec zapukał do drzwi. I potem kilka nocy na ostatnim piętrze spędził, w tej służbówce. A potem go razem odprowadzili, jak zrozumiałam, to do wojska się potajemnie zaciągnął.*

*A potem z panienką zaczęło być tak jak ze mną. Szybko się zorientowałam. I tu też była awantura. Jak pan krzyczał, nawet panienkę w twarz uderzył!*

*Żał mi jej było, bo ona taka jak pani – z sercem do ludzi, do mnie też. Myślałam sobie, że ten chłopiec nie taki, jak pan. Że to co innego być musiało. I ja wiedziałam, że ona czeka na niego, żeby on dał jakiś znak życia, listu wypatrywała. I kiedyś przyszedł list, do panienki zaadresowany. Z tyłu było na pewno „Staszek” podpisane, dalej nie zapamiętałam. Dałam ten list panu, za panienkę taka*

szczęśliwa, że los dla niej łaskawy. I dla tego dziecka, co w sobie nosiła.

Pan otworzył przy mnie, a potem schował do kieszeni i nakazał mi milczeć, tak samo, jak wtedy, co... Powiedział, że gdyby to się powtórzyło, to jemu mam dać list i ani słowa nikomu, bo mnie wyrzuci bez grosza na ulicę.

Bałam się i milczałam, raz mi się nawet zdarzyło przy paniencie rozplakać.

Potem się Bietka urodziła. I jeszcze jeden list był. Panu znowu oddałam.

A jeszcze później się okazało, że ten chłopiec nie żyje. Tym razem list do pana ręk musiał trafić, niczego nie przekazywałam. Jak panienka rozpaczła, to serce bolało patrzeć.

Wojna się skończyła, a pani zachorowała.

Przed śmiercią była jak ranny ptaszek. Starłam się jej ulżyć, jak umiałam, bo ona zawsze był dla mnie taka dobra. I jakby mnie chciała o coś wtedy zapytać, coś o ten wyjazd i o pana, ale myśli już jej uciekały i nie rozumiałam. A kilka dni później umarła.

Potem on umarł. Byłam na pogrzebie, ale nie zapaliłam mu świeczki. I, Panie Boże, wybacz, odczułam radość.

Panienka się na ostatnie piętro z Bietką przeniosła, a ja zamieszkałam w Stróży, z siostrą i jej rodziną.

Raz tylko jeszcze byłam na Wiślniej, kilka miesięcy później. Na chwilę tylko zaszłam do panienki. Lepiej już wyglądała, ucieszyło mnie to. Wtedy zobaczyłam, że tych figur, co były nad wejściem do kamienicy, to już nie ma, tynk świeży położony. Zapytałam o to, czy coś się z nimi stało, a panienka Emilia powiedziała, że sama będzie historię pisać, dla siebie i dla Bietki, jakoś tak. I że dla nadziei posadzi lipy, jak wiosna przyjdzie. Może i tak lepiej, nie lubiłam tych figur.

Siostra moja wyszła za mąż za dobrego człowieka, wdowca. Starszy był od niej, z trójką dzieci. Oni sami jeszcze jedno mieli. Potrzebna im była pomoc. I tak już zostałam, na tym swoim pięterku. Byli dla mnie dobrzy, miałam czas i na odpoczynek

*i nawet książki zaczęłam czytać, kiedy dzieci już były starsze. A potem Władek, mąż, umarł, dzieci powychodziły z domu, a Mietek, najmłodszy syn siostry, wyjechał do Ameryki. Sameśmy zostały, zobaczymy, jak długo Bóg da.*

*Dobre życie, gdyby nie ten kamień na sercu.*

*W końcu pojechałam do Krakowa, żeby nie tu w parafii, i tam, u Bożego Ciała, wszystko w konfesjonale wyznałam. Ksiądz zdjął ze mnie ten ciężar. Po tylu latach! Jest mi lżej na duszy.*

*Piszę to, choć nie wiem, czy szukać panienki Emilii. Czy jej by było po tym lepiej. Zostawiam to w rękach losu.*

*Stróża, Rozalia Dyrda, wrzesień 1998 roku*



## Rozdział osiemnasty



– Mój Boże.

Babcia była wstrząśnięta. Odłożyła kartki na stół, zdjęła okulary, wstała i podeszła do okna. Ja, mimo że od przeczytania tej spowiedzi minęły dwie godziny, też się wciąż trzęsłam.

Wizyta pani Ewy była zupełnie niespodziewana. Cóż za przypadek, że właśnie ona z mężem kupiła dom, w którym zamieszkała Rozalia Dyrda, czyli prababcina Różia. I że nie wyrzuciła zakurzonych szpargałów, tylko postanowiła je osobiście doręczyć spadkobiercom, nie mając żadnej pewności, że ich zastanie pod wskazanym adresem. I że ich nie przeczytała. Może gdyby wiedziała, jakie wieści przekazuje, to wcale by nie zechciała być posłańcem...

Kiedy opowiedziała mi o odnalezionej kopercie, moje myśli od razu popłynęły w stronę Staszka – sądziłam, że to jakiś list lub zdjęcie od niego, zagubione gdzieś w wojennej zawierusze, potem odnalezione przez kogoś z rodziny i z jakiegoś powodu jednak niedostarczone prababci Emilii. To miało być coś tajemniczego, poruszającego emocje, ale nie w taki sposób! Czegoś takiego zupełnie się nie spodziewałam! I to nie tylko dlatego, że w całej tej historii odsunęłam biedną Rózię na bok – była służąca, potem zniknęła, pewnie już dawno nie żyje, a zresztą jakie to ma za znaczenie dla spraw rodzinnych?... Najgorsze było to, czego się

dowiedziałam o Janie Majewskim, moim prapradziadku.

– Straszne, babciu, nie umiem się z tym pogodzić. Jak on mógł?

Siedziałam u babci w mieszkaniu, przy stole. Herbata już dawno wystygła, biszkoptu nałożonego na talerzyk nawet nie tknęłam. Nie uprzedziłam babci, z czym do niej przyjadę. Nie umiałabym przez telefon. Zresztą w cztery oczy wcale nie było łatwiej. Opowiedziałam tylko o wizycie pani Ewy i o tym, że zostawiła kopertę zaadresowaną do Emilii. Kto i co napisał – dałam babci te pożółkłe kartki i poprosiłam, żeby sama przeczytała. Podobnie było z pamiętnikiem Emilii – babcia także poznała historię z zapisków. Różnica jednak polegała na tym, że wtedy płynęła nostalgiczna, wzruszająca opowieść o miłości i stracie, a teraz zalało nas zło. I to takie, którego dokonał ktoś z naszej rodziny. Podwójny ból.

Babcia wreszcie się odwróciła w moją stronę. Powoli podeszła do stołu i, opierając się dłońmi o blat, jakby się bała, że się przewróci, usiadła na krześle. Zobaczyłam, że ma policzki mokre od łez.

– Zawsze mi się wydawało, że mama, to znaczy Emilia, inaczej traktuje mamę niż ojca. O niej mówiła z taką czułością, a o nim chłodno. To pewnie wynikało z tego, jak się do nich odnosił, że był taki władczy i stanowczy, pozbawiony cieplejszych uczuć. I że przejął kontrolę nad sytuacją, gdy się okazało, że ja się pojawię na świecie. Od razu wykreślił Staszka z rodziny, nawet wtedy, gdy jeszcze nie było wiadomo, jak się jego wojenno-żołnierskie losy potoczą. Już za życia spisał go na straty – powiedziała cicho.

– I nie dał prababci listów od niego. A ona tak czekała... – Jednak się rozplakałam. Wyobraziłam sobie Emilię, noszącą pod sercem dziecko i umierającą ze strachu o ukochanego. I Jana Majewskiego, który przejmuje listy od Staszka i nic o nich nie mówi córce. I nawet potem, kiedy przychodzi wiadomość o śmierci Staszka, nie daje jej tych listów, które byłyby dla niej najcenniejszą pamiątką. No ale czego wymagać od człowieka, który... Tak, to jak wykorzystał Rózię, było zdecydowanie gorsze. Było tak okropne, że nie potrafiłam o tym mówić. Babcia mnie wyręczyła.

– Ale przede wszystkim myślę o tej biednej Rózi. Zagubionej,

przestraszonej, młodej, bez żadnego wsparcia. Boże mój, jak ona się musiała czuć! I jeszcze się w tym wszystkim doszukiwała swojej winy! Serce mnie boli, gdy próbuję to sobie wyobrazić. – Babcia sięgnęła po chusteczkę i wytarła łzy.

– Czyste draństwo.

Nagle obudziła się we mnie okropna złość. Tak bardzo mi było żal Rózi i Emilii. Inaczej zaczęłam też widzieć praprababcie Katarzynę.

– Pamiętasz, jak w tym pamiętniku Emilia pisała, że mama wprost odżywa, gdy same wyjeżdżają do Poronina? Myślisz, że one wiedziały, co się dzieje w ich domu?

Babcia chwilę milczała, a potem powiedziała:

– Dziadkowie nie byli dobraną parą. Nie pamiętam żadnej czułości między nimi. Oczywiście, że czasy były inne, małżeństwa zawierano na innych zasadach, inne prawa nimi rządziły i oczekiwania kobiet też były odmienne. Wcześniej mi się wydawało, że babcia była po prostu zwyczajnie nieszczęśliwa z człowiekiem, którego temperament i wrażliwość tak mocno odbiegały od jej charakteru...

Zwyczajnie nieszczęśliwa, pomyślałam ze smutkiem. Sam fakt, że urodziłam się w innej epoce, powinien przepełniać mnie radością.

– Chociaż, może... – Babcia się zawahała. – Może i babcia się czegoś domyślała. Mnie się teraz przypomina, że w pamiętniku było coś o tym, jak oni się pokłócili i babcia wybuchła płaczem, kiedy Rózia miała niby to do rodziny na kilka dni pojechać, a w rzeczywistości, co teraz wiadomo, do babki szła, ciężę usunąć.

– Może. – Zamyśliłam się. – Tam to było niejasno napisane.

– Bo to moja mama pisała. Ona pewnie nie wiedziała. Widziała, jaki jest ojciec, cierpiała z powodu tego, jak je traktuje, ale brała to za zasady, konieczność, pewien wzór bycia głową rodziny. Tego, że gwałci Rózię, pewnie nie wiedziała.

„Gwałci Rózię”. Aż mnie przeszył dreszcz. Wreszcie to wybrzmiało. Wykorzystał, przymusił, zniewolił, zrobił to... Te wszystkie sformułowania maskowały okrutność i podłość Jana Majewskiego. Umniejszały jego winę. Rózia nie użyła tego

określenia, bo może wciąż się broniła przed tym, co jej zrobił, może w ten sposób mniej ją to bolało. A ja?... Z tego samego powodu – schowałam się za maskującymi słowami. Babcia była odważniejsza.

– Strasznie mi źle z tą wiedzą – powiedziałam i przysunęłam się do niej z krzesłem, żeby mnie przytuliła.

I przytuliła mnie. Siedziałyśmy tak przez dobrą chwilę, przyklejone do siebie – ja wsunięta niezdarnie pod jej pachę, ona – obejmująca mnie kruchym ramieniem.

– Nie wiem, czy nie lepiej by było, gdyby ta kartka nigdy do mnie nie trafiła – westchnęłam, wydmuchując nos.

– Pomyśl sobie, dziecko, że ty poznajesz tę historię po kilkudziesięciu latach, a Różia, moja babcia i mama były jej świadkami. Dla ciebie to bolesna karta, ale tylko karta. Zresztą mnie się wydaje, że dobrze, że się o tym dowiedziałyśmy. Zwłaszcza ty. – Spojrzała na mnie.

– Ale dlaczego ja? – zdumiałam się. – Mnie to przecież dotyczy w najmniejszym stopniu. Ty jeszcze byłaś świadkiem tamtych czasów, znałaś dziadka, dla mnie to już tylko opowieści.

– Właśnie dlatego. Pamiętasz, jak jeszcze całkiem niedawno uzalałaś się, że jesteś samotna. I że to musi być jakaś klątwa, skoro Majewskie są bez mężów od tylu lat?

– No... – przyznałam niechętnie. – Tak mi się wtedy wydawało. Te Mojry... Właśnie! – Aż podskoczyłam. – Zobacz, Różia pisze o tych Mojrach tak, jakby to Emilia kazała je usunąć!

– Też to zrozumiałam w ten sposób. Zupełnie nie pamiętam tego momentu, niestety. Pamiętam za to, jak żeśmy z mamą podlewały te młode lipy, żeby się przyjęły. Dla mnie to zawsze był dom Pod Trzema Lipami.

– A dlaczego Emilia tak zrobiła? Myślisz, że jednak wiedziała o ojcu i o Rózi?

– Wprost to chyba nie. Ale widziała, jak ojciec traktuje mamę. Jak się do niej samej odnosi. Może przeczuwała, że jest coś więcej, coś gorszego?... – Babcia się zamyśliła. – Na pewno cierpiała z powodu jego apodyktyczności, porywczego charakteru. Gdy teraz

o tym myślę, najbardziej prawdopodobne mi się wydaje to, że chciała się odciąć od tamtego życia, zacząć wszystko na nowo. Nowe mieszkanie, tylko ona i ja. To dla nas oraz dla kolejnych kobiet w rodzinie te drzewa. Ja bym to tak rozumiała. Mama bardzo lubiła te lipy. „Piękne i mocne” – mówiła. Mnie się robiło smutno, gdy na jesieni gubiły liście i widok z okna się zmieniał na ponuroszary, a ona wtedy odpowiadała: „Z wiosną się zazielenią”.

– Wyszło na to, że lepiej bez facetów niż z takimi jak prapradziadek Majewski. Rany, jak mi teraz trudno powiedzieć o nim „prapradziadek”! Przecież w słowie „dziadek” jest taka miękkość, dobroć....

– Nie, Klaruniu. Bo to by znowu znaczyło to samo – że od nich wszystko zależy, a od nas nic. Ani nie jest tak, że oni koniecznie być muszą, ani tak, że lepiej, żeby ich nie było. To jakby przerzucać odpowiedzialność za swoje życie na kogoś innego. Ja uważam, że trzeba być otwartym na ludzi, to wtedy jest szansa, że się pozna kogoś dobrego, wartościowego. I takiego, na czyj widok serce mocniej bije.

– Jak pan Kazimierz na przykład? – zapytałam. To był dobry moment i na tę rozmowę.

– Tak. – Pokiwała głową. – Tyle lat i nikogo, kto by w głowie i sercu zawrócił, a tu proszę...

– A to coś na serio? – dociekałam. Chyba dość głupio, bo babcia się uśmiechnęła.

– U mnie to zawsze wszystko na serio. A w tym wieku to już zwłaszcza, bo czasu coraz mniej na niepoważne zachowania. Kazio jest z podobnej co Tazio gliny ulepiony – dodała, klepiąc mnie po dłoni. – Budzę się rano, myślę o nim i to mi daje dużo radości. Lubię z nim rozmawiać, śmiać się, chodzić na spacer, do kawiarni.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś szczęśliwa?

– Wcześniej też byłam szczęśliwa. Kazio chyba również, mimo że różnie mu się życie układało. Teraz po prostu połączyliśmy nasze szczęścia. A skoro już o tym mowa, to jak u ciebie i pana Staszka wygląda ta arytmetyka szczęść?...

– Właściwie świetnie, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności. – Słowo „wszystkie” powiedziałam w specjalny sposób, żeby dać babci do zrozumienia, że znajomość weszła na najwyższy stopień intymności. Zrozumiała, widziałam to po jej oczach.

– To co cię trapi, że mówisz: „właściwie”?...

– Bo widzę, że Staszek ma jakiś problem. Coś w domu, co mu zajmuje myśl i psuje humor. Wiem tylko tyle, że niedawno, po długiej chorobie nowotworowej, umarła mu mama. Że ma ojca, ale relacje między nimi są złe. I że coś go trzyma w tym Witowie, bo nie może go tak definitywnie opuścić.

– Czyli wiesz sporo, choć nie wszystko. Daj mu czas, często tylko on dzieli człowieka od pełnej szczerości.

– A jeśli Staszek coś przede mną ukrywa? Coś... nefajnego?

Babcia spojrzała na mnie badawczo.

– Tak go oceniasz? W takim razie po co to wszystko?

– No nie oceniam, nie wiem po prostu.

– Czyli to ciekawość cię skręca. Poczekaj, pozwól mu się otworzyć. Zresztą – czy ty jemu wszystko o sobie opowiedziałas?

– W sensie?... No przecież nie da się wszystkiego. No i nie wszystko trzeba, każdy ma swoje pozamykane szufladki.

– No i sama sobie odpowiadasz. Nie szukaj na siłę problemów. A Staszкови daj delikatnie znać, że gdyby potrzebował, to jesteś obok i posłuchasz.

Przyznałam babci rację. Może jeszcze nie opanowałam idealnie sztuki znajdowania szczęścia w życiu, za to całkiem nieźle mi wychodziło wynajdowanie problemów, nawet tam, gdzie ich jeszcze nie było.

Babcia była bardzo mądrą kobietą. Zawsze to wiedziałam, choć przypisywałam jej raczej mądrość wynikającą z nauki, wykształcenia, czytania. A ona była nie tylko magistrem historii, lecz także magistrem życia. Prawdziwą mistrzynią.

## Rozdział dziewiętnasty



Tym razem kupiłyśmy dwa znicze. „Jemu nie, po moim trupie” – powiedziała twardo mama, a my z babcią pokiwałyśmy głowami.

– Właściwie tylko fakt, że minęło już kilkadziesiąt lat, a nieżywi nie mogą się obronić, powstrzymuje mnie przed tym, by go stąd przenieść w inne miejsce – powiedziała Dorota, chowając zapalki do torebki.

Babcia westchnęła i pokiwała głową.

Ja też myślałam podobnie jak mama.

Stałyśmy we trzy na Cmentarzu Podgórskim, przy grobie Majewskich. Ostatnim razem byłam tu sama, po przeczytaniu pamiętnika Emilii. Nastrój miałam smutno-nostalgiczny, bo przeżywałam historię prababci i Staszka. Zapaliłam wtedy cztery znicze – jeden był dla Rózi. Tu mnie intuicja nie zmyliła – choć tak dałam wyraz swojej pamięci o niej, nie wiedząc jeszcze, jakiego zła doznała od naszej rodziny.

– Biedna Rózia – powiedziałam. – Gdy się uporam z remontem, to spróbuję odnaleźć jej grób. Zacznę od Stróży. A może od Rząski?... W każdym razie chciałabym tam pojechać. Dla niej to bez znaczenia, ale mnie to zrobi dobrze, kiedy tak osobiście... – Czubkiem buta przesuwalam kamyczki obok płyty chodnikowej.

– Ta historia jest straszna. Pod wieloma względami to były jednak okropne czasy – powiedziała mama.

– Źli ludzie są i teraz – odparła babcia.

– No ale taka historia teraz by się nie mogła wydarzyć – stwierdziłam.

– O, zapewniam cię, że by mogła. I takie rzeczy się zdarzają – zaprotestowała mama. – Oczywiście, że jeśli idzie o obyczajowość, to wiele się zmieniło, to znaczy kobiety sobie wywalczyły te zmiany, ale wciąż żyjemy w świecie, gdzie to mężczyźni rozdają karty.

– Przecież teraz jest jednak nieporównywalnie lepiej. Nie umiem sobie wyobrazić, żeby dziś pracodawca wykorzystywał kobietę, zmusił ją do aborcji, a ona nic by z tym nie zrobiła i dała się prowadzić jak owieczka na rzeź – powiedziałam.

– O, *my sweetie*, bo żyjesz pod kloszem. O akcji #metoo nie słyszałaś? – Mama poklepała mnie po plecach. – Ja spędziłam trochę czasu w Polsce B, i to w czasach, gdy było bezrobocie i bieda. I widziałam kobiety przymuszane do podłych rzeczy przez los, własną niemoc i brak wsparcia.

Babcia pokiwała głową, a ja w ciszy przetrawiałam słowa mamy. Chyba rzeczywiście przez całe życie oglądałam świat przez różową szybkę, a teraz nagle, hurtem, poznawałam go bez filtrów ochronnych. I czasem były to miłe doznania, bardzo ożywcze, a czasem, jak teraz, wstrząsające.

– To jest okropne. Ale jeszcze okropniejsza jest wiedza o tym, jakim człowiekiem był Jan Majewski. – Nie chciałam nazwać tego człowiek prapradziadkiem.

– Z przeszłością to już nic nie zrobimy, Klaruniu. – Babcia obróciła się w moją stronę. – Mnie jest przykro, gdy pomyślę o mamie i babci, i o Rózi, o tym, jak zostały skrzywdzone. Ale za niego się wstydzic nie zamierzam, bo niby z jakiej racji. Na swój rachunek żył, na swój umarł.

– Mądre słowa, mamó, jak zawsze. Zresztą co się dziwić, badania jasno wskazują, że inteligencję się dziedziczy po matce. Więc o ciebie też się nie martwię. – Dorota spojrzała na mnie i się uśmiechnęła.

Mrok się trochę rozwiął.



Stałyśmy na cmentarzu, przy grobie, którego kamienna płyta przykryła trzy życia i kilka tajemnic.

Nie wiem, o czym myślały babcia i mama.

Ja myślałam o tym, jak dużo się ostatnio działo dokoła mnie i we mnie samej. Oczywiście, niektóre sprawy to były głosy z odległej przeszłości, wydarzenia, które się rozegrały wiele lat temu, a dopiero teraz kurtyna poszła w górę i się o nich dowiadywałam – przypadkiem. Bo przecież przypadkiem znalazłam pamiętnik Emilii. Przypadkiem pani Ewa nie wyrzuciła makulatury znalezionej w starym domu. Przypadkiem mnie zastała na Wiślniej. Ale... Nie byłoby mnie tam, gdybym nie podjęła decyzji o przeprowadzce do Krakowa. Pamiętnika Emilii też bym nie otrzepała z kurzu, gdybym została w Warszawie. Pierwszy kamyczek z tej lawiny zdarzeń rzuciłam ja. Świadomie. Jeślibym więc tego nie zrobiła, nie zdecydowała się na ten krok, to byłabym teraz w zupełnie innym miejscu, z innymi ludźmi. I zapewne przekonana, że tylko przypadki rządzą naszym życiem.

\* \* \*

– No i jak ci się tu podoba? – zapytałam, układając przed mamą sztucce na papierowych serwetkach.

– Bardzo klimatycznie. – Rozejrzała się dokoła. – Pamiętam, jak czytałam kiedyś wspomnienia Magdaleny Samozwaniec, która opowiadała, że mama zabierała ją na obiady do baru mlecznego. Jedzenie było super, ale reszta to nuda: „Łysi emeryci i cerata w kratę”, czyli żadnych szans na towarzyską ekscytację. Strasznie mnie to ubawiło. Teraz jest nawet zabawniej, bo to ty – córka matkę – przyprowadzasz mnie w takie miejsce.

– O, przepraszam. Cerata jest w poziomki. A emerytów jak na lekarstwo – same emerytki. – Udałam, że się obrażam. Dorota się ewidentnie ze mną droczyła.

– Fajnie tu – przyznała. – Lubię takie klimaty. Zobaczymy, jak jedzenie, ale zapach dobrze rokuje.

Tym razem poszłam do Poziomki z mamą. Babcia miała od dawna zaplanowane rocznicowe spotkanie w swojej szkole. Siedemdziesięciolecie istnienia, uroczyste obchody. Dorota nawet przez chwilę się wahała, czy do niej nie dołączyć, bo w końcu to była też jej szkoła, ale ostatecznie uznała, że woli kameralny wieczór ze mną. Odprowadziłyśmy babcię, a same pojechałyśmy na obiad.

– Fajnie, że przyjechałaś, mammo. I że udało ci się tak wyrwać.

– Wiesz, że u mnie to dość prosta sprawa, bo sama jestem sobie szefem. Właściwie to chwila oddechu dobrze mi robi, bo mocno wsiąkałam w to tłumaczenie i potrzebuję przewietrzyć głowę.

– Ten oddech to taki raczej z kamieniem na piersi – zauważyłam.

– Ale obie z babcią uznałyśmy, że powinnyśmy ci od razu powiedzieć.

– Miałam na myśli właśnie to nasze spotkanie. Bo reszta to fakt – straszny syf. Nie chciałam się tak wyżywać przy mamie, ale kawał drania z tego Majewskiego. Rzeczywiście, w pamiętniku nie był przedstawiony zbyt zachęcająco, ale to wszystko było przefiltrowane przez wspomnienia Emilii. W rzeczywistości codzienność z nim musiała być jeszcze gorsza.

– Mammo, a skoro o tym mowa... Bo widzę, że ciebie to bardzo porusza. To czy ty na pewno się nie rozstałaś z Markiem dlatego że... – Zawiesiłam głos.

– Że co? Że był przemocowcem, który mnie źle traktował? Nie, Klaruniu, zapewniam cię, że nie. Ze mną by to nie przeszło. Jedną z ważniejszych rzeczy, której mnie mama nauczyła, jest samodzielność. I potrzeba wolności oraz umiejętność korzystania z niej. Tylko nie wiem, czy mnie się udało przekazać to tobie. – Popatrzyła na mnie, nagle trochę jakby smutno.

– Nieśmiało powiem, że chyba tak. Może ja po prostu później do tego dorosłam? – Uśmiechnęłam się. – Mną ta historia też wstrząsnęła, myślałam o Majewskim jak najgorsze rzeczy. Teraz został przede wszystkim ból. Żal mi tych kobiet, wszystkich trzech.

– Mnie też, to jasne. Ale jego grzechy nie mogą się kłaść cieniem

na naszym życiu, jak to mama powiedziała. Wręcz przeciwnie, trzeba żyć jeszcze piękniej, skoro mamy takie możliwości. A propos możliwości, to jak tam... remont?

– Super, podłogi już... – Ze spojrzenia mamy wywnioskowałam jednak, że nie pytała o sprawy techniczne, a o Staszka.

– Dobrze jest. To znaczy dobrze się to zaczęło, a dalej to się okaże.

– A kiedy go poznam?

– No... niebawem. Bo wiesz, na razie tobym chciała tak kameralniej, to znaczy tylko we dwoje, poukładać sprawy.

Miałam nadzieję, że mama zrozumie i się nie obrazi.

Zrozumiała.

– No jasne. Ale plan wciąż jest taki, że Staszek na dłużej zagości w twoim życiu? – Patrzyła pytająco.

– Tak. I trzymam się tego planu. Tylko widzisz, on także jest po jakichś przejściach, i to chyba z żywymi członkami rodziny. Coś się tam dzieje, coś się nie układa.

– Poczekaj, a ty nie mówiłaś, że jego mama nie żyje?

– Tak. Ma ojca, ale nie po drodze im, tyle wiem.

– Smutne. Ale to on sam musi przerobić. Żadna rada z zewnątrz tego nie załatwi.

– Wiem. Babcia też tak mówi. No więc poznasz, ale za chwilę.

– Może przy okazji tego tłumaczenia? To całkiem dobry powód na początek. Nie że przyszła teściowa dokonuje wizytacji, tylko spotkanie na stopie zawodowej. – Dorota mrugnęła do mnie okiem.

– *Deal*. A jak praca z tym przekładem? Rzeczywiście potrzebujesz konsultacji?

– Rzeczywiście. To duża i taka niejednorodna książka. Bo z jednej strony są historie poszczególnych osób, spisane we wręcz powieściowy sposób, a z drugiej faktograficzna, bogata relacja z przebiegu działań wojennych i mocno zarysowane tło polityczne. I do tego mapy, fragmenty oryginalnych pism, regulacji, umów, kalendaria, biogramy. Tak jak ci mówiłam przez telefon, mnóstwo dat i faktów. Niektóre łatwo można sprawdzić, inne nie, więc historyk by się przydał.

– Jasne, mam. Najbliższy tydzień to jeszcze przede wszystkim remont, więc czas średnio sprzyja, ale potem... Zresztą fajnie by było, gdybyś przyjechała zobaczyć Wiślną w nowym wydaniu, i wtedy byłaby okazja do spotkania we troje.

– Pewnie. Powiem ci, że gdybym wiedziała, jak tu smacznie karmią, to energiczniej bym cię namawiała do zostania w Warszawie, a sama bym się zainstalowała w Krakowie. Niby tylko mąka i jajko, a jak cudownie smakuje! – Mama delectowała się kluskami lanymi w rosole, jakbyśmy były na obiedzie w jakimś ekskluzywnym miejscu, na przykład u Wierzyńka.

Przypomniałam sobie wieczór z Maćkiem. Wszystko było takie eleganckie. Jedzenie też z najwyższej półki. A jednak – zdecydowanie lepiej mi było tu, nad kolorową ceratą, ogórkową w talerzu z lekko wyszczerbionym brzegiem i mamą obok. Ciepło płynęło nie tylko od rozgrzewającego posiłku.

Czułam się tu jak pasujący puzzel układanki.

\* \* \*

Po obiedzie miałyśmy się przespacerować na Rynek, potem jeszcze chwilę bulwarami nad Wisłą i wrócić do babci, ale mama zapytała, czy skoro jesteśmy tak blisko, nie pokazałabym jej mieszkania. Choć w trakcie odnawiania, to chętnie je zobaczy. Od Staszka wiedziałam, że podłogi są po dwóch olejowaniach. „Tłusto jak w nadmorskiej smażalni – zdał mi wczoraj wieczorem relację SMS-em. – A ja samotny jak latarnik...”. To porównanie mnie trochę rozśmieszyło – rzeczywiście, góral na brzegu morza może się czuć samotnie. I trochę wzruszyło, gdy przyszła druga część tej wiadomości: „...który czeka, aż jego łódeczka wróci do portu”. Łódeczka, czyli ja. Kto by pomyślał, że w takim wyrazie kryje się tak duży ładunek emocjonalny?...

Weszłyśmy na ostatnie piętro.

– O, drzwi też odnowione? – zdziwiła się mama. – Bardzo ładnie.

– Poczekaj, aż zobaczysz, jak jest w środku. – Przekreśliłam klucz

w zamku. Stanęliśmy w korytarzyku. Włączyłam światło i...

– Pięknie! Jaki ładny świetlisty kolor! To ten sam parkiet? – Mama nie mogła uwierzyć. – Zapamiętałam go jako mroczne, skrzypiące dechy. Kojarzył mi się z podłogą z muzeum łowiectwa, w którym byłam na szkolnej wycieczce. Nie mogłam patrzeć na te biedne wypchane zwierzaki, więc gapiłam się na podłogę. To było w jakimś lekko zrujnowanym dworku i ta podłoga też była zniszczona. Szuraliśmy po niej pepegami, na które musieliśmy założyć filcowe kapcie z porozciąganyymi gumkami z tyłu, więc co i raz komuś spadały. Poza tym nie dawało się ślizgać po tamtym parkiecie, bo w wielu miejscach pozłaził z niego lakier i był chropowaty. Coś paskudnego! – Mama się otrząsnęła ze wspomnień. – Pięknie! A my możemy dalej wejść? – Popatrzyła na mnie pytająco.

– Właściwie to nie wiem – odparłam niepewnie. – Minęły już ponad dwadzieścia cztery godziny, więc chyba tak.

Kucnęłam na progu, dotykając dłonią drewna. Było prawie suche.

– Dobra, lekkie jesteście, nic się nie stanie. Ja mam na nogach bawełniane stóпки, to akurat. A ty? – Przyjrzałam się trampkom mamy.

– Geny, geny jak nic, bo też mam bawełniane stóпки – powiedziała, zsuwając buty.

Może i geny, choć mama pozbyła się butów metodą na spóźnionego ucznia, to znaczy przydeptując jednym trampkiem piętę drugiego. Ja starannie rozwiązałam sznurówki. I jeszcze podniosłam jej but, bo nie mogłam patrzeć, jak trzy trampki stoją na podszwach, a jeden bezradnie leży na boku. Walka z uzależnieniem od porządku jest jednak piekielnie trudna.

– Tylko nic nie mów. – Pogroziła mi palcem, widząc, jak na nią patrzę. – Może chciał sobie, biedaczek, odsapnąć w wygodniejszej pozie?...

Parsknęłam śmiechem. Luz mamy był jednak uroczy.

– To co, wchodzimy? – zapytała.

Weszliśmy. Rzeczywiście, podłoga wyglądała cudownie; zresztą

wszystko prezentowało się już naprawdę ładnie. Białe ściany – moje dzieło! – satynowo błyszczący parkiet, odmalowane drzwi wewnętrzne, odczyszczony piec...

– Jaki piękny widok! – Mama zatrzymała się na środku salonu.

Rzeczywiście – przed nami było okno, także odmalowane i wypucowane, obramowane wyczyszczonym do surowego drewna parapetem. A za oknem bujna zieleń lip; między gęstymi gałęziami przebijało późnopołudniowe słońce, padając na jedną ze ścian rozproszoną mgiełką złocistych promieni.

Kilka tygodni temu podobny obrazek doprowadził mnie do płaczu.

Teraz podeszłam bliżej, tak że znalazłam się w smudze światła. Powietrze było w tym miejscu trochę cieplejsze. Przymknęłam oczy.

– Ale ładny portret! Stój, nie ruszaj się, zrobię ci zdjęcie. – Spod zmrużonych oczu widziałam Dorotę wyciągającą z kieszeni spodni komórkę. – Piękne światło. Wyglądasz jak Madonna w aureoli. Miękkie loki, gładkie rysy, czułość i uduchowanie. Nawet poza ta sama, tylko dzieciątka brak. Nie, nie ruszaj się.

Usłyszałam kilka kliknięć i chwilę potem komendę:

– Dobra, spocznij. Pięknie wyszło, zrobię sobie z tego portret do mieszkania. Ale mi ślicznie wyrosłaś, *sweetie*.

Mama podeszła i mocno mnie przytuliła.

Tak, tym razem chciałam, by ta chwila trwała dłużej, jak najdłużej.

\* \* \*

Wracałyśmy do babci powoli, nie spiesząc się. Postanowiłyśmy przejść, ile nam sił w nogach wystarczy, i dopiero potem wsiąść w autobus.

– Powiem ci, że jakoś przychylniejszym okiem patrzę dziś na Kraków. Może to dzięki temu obiadowi, może dlatego, że mieszkanie naprawdę wygląda ładnie, tak czysto i świeżo. Był czas, że wszystko mnie tu mierziło. Nie wytrzymało porównania z Warszawą. Tam tak nowocześnie, wielkowiejsko, inna skala.

Gwar, ruch. Domy Towarowe Centrum, gdzie był Hoffland i odjazdowe ciuchy, w których taka hippisko-punkowa jak ja czuła się dobrze, a tu Jubilat i płaszczyki w pepitkę dla pań z trwałą ondulacją. Tam Supersam, a tu pocziwa hala na Grzegórkach. W stolicy było czuć puls życia, a tutaj to życie tak trochę naftaliną zalatywało.

Roześmiałam się.

– No jeśli o to ci chodzi, to przynajmniej w tych okolicach klimaty nadal mocno konserwatywne. Wydaje mi się, że większość tych sklepów jest tu od lat. Zobacz, ten z butami to chyba zawsze tutaj był, co?

– Taaa. I nawet te same modele na wystawie. – Tym razem mama parsknęła.

– Starsi ludzie mają inne potrzeby. I się przyzwyczajają do fasonów, wzorów, kolorów. Zresztą powiem ci, że te trzewiki po lewej mają swój urok. – Przysunęłam się bliżej witryny. Na prostej drewnianej półce stały równo poukładane pary skórzanych butów. Na dole – męskich, na górze – damskich. Na pewno nie była to masowa produkcja, tylko dzieło małego zakładu szewskiego.

– Może... – Mama nie była przekonana. – Chyba że do jakiejś stylizacji. Taka Ania z Zielonego Wzgórza, ale oczywiście wersja współczesna, z pazurem. Czyli te trzewiki, do tego obcisłe dzinsy z dziurami, a na górę zwiewna bluzka w kwiatowy wzór. Boże broń coś z tej wystawy obok. – Mama się skrzywiła na widok bliźniaczej witryny. – Ja ci powiem, że tę konfekcję – tak było wymalowane na górze szyby: Mariola. Konfekcja damska – to ja chyba też pamiętam. Nie jestem przekonana, czy w ogóle zmieniają tu asortyment.

– Wiesz, to jednak musi się sprzedawać. Inaczej już dawno by się zwinęły – zauważyłam przytomnie.

– Może. Gdy się tak rozglądałam po okolicy, to tu jednak bez modowych szaleństw... *Gosh*, ale są wyjątki! – Mama chwyciła mnie za rękę, wpatrując się w chodnik po drugiej stronie ulicy. – Ty to widzisz?!

Widziałam, bo niby jak bym miała nie zobaczyć. Na tle przyszarzałych kamienic i burych równolatek błyszczała amarantowo-czerwona postać.

– Jadwiga Krzyże – poinformowałam mamę.

– To jakaś lokalna awangarda? Skąd ją znasz? – Mama nie mogła oderwać od niej wzroku.

– Z parteru ją znam. To sąsiadka Jadzia – odparłam.

– No fakt, wspominałaś. Ale mi się ta Jadzia kojarzyła z jakąś ciocio-babcią, a tu, fiu, fiu! No chodź. – Pociągnęła mnie za rękę. – Przedstawisz nas sobie. Czuję, że to pokrewna dusza.

Nawet nie miałam czasu się zastanowić, bo już sunęłam za mamą – przez ulicę, oczywiście nie po pasach, a potem przeciskając się między ściśniętymi zderzak w zderzak samochodami.

– Jadziu! – zawołałam, gdy byłyśmy kilka metrów od niej.

Odwróciła się i na twarz wypłynął jej szeroki uśmiech.

– Cześć, słoneczko! A czy to mama, pani Dorota? – Przesunęła wzrokiem z mojej twarzy na maminią.

– Dorota. – Mama była mistrzem skracania dystansu. Ja lubiłam te wyszukane formy, które pozwalały delikatnie niuansować stopień bliskości: proszę pani, pani Katarzyno, pani Kasiu, Kasiu, niech pani... Mama od razu przechodziła na poziom kumpelski. *Hi there, buddy!* i po sprawie.

– Jadzia. – Jadwiga najpierw ucisnęła mamie dłoń, a potem złożyła trzy głośne cmoki na jej policzkach. – Nareszcie cię poznałam! Klara tyle o tobie opowiadała! Teraz mam już was w komplecie, Majewskie!

\* \* \*

Mówi się, że dwoje to akurat do pary, a troje to już tłok. Okazało się, że dotyczy to nie tylko małżeństwa i zdrad, ale też trzech kobiet.

Poczułam się ciuteńkę zaniedbana.

Jadzia, oczywiście, zgarnęła nas do siebie na ciasto i kawę i tak



się z mamą zagadały, że trudno mi się było wcisnąć w te ich ochy i achy, opowieści o ciuchach, naturalnych kosmetykach, domowym robieniu wina, patchworkach i wielu innych sprawach, które tak szybko je połączyły.

– A co ty tak zmarkotniałaś, słoneczko? – zainteresowała się nagle Jadzia.

Oczywiście głupio mi było się przyznać, że to ukłucie zazdrości, więc postanowiłam się jej zwierzyć z wczorajszego smutnego odkrycia. Co zresztą też było prawdą, bo – mimo dobrych chwil z mamą, babcią, a teraz z Jadzią – myśl o tym, co kilkadziesiąt lat temu działo się w tej kamienicy, kilkadziesiąt metrów od nas, co i raz do mnie wracała. Opowiedziałam więc Jadzi o Stróży i liście Rózi.

– Masz ci los – westchnęła Jadzia. – A to łajdak. Jakby dla równowagi: wśród tylu fajnych bielutkich owiec – spojrzała na mnie i mamę – taki czarny baran. I jak ci z tą wiedzą, kochanie? – Jej łagodne szare spojrzenie miało na mnie kojący wpływ.

– Źle. Najgorsze jest to, że to zamknięta sprawa. Nic już nie mogę z tym zrobić.

– Z tym to nie, prawda. Starych historii nie da się na nowo napisać. Zresztą stare historie bym zostawiła historykom. Też starym. Bo tym młodym tobym poleciła zajęcie się teraźniejszością. W końcu dziś także kiedyś stanie się przeszłością i byłoby fajnie, gdyby teraz właśnie się pisała nowa, dobra historia. Gdybyś więc mnie pytała o radę, słoneczko, tobym wam radziła, to znaczy tobie i Staszкови, żebyście niczego nie sknócili.

Niepsucie nie może być aż takie trudne, pomyślałam, nakładając sobie kolejną porcję Jadzinego sernika.

## Rozdział dwudziesty



Kolejne dwa dni upłynęły mi niezwykle miło, zwłaszcza biorąc pod uwagę nie najprzyjemniejsze wieści o Janie Majewskim.

Jakby na przekór tej historii, stałyśmy się silniejsze, bliższe sobie. Było rodzinnie, jak chyba nigdy dotąd. Ja czułam to bardzo wyraźnie, a mama i babcia sprawiały podobne wrażenie.

Zupełnie spontanicznie i całkowicie zgodnie pojechałyśmy na wycieczkę do Rabki. W którymś momencie pojawił się temat wspólnej z Jadzią i babcią wyprawy na Chełm, a ja westchnęłam, że tak mi się cknę do gór i że takie mam dobre wspomnienia z górskich wakacji z babcią i górskich wypraw z mamą, i że to był taki fajny czas – być dzieckiem, na co Dorota natychmiast zaproponowała, żeby się urwać na dwa dni z Krakowa, co nam wszystkim pasowało – babcia na weekend jechała do Olkusza, mama w piątek planowała powrót do Warszawy, a ja wreszcie miałam wrócić na Wiślną, do swojego mieszkania z już wyschniętymi podłogami.

Na myśl o tym, do czego ich ostatnio ze Staszkiem używaliśmy, oblał mnie rumieniec. Nadchodzące dni zapowiadały się bardzo miło.

\* \* \*

W Rabce też było bardzo przyjemnie. Mimo że przed sezonem, to już spory ruch, no ale jednak to miejscowość uzdrowiskowa, w której, ze względu na sanatoria, zawsze są przyjezdni. To jednak były miłe widoki – rozbrykane dzieciaki na placu zabaw w parku i ich mamy, rozmawiające lub czytające gazety, niespieszące się nigdzie babcie kupujące lody. Klimat był taki... kobiecy. Może i urlopy tacierzyńskie mają się coraz lepiej, a mężczyźni zmieniający pieluchy nie wzbudzają już takiej sensacji jak cudem odnaleziony mamut, ale to matki wciąż są tym rodzicem alfa, który niestrudzenie prowadzi swoje stadko przez życie. Wpisywałyśmy się w ten trend, choć to, która z nas przewodziła, nie było już takie oczywiste. W rodzinie, w zależności od wieku i konfiguracji w danym momencie, role się przecież zmieniają. Mama bardziej niż o mnie troszczyła się o babcię, dopytując, czy wzięła kapelusz, bo słońce przypieka, ja kumpelsko zaprosiłam mamę na wino, a babcia znowu prosiła mnie o radę – tym razem rozszerzyła marzenia o laptop.

Nie ograniczyłyśmy się do truchtania po rabczańskich uliczkach – postanowiłyśmy się wybrać na wycieczkę. Taka powtórka z dzieciństwa – wyprawa na Stare Wierchy. Niby nic forsownego, a jednak trochę się zasapałyśmy, najbardziej ja z babcią. W przypadku babci to całkiem zrozumiałe, w moim – obnażające brak formy. Zdecydowanie przydadzą mi się spaceru bulwarami, pomyślałam, z ulgą siadając w jadalni. Babcia klapnęła obok mnie, a mama poszła zamówić coś do jedzenia. Jagód oczywiście jeszcze nie było, ale tłusty twaróg, polany od serca śmietaną i posypany grubym cukrem, też dawał radę.

Po posiłku wyszłyśmy na zewnątrz. Nie wiem, czy jest lepsze do rozmyślań miejsce niż dosunięta do kamiennej ściany schroniska drewniana ława, z której roztacza się piękny widok na hale, łąki i lasy, a w tle widać Tatry.

– Ciekawe, jaka to odległość – powiedziałam do mamy, która położyła się obok mnie.

Mama coś mruknęła spod nasuniętej na oczy czapki; zdaje się, że

wyrwałam ją tym pytaniem z drzemki. Nie na długo jednak, bo znowu usłyszałam jej równy oddech.

– Dwadzieścia kilometrów – dobiegło przez otwarte okno jadalni. Odwróciłam się i zobaczyłam kobietę, która wydawała nam obiad. Twarz miała pogodną, rumianą i ewidentnie góralską – nos zdradzi każdego, kto się w górach urodził.

– Na pewno? – zdziwiłam się.

– A juści ze tak! – potwierdziła. – Akuratnie.

Dwadzieścia kilometrów, powtórzyłam w myślach. Z jednej strony to całkiem blisko, zresztą wyglądają, jakby wystarczyło mocno wyciągnąć rękę i już by ich można było dotknąć, a z drugiej – to dystans równy połowie maratonu, czyli jednak spory wysiłek.

Góry prezentowały się niesamowicie. Majestatyczne, dostojne. Budziły respekt, ale i wabiły tajemniczym pięknem.

Wiara w bajki już mi przeszła, ale byłam bardzo ciekawa, co za tą siódmą górą, za którą mieszkał mój Staszek. Błogo mi było na tej polanie, lecz myśl o powrocie do Krakowa też cieszyła.

\* \* \*

W piątek po południu odprowadziłam mamę i babcię na dworzec. Babcię do Olkusza powiózł autobus, mamę do Warszawy zabrał pociąg. A ja wracałam do mieszkania na Wiślną, gdzie miał na mnie czekać Staszek.

Trochę się zmieniło od mojej ostatniej wizyty. Meble wróciły na swoje miejsce. W jadalni na stole dostrzegłam zielony wazonik z bukietem nagietków, a kiedy przeszłam do salonu, na okrągłym stole czekała na mnie piękna czerwona róża.

– Zauważyłem, że lubisz aptekarskie klimaty nie tylko w pracy, a po drugiej stronie ulicy jest taki dziwny sklep, gdzie mają różne chemikalia, odczynniki i naczynia jak z pracowni naukowej w liceum – powiedział Staszek, który bezszelestnie się pojawił za moimi plecami. – To się chyba nazywa menzurka, ale ręki nie dam sobie uciąć. Bardziej interesowała mnie historia niż tablica

Mendelejewa.

Pocałował mnie i przytulił. Och, jak ja za tym tęskniłam!

– Cylinder miarowy – odpowiedziałam. – Tak to się formalnie nazywa, ale menzurka też może być. Nie wierzę, że taki mądry chłopak jak ty nie uważał na lekcjach. Na pewno pamiętasz coś z chemii.

Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Widać było, że dzisiejsze przedpołudnie spędził na pracy, bo na twarzy miał drobinki białego pyłu, pewnie od gipsowania ścian w kuchni. Większe białe kropki upstrzyły mu rękaw koszuli. Włosy, w tym uroczym nieładzie, który nie był artystyczny, a jak najbardziej naturalny i dlatego jeszcze bardziej mi się podobał, znowu pachniały łąką, a oczy... W tych oczach było absolutnie wszystko, a teraz – przede wszystkim tęsknota i...

– Coś pamiętam. O reakcjach chemicznych. Najbardziej to, jak się najpierw wlewało jakąś substancję do menzurki, o, przepraszam, do cylindra miarowego i nic, spokój i cisza, a potem się dolewało drugą i... bum! Eksplozja, dym, no po prostu cuda – powiedział Staszek, zbliżając się do mnie tak bardzo, że już nie mogłam się w niego wpatrywać, więc po prostu zamknęłam oczy.

A potem rzeczywiście było tak, jak jest w reakcjach chemicznych: atomy się przemieszczały, energia się wydzielała i ulegała pochłonięciu, a nawet dochodziło do promieniowania – ze szczęścia.

\* \* \*

Tym razem spałam, i to bardzo dobrze – takim snem, który przynosi odpoczynek zarówno ciału, jak i duszy.

Obudziła mnie jasność poranka. W całym mieszkaniu nie było zasłon, więc organizm dostał wyraźny sygnał, że zaczął się nowy dzień.

Staszek jeszcze się nie obudził. Może był bardziej zmęczony niż ja, w końcu ostatnie dni ciężko fizycznie przepracował. A może miał inaczej ustawiony zegar biologiczny i był sową? Cicho podnosząc się

z łóżka, postanowiłam poczekać, aż wstanie, a na razie przyjemnie i pożytecznie rozpocząć sobotę.

Delikatnie zamknęłam drzwi do salonu i poszłam się wykąpać. Ciepła woda z nowego piecyka nieustająco mnie cieszyła. Teraz dochodziła do tego radość z pobłyskujących kolorowych kafli i pięknie wyemaliowanej przez Staszka wanny. Fakt – to były rzeczy, które mogły wprawiać w dobry humor, w końcu szybki prysznic zimną wodą to nic fajnego, podobnie jak spękane kafelki i łuszcząca się farba. Moja radość była jednak podwójna, bo te wszystkie miłe rzeczy wiązały się ze Staszkiem. Bardzo chciałam, żeby nasz rozpoczynający się związek był taki jak ta łazienka – wspólnymi chęciami i staraniem doprowadzony do idealnego stanu i tak funkcjonujący przez długie lata.

Nigdy wcześniej specjalnie się nie zastanawiałam nad zawłościami relacji damsko-męskich. Wydawało mi się, że niespecjalnie się trzeba w nie zagłębiać, skoro i tak wszystko się toczy oczywistym torem: poznają się podobni sobie ludzie, których łączy wszystko: pochodzenie, wykształcenie, zainteresowania, na których nie ciąży żadne zaszłości ani skomplikowane terażniejszości. Ich związek to płynne połączenie podobnych żyć – właściwie jedyna zmiana polega na tym, że zamiast dwóch adresów zaczynają mieć jeden.

Przyjmując taki, na oko słuszny, punkt widzenia, związek z Pawłem powinien się udać.

A jednak – zawalił się z hukiem.

Ze Staszkiem od początku było inaczej. Mężczyzna, który nie dostawał od losu wszystkiego na złotej tacy. Silny, dający sobie radę, ale także podatny na zranienia. Dobry i skryty.

Początkowo wydawało mi się, że bardzo się ze Staszkiem różnimy, że nasze światy nie mają punktów styecznych.

Z czasem zrozumiałam, że to pozorne różnice; gdy się popatrzyło głębiej, zajrzało za fasadę zbudowaną z rzeczy i spraw powierzchownych, takich jak praca, samochód, mieszkanie, okazywało się, jak dużo nas łączy – zdecydowanie mieliśmy na

czym budować przyszłość.

Po ostatnich rozmowach z mamą, babcią i Jadzią zrozumiałam ważną rzecz: bliskość od początku wymaga szczerości. Nie chodzi o to, żeby zarzucić drugą osobę szczegółami ze swojego poprzedniego związku, zalać wszystkimi swoimi lękami i deficytami, a na koniec jeszcze dodać: „Ale czuję, że ty jesteś moją drugą połową i teraz moje życie będzie wyglądało zupełnie inaczej”. „Ja bym od razu związała – powiedziała Jadzia. – Bo ja jestem cała, a nie w kawałku, i nie mam ochoty być niczyją połówką. Z dwóch połówek zrobić całość – phi, sprawa banalna, prosta matematyka. A połączyć dwie jedności?...”.

Jadzia nieustająco mnie zaskakiwała. Mówiła rzeczy oczywiste, ale takie, na które wcześniej jakoś nie wpadałam. Twierdziła, że to dzięki pracy. Najpierw pierwszej, bo tyle się naczytała i nasłuchiwała sztuk teatralnych, że w teorii przerobiła wszystkie ludzkie bolączki, problemy, dramaty i komedie. „Ludzi od lat dręczą te same sprawy. Dekoracje się zmieniają, kostiumy też, ale emocje są niezmiennie. Kto czyta, żyje wiele razy. Kto chodzi do teatru – też”. No a teraz dzięki pracy w hospicjum. „Jest jak sitko. Zostają tylko sprawy istotne, te najważniejsze w życiu”.

Jadzia była fajnym człowiekiem i dobrze żyła, więc jej rady mogły być kompasem.

Postanowiłam porozmawiać ze Staszkiem. W bardziej szczerzy, no dobrze, po prostu: szczerzy sposób opowiedzieć mu, jak wyglądała moja droga z Warszawy do Krakowa i że pod każdym względem zaczynam nowe życie. Bez ekshibicjonizmu, za to z wiarą, że odsłaniam wnętrze przed właściwym człowiekiem, który i mnie wpuści do swojego świata.

Kiedy tak szłam we wczesnorannym sobotnim słońcu do piekarni, ten plan wydawał się bardzo dobry. I wcale nie taki trudny do wprowadzenia w życie.

Po prostu wrócę do domu, przygotuję śniadanie, zrobię kawę – czarną i białą – zacznę mówić i... I będzie dobrze.

\* \* \*

– Wiesz, właściwie wszystko się zaczęło od prababci Emilii – powiedziałam, wygodniej się odchylając na oparcie krzesła. – To, że tu teraz jestem.

– Jako historyk mógłbym ci pomóc znaleźć dalszych krewnych. – Staszek dolewał sobie drugą filiżankę kawy. Jeśli kofeina jeszcze go wystarczająco nie rozbudziła, to moja opowieść o pamiętniku na pewno to zrobi.

– Jako farmaceutka, czyli trochę biologka, a trochę medyczka, zdradzę ci, że i tak dojdziemy do Afryki, do pramatki Ewy. – Uśmiechnęłam się. – Ale tak na serio... Bo teraz chciałabym być serio, Staszku. – Spojrzałam na niego, a potem pogłaskałam go po dłoni. – Widzisz, w pewien sposób jest tak, że nie tylko ty mnie poznajesz. Ja siebie też teraz poznaję, to znaczy taką nową siebie. Przez wiele lat byłam innym człowiekiem. Mało osób miało dostęp do mojego wnętrza, nawet ja nie byłam w tym względzie uprzywilejowana. Zawsze skryta, nieśmiała, pojedyncza. Dorastałam w domu bez ojca. Podobnie jak moja babcia i moja prababcia. Taka tradycja, można powiedzieć. Albo... tylko się nie śmiej, proszę – fatum.

Staszek się nie śmiał. Po prostu na mnie patrzył i słuchał. Nie dopytywał, nie zaprzeczał, nie dziwił się. Był słuchaczem, któremu chciało się opowiadać.

– Myślałam tak, choć to zupełnie nieracjonalne. Takie pomieszanie z poplątaniem – z jednej strony jestem realistką, taką od szkiełka i oka, a z drugiej – za brak mężów u boku Majewskich miałam ochotę obarczyć fatum. Trochę usprawiedliwił mnie fakt, że taka myśl przyszła mi do głowy po... – jak szczerze, to szczerze, w końcu to żaden wstyd – ...po tym, jak mój narzeczony zerwał zaręczyny.

Staszek wciąż patrzył na mnie tak samo – ciepło, w skupieniu.

Kontynuowałam.

– Byliśmy razem kilka lat, to był studencki związek. Wydawało



się, że mocny, ale nie, skoro nie przetrwał przedślubnej próby. Wtedy czułam się tak, jakby mój świat się właśnie skończył. Teraz widzę to zupełnie inaczej, ale dlaczego, to za chwilę ci powiem. Zatem po zerwanych zaręczynach przyjechałam do Krakowa, tu, na Wiślną. Prababcia Emilia, po której odziedziczyłam to mieszkanie, umarła na wiosnę. Dożyła sędziwego wieku, więc jej śmierć nie była czymś niespodziewanym. W ferworze przygotowań do ślubu nie znalazłam czasu, by się zająć tym mieszkaniem. Co innego miałam na głowie, a samo mieszkanie do niczego nie było mi potrzebne, bo miałam się przeprowadzić do apartamentu męża.

Delikatny, ledwie zauważalny grymas pojawił się na twarzy Staszka, gdy padło słowo „apartament”. A więc dobrze przeczuwałam, co go peszy.

– Przyjechałam tu po to, żeby ogarnąć mieszkanie. Nie miałam sprecyzowanego planu – wynająć, sprzedać. To był taki impuls – wolałam być tu niż w Warszawie. W ten sposób poznałam pana Tomka. Najpierw zleciłam mu sprzedaż, potem odwołałam, a na końcu poprosiłam o pomoc w remoncie i poznałam ciebie.

Staszek się uśmiechnął.

– Ostrożnie powiem, że łańcuch dość nieoczywistych zdarzeń doprowadził do naszego spotkania.

– Właśnie! – Aż podskoczyłam. Jak on to trafnie nazwał: łańcuch nieoczywistych zdarzeń, nie przypadek. – Bo widzisz, do tej pory to ja myślałam w kategoriach „fatum” i „przypadek” właśnie. A nie: myślę, czuję, robię i się dzieje. No dobrze, ale jeszcze między spadkiem a tobą zdarzyła się jedna ważna rzecz – znalazłam pamiętnik prababci Emilii. Był w tej toalecie, pod blatem. – Obróciłam się w kierunku ściany, gdzie stał wspomniany mebel. – Chciałam ją naprawić, to znaczy podkleić bolec, i w ten sposób odkryłam notes z zapiskami prababci. Przeczytałam, i dzięki temu wiem więcej o mojej rodzinie. Na przykład to, kim był mój pradziadek, o którym nie wiedziałam nic ponad to, że zginął podczas wojny. A teraz wiem, że nie zdążyli się z Emilią pobrać. Że bardzo się kochali, choć to nie była miłość aprobowana przez

mojego prapradziadka, który, zgodnie z duchem tamtych czasów, uważał tamten związek za mezalians. Emilia pochodziła z solidnej mieszczańskiej rodziny, a Staszek był...

– Staszek? – Brwi nad brązowymi oczami lekko się uniosły. Po raz pierwszy podczas tej opowieści Staszek mi przerwał.

– Tak. Staszek. I, wyobraź sobie, góral.

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, jak niezręcznie to zabrzmiało. Mezalians, bo przedwojenny Staszek był ubogim góralem, a Emilia – panienką z Wiślniej. Właściwie to samo można by o nas powiedzieć – historia się powtarzała. Miałam tylko nadzieję, że bardziej frapujące w mojej opowieści były to samo imię i te same góry niż przepaść między portfelami.

– Ta historia bardzo mnie poruszyła. Zrozumiałam, jak w sumie niewiele wiem o moich najbliższych. To znaczy dużo faktów, dużo spędzonych razem godzin, a niewiele takiej prawdziwej bliskości. W przypadku Emilii tego zmienić już nie mogłam, ale są jeszcze mama i babcia. Początkowo pomyślałam sobie, że gdybym tu została, to byłby to ukłon w stronę Emilii – nie sprzedawać mieszkania, niech kolejna Majewska żyje Pod Trzema Lipami, no i byłabym bliżej babci. A kiedy się okazało, że mama jednak wraca do Warszawy, do mojego mieszkania, które faktycznie było jej, i miałybyśmy żyć pod jednym dachem, to podjęłam bardzo ważną i bardzo dobrą decyzję, że wybieram Wiślną. Zwłaszcza że to już było po tym, jak się spotkaliśmy na dworcu...

– Dużo się wydarzyło... – powiedział powoli Staszek. – Czyli tu cię ciągnęła prababcia, babcia i... ja, a od Warszawy odpychała mama?

– No, nie rozstałyśmy się z mamą w najfajniejszy sposób, ale to już przeszłość. Paradoksalnie, czasem z oddalenia może wyniknąć bliskość. Popatrzyłam na nas z innej perspektywy, długo i dużo rozmawiałam z babcią, o, i z Jadzią, tą sąsiadką z parteru, też. To fantastyczna kobieta – dodałam szybko.

– Nie musisz mnie przekonywać. Poprosiła mnie o sklejenie modelu samolotu dla Piotrusia, chłopca z hospicjum. – Staszek

pokiwał głową.

– No widzisz. Więc takie właśnie kobiety, które są blisko mnie, sprawiły, że zaczęłam inaczej patrzeć na świat. Nawet pani Maria... A, bo o niej ci nie powiedziałam – pani Maria z Apteki Pod Wieżą, moja pracodawczyni, także jest mądra i fajna.

– Zaraz pomyślę, że wszystkie fajne kobiety są w Krakowie, a w Warszawie tylko zło. W stołecznej aptece było niedobrze?

– Skoro weszła prokuratura, to najlepiej nie było. To znaczy Jarkowi, mojemu byłemu szefowi, powodziło się świetnie, ale do czasu. I bardzo nieprzepisowo to powodzenie osiągnął. Superwarszawianki także są, na przykład Anka, moja przyjaciółka.

– Ta od pracy?

Zrobiło mi się ciepło.

– Tak. Od polecenia mnie Maćkowi, którego zdążyłeś poznać. I z którym nie związałam swoich zawodowych losów. Ani żadnych innych. – Zatrzasnęłam te drzwi, żeby przez ewentualną szczelinę nie wpadł nawet podmuch nieudomówienia. – I to właściwie tyle, to znaczy tyle w dużym skrócie. Po prostu chciałam, żebyś przeszedł ze mną tę drogę, która mnie zaprowadziła na Wiślną. Do tego stołu i do ciebie.

– Czyli w sumie to pogodna trasa, prawda? – Staszek przyjrzał mi się badawczo.

– Teraz, gdy na to patrzę z perspektywy czasu i dzięki temu, że się zbliżyliśmy z mamą i babcią, to tak. No, może z jednym wyjątkiem, o którym ci jeszcze nie powiedziałam. Ostatnim razem, kiedy poszedłeś po ten pędzel do podłogi...

– Wałek – sprostował Staszek.

– Zgadza się, wałek. Miałam wtedy niespodziewanego gościa. Kobieta, która kupiła dom w Stróży i która, zanim wyrzuciła szpargały, je przejrzała. I znalazła list zaadresowany do Emilii.

– Prababci? – upewnił się Staszek.

– Tak. Sprzed dwudziestu lat.

– Nigdy niewysłany? Kto go napisał?

– Niewysłany. Napisała go Różia. O niej ci nie mówiłam, bo to

była pomoc domowa. Mieszkała z Emilią i jej rodzicami, na parterze tej kamienicy.

– Dziwne... – Staszek się zamyślił. – Ciekawe, dlaczego go nie wysłała... Ale ty już znasz jego treść?

– Tak. – Pokiwałam głową. – Nic dobrego w tym liście nie było. Właściwie same złe rzeczy. To jakby spowiedź. Okazało się, że Jan Majewski, czyli ojciec Emilii, czyli mój prapradziadek, zgwałcił Rózię, a potem zmusił ją do aborcji. Wykorzystywał ją przez wiele miesięcy. I jeszcze wyszło na jaw, że nie oddawał Emilii listów od Staszka, które ten przed śmiercią wysyłał jej z frontu. Podły, nieludzki typ. Jedyne mężczyzna, tak prawdziwie obecny w naszej rodzinie, a zdecydowanie lepiej by było, gdyby go nie było. Ironia losu. I wstyd, choć mniejszy niż ból.

Te ostatnie zdania wypowiedziałam ze wzrokiem utkwionym w piecu. Wciąż miałam problem, by otwarcie się mierzyć z tymi faktami.

Staszek milczał. W końcu spojrzałam na niego. Lekko kiwał głową, a palce dłoni podwinął do środka i machinalnie przejeżdżał po nich kciukami. Było w tym geście i trochę złości, i trochę zdenerwowania.

– Stasiu... – zaczęłam, nachylając się do niego.

Właściwie nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie chciałam, żebyśmy, siedząc tak blisko siebie, pozostawali samotni ze swoimi myślami, lękami i wątpliwościami.

Staszek nagle się wyprostował. Dłonie oparł na złączonych kolanach i spojrzał mi prosto w oczy.

– Pamiętasz tego faceta, tego pijaka, który leżał na ławce na Plantach, a wcześniej chciał od ciebie pieniądze na wódkę?

– Tak. – Kiwnęłam głową zdumiona. Co to miało wspólnego z nami, z tą moją historią, ze Staszkiem?...

– To mój ojciec.

## Rozdział dwudziesty pierwszy



– Ale jak to?

Tak pytamy zawsze wtedy, gdy usłyszana przed chwilą informacja wydaje nam się niedorzeczna i nie potrafimy jej włożyć do szufladki w głowie z napisem „fakty”.

Tak zapytałam i ja. Ten zalatujący wódką, pochrapujący na ławce facet miałby być ojcem mojego Staszka – wrażliwego, kulturalnego chłopaka? To niemożliwe, pomyślałam.

– Po prostu. Tak się złożyło, że akurat ten człowiek dał mi swoje geny – powiedział Staszek na pozór obojętnie, ale wyczuwałam jego zdenerwowanie.

Pierwsza była myśl, że to przedziwne, iż Staszek mówi o swoim ojcu „ten człowiek” – w końcu to rodzic, osoba, która sprawiła, że jest na świecie. A druga pomknęła do Jana Majewskiego – ojca Emilii. Jaki moja prababcia miała wpływ na jego potworne zachowanie?...

– Oczywiście, przepraszam, jakoś to niezręcznie zabrzmiało. Twój ojciec to dorosły człowiek, nie odpowiadasz za niego, żadnej twojej winy w tym, jak się zachowuje. Zdziwiłam się, bo nie podszedłeś do niego, nie zareagowałeś, nie powiedziałeś, że to twój tata... – Wpatrywałam się w Staszka z napięciem. Znaliśmy się zaledwie od kilku tygodni, a przyszło nam przeprowadzać tak trudne i tak angażujące emocjonalnie rozmowy.

Staszek powoli wstał od stołu i podszedł do okna. Przez chwilę widziałam tylko jego plecy; potem się obrócił i oparł o parapet, skrzyżował nogi i objął się ramionami.

– Zanim ci odpowiem, zapytam cię o coś. Znasz jakiegoś alkoholika?

Wśród moich znajomych, a właściwie wśród znajomych Pawła, były osoby, które lubiły alkohol. Weekend był dla nich czasem odreagowania, zrzućcia napięcia, zabawy. Alkohol im to wszystko umożliwiał, ułatwiał. Ale poza kacem i głupotami, które zdarzyło się im popełnić, gdy wypili o kilka drinków za dużo, nie ponosili żadnych innych konsekwencji tego upodobania do procentów. W niedzielę do popołudnia trzeźwieli, by w poniedziałek pójść do pracy do kancelarii, korporacji czy gdzie tam, i w ciągu dnia popijać mineralną z cytryną i smoothie z jarmużu. I tak aż do piątku, bez kropli alkoholu. Więc nie, nie byli uzależnieni.

Pokręciłam głową.

– Ja z alkoholików przez długi czas znałem tylko swojego ojca, choć przez lata nie wiedziałem, że jest alkoholikiem. Nikt go tak nie nazywał, a na pewno on sam by tak o sobie nie powiedział. Zawsze lubił alkohol, spotkania z kolegami, muzykę, zabawę. „Wszystko jest dla ludzi” – mówił. No niby tak, a ja się przyzwyczaiłem, że w soboty zawsze wracał do domu zalatujący wódką. Nie on jeden, więc czy w tym jest coś nienormalnego?

Staszek zamilkł. Nie odzywałam się, bo to nie była chwila dla mnie, tylko dla niego. Widziałam, że układa sobie w głowie opowieść.

– Przyjąłem, że tak jest. Że ojcowie po tygodniu ciężkiej pracy – ojciec jest stolarzem – w taki sposób odpoczywają. Matki zajmują się domem, sprzątają, gotują, a oni wychodzą z kolegami do knajpy. Kiedy byłem trochę starszy, gdzieś pod koniec podstawówki, zacząłem myśleć, że to nefajny układ. Bo mama też była zmęczona – dojeżdżała do Zakopanego, gdzie pracowała na zmiany w domu wczasowym. No i cały nasz dom i oboje były na jej głowie. Zacząłem mnie to uwierać, więc jej pomagałem. Koledzy się często

skrzykiwali, a to boisko, a to wycieczka, a ja kosilem trawę, rąbałem drewno, jechałem po zakupy. To by jeszcze można przeżyć, choć we mnie budziła się złość na nierówne obciążenie obowiązkami domowymi rodziców, ale ojciec zaczął się zmieniać. Jego picie stało się inne. Już nie tylko w soboty, lecz także w niedziele, „żeby mu się w kościele ręce nie trzęsły”. I w poniedziałek, bo „sił brak do pracy”. We wtorki „na zły humor”. I tak dalej, i tak dalej...

Staszek znowu zamilkł. A ja czułam, jak w gardle rośnie mi kula smutku. I strachu, bo zaczynałam rozumieć, w którą stronę płynie ta historia i jaki będzie jej finał.

– W końcu zrobiło się tak, że ojciec pił cały czas, w ogóle nie trzeźwiał. Jakies próby podejmował, bo mu ksiądz, przez mamę poproszony, nakazał. Leżał krzyżem w kościele i obiecywał, że ani kropelki już do ust nie weźmie. To było w sierpniu, w miesiącu trzeźwości. Wytrzymał do listopada. A potem jeden kieliszek, drugi i popłynął. Potem znowu miał przerwę, bo rozwalił samochód na płocie sąsiada. A sąsiad policjant i wiedział, że to nie był przypadek, bo ojciec już tylko na podwójnym gazie jeździł. Przypadkiem raczej było to, że tylko w płot wjechał, a nie w człowieka lub inne auto. I znowu dwa miesiące spokoju. Jaki on był wtedy dobry, jaki uczynny, no po prostu wzór cnót. Tyle tylko że te przerwy między okresami abstynencji robiły się coraz krótsze. A ojciec, kiedy nie pił – okropny. Podminowany, napięty, o byle co robiący awanturę. Doszło do tego, że już wolałem, żeby się napił, bo wtedy przynajmniej był spokojny. Ale też do czasu, bo i po alkoholu zaczął się agresywnie zachowywać. Najpierw się darł, potem przemoc zrobiła się także fizyczna. A to mnie szturchnął, bo szpadel nie na miejsce odstawiłem. Albo zapominał, gdzie schował alkohol, i na mnie się wyżywał. Potem zaczęło się dostawać także mamie.

Siedziałam przy stole jak sparaliżowana. Było mi tak smutno i tak przykro. Próbowałam sobie wyobrazić siebie w takich warunkach i zalewała mnie fala lęku i bezsilności. Moim jedynym

zmartwieniem, kiedy byłam w liceum, było to, że od czasu do czasu wyskakiwała mi jakaś krosta i nie miałam chłopaka, choć inne dziewczyny już miały. No i że mama zostawiała mi pieniądze na obiad, bo nie zawsze miała czas i ochotę, żeby siedzieć w kuchni, a ja bym wolała domowe jedzenie. Jak głupio to wypadło w porównaniu z tym, co przeżywał Staszek.

– Nikt o tym nie wiedział, brudów się przecież z domu nie wynosi. Gdy ojciec coś przeszkrobał, to się tuszowało. Zresztą koledzy go kryli, więc warunki do picia miał dobre. Skończyłem osiemnaście lat, wyrosłem, silny byłem i gdy kiedyś ojciec znowu na mamę się darł i ją szarpał, to go uderzyłem. I to go chyba na moment otrzeźwiło. A może się przestraszył? Starzał się, lata picia zrobiły swoje, nie miał już nade mną przewagi fizycznej. Była wiosna, kończyłem szkołę i wymarzyłem sobie tę historię. Nie pojechałbym do Krakowa, gdyby nie matka, która mnie namawiała, mówiła, że we mnie wierzy, że chce dla mnie lepszego życia. Zdałem egzaminy, wyjechałem. Co tydzień byłem w domu, żeby sprawdzać, jak się mamie wiedzie. Nie było tak źle. Nawet był taki czas, że ojciec próbował coś z tym swoim piciem robić. Zasztywał się, ale to podziałało tylko za pierwszym razem, bo się bał, że umrze, jeśli się napije. No ale napił się i nie umarł, więc za drugim razem już poszło szybciej. Leczyć się nie chciał. „Nie mam chorej głowy jak jakiś wariat, tylko taki mam organizm” – powtarzał. Ale ja się zacząłem leczyć. Przypadkiem na uniwerku wpadła mi w ręce ulotka dla DDA, czyli dorosłych dzieci alkoholików. Poszedłem na spotkanie pierwszy raz, drugi, trzeci... I zobaczyłem, że to mi pomaga. Wszystko mi się ukazało w innym świetle. Teraz już wiem, że alkoholizm to choroba i tylko chory może sobie pomóc, to znaczy może chcieć się leczyć i wytrwać w abstynencji. Nikt tego za niego nie robi i zresztą nie powinien tego robić. Mamę też namawiałem do takich spotkań, ale z tego naszego Witowa to sprawy inaczej wyglądają... Czasu brak, wszędzie daleko, a może to tylko wymówki były. Zresztą za chwilę się okazało, że mama jest chora. Rak. No i wszystko inne zeszło na dalszy plan. Nawet się



zastanawiałem, czy studiów nie rzucić, dziekanki nie wziąć, ale jakoś się udało połączyć naukę z opieką nad mamą. O dziwo, bo już dawno straciłem na to nadzieję, ojciec jakby się przecknął. Próbował ograniczyć picie, przyjeżdżał do mamy do szpitala. Nawet zdarzały mu się tygodnie na sucho. Jakoś szło to nasze życie, ciężko, pod górę, ale z nadzieją, że po drugiej stronie szczytu jeszcze będą piękne widoki.

Gdy się słucha opowieści, której finał – nieszczęśliwy – się zna, to napięcie nie opuszcza od pierwszego zdania. Bo wszystko, nawet pogodne momenty, które też się przecież zdarzają, są przenicowane smutkiem. Słuchacz wie to, czego nie wiedzą bohaterowie opowiadanej historii – że idą po równi pochyłej; ich nadzieje okażą się płonne, drobne zwycięstwa epizodyczne, a finał – dramatyczny.

– Trochę przykrołem marzenia, zostawiłem Kraków i uczelnię i wróciłem do Witowa, gdzie akurat zwolniła się posada nauczyciela. Mama już nie pracowała, najpierw były zwolnienia, potem renta, bo to wyniszczająca choroba. Przewlekła, mówili lekarze, dając nadzieję. Kto inny by się martwił, że przewlekła, ale ja się cieszyłem, bo w tej przewlekłości była nadzieja na życie. Mama źle się czuła, chemioterapie ją wymęczyły, wstydziała się braku włosów. Słaba była. Ale żyła. W okresie remisji bywało czasem naprawdę dobrze. A ojciec... Był, trochę pił, trochę nie. Nie było tak najgorzej. Ale po ostatniej wznowie lekarze już nie dawali nadziei. Od patrzenia, jak umiera rodzic, matka, która dała ci życie, która przez wiele lat była twoją opiekunką, podporą, wyrocznią, gorsze jest chyba tylko patrzenie, jak umiera dziecko.

Poczułam pod powiekami łzy. Z powodu historii Staszka. Z powodu dzieci, którym towarzyszyła Jadzia. I nagle zrobiło mi się strasznie głupio, że zdarzało mi się myśleć, że moje życie jest do niczego.

– Mama chciała umrzeć w domu. Z opieką było trudno, bo z hospicjum nie mogli przecież codziennie przyjeżdżać. Ciotka przychodziła, sąsiadka przychodziła. Ja w nocy czuwałem. Ojciec też, ale miałem wrażenie, jakby był obok. Na ostatnie tygodnie

pomoc wzięliśmy, taką non stop, zamieszkała w pokoju obok mamy sypialni. Moje oszczędności na to poszły i nawet jeszcze musiałem się zapożyczać. Ojciec tyle razy zawalił robotę, że w końcu mu powysychały zlecenia. Ludzie nie chcieli mieć niedokończonych kuchni, szaf z brakującymi półkami, umawiać się i być wystawionym. Coś tam robił, niby próbował odbudować zaufanie, ale nieskoro mu szło. Także dlatego, że po tylu latach picia był mniej sprawny, jakieś neurologiczne sprawy go męczyły. Więc tak to wyglądało. A w końcu... W końcu mama umarła.

– Stasiu, tak mi przykro...

Chciałam się poderwać, podbiec do niego i go przytulić, ale nie mogłam, jakby wyparowała ze mnie cała energia. Słuchałam go z takim bólem i smutkiem; każdy gest, każde słowo, które mogłabym mu podarować, nagle wydały mi się niewystarczające, blade w porównaniu z jego cierpieniem. Zresztą czułam, że to nie koniec opowieści. Śmierć mamy nie zakończyła dramatycznej historii z Witowa. Ona wciąż trwała.

Staszek, jakby czytając w moich myślach, powiedział:

– Po śmierci mamy byłem jak ogłuszony. Pierwsze dni przyniosły ulgę. Kto nie patrzył na okropne cierpienie umierającego bliskiego, ten tego nie zrozumie, ale naprawdę się cieszyłem, że mamę już nic nie boli. Bo to był okropny ból, trudny do uśmierzenia. Ona cierpiała, a ja cierpiałem razem z nią. Życie jest najwyższą wartością, ale... Potem się zastanawiałem, co robić. Zostać w Witowie? Polubiłem pracę w szkole, tylko ciężko z tego wyżyć. Dług miałem, dom wymagał remontu, ojciec... Ojciec znowu zaczął pić, ale tak wściekle, na umór. Już nie miał powodu, żeby nie pić, wręcz przeciwnie, ze śmierci żony uczynił sobie doskonały powód do picia. I znowu się zaczęła agresja. Jakby mu puściły hamulce, jakby już nic go nie trzymało w pionie. A przecież jest jeszcze...

Odezwał się dzwonek telefonu Staszka. Przez chwilę się wahał – był zanurzony w tamtych, dramatycznych wydarzeniach, a tu rzeczywistość dawała o sobie znać w taki nagły sposób. Podeszedł jednak do półki przy łóżku i wziął telefon do ręki. Spojrzał na

wyświetlacz, powiedział – trochę do mnie, trochę do siebie – „odbiorę” i przejechał palcem po wyświetlaczu.

– Cześć, ciociu. No co tam?

To nie było takie bez troskie, plotkarskie „co tam?”. Wyczułam w jego głosie napięcie.

A potem, przez kilka kolejnych minut niewiele mówił, po prostu kiwał głową. Rozmówczyni po drugiej stronie ten brak dialogu najwyraźniej nie przeszkadzał, więc wywnioskowałam, że opowiada coś Staszowi. To nie mogła być pogodna historia, bo Staszek się nie uśmiechał.

– No to przyjadę. Jeszcze dziś. Porozmawiamy. Coś wymyślę, ciociu, obiecuję. Przykro mi, że tak to wszystko, naprawdę...

Powoli odłożył telefon na półeczkę i wrócił do stołu. Wziął łyk zupełnie już zimnej kawy.

– Ciotka. Siostra mamy. Ta, która się nią opiekowała. Dzwoniła, bo... bo są problemy. Ojciec wrócił do Witowa, sąsiad go przywiózł z Zakopanego. Leżał pijany w jakimś barze, awanturował się. Sąsiad dostawy tam robi i akurat na niego trafił. Okazało się, że ojciec pojechał do Krakowa do notariusza, bo znowu kawałek lasu sprzedał. To dlatego tu go widzieliśmy. Zaczął jakiś czas temu i tak po kawałeczku... A to mamy było, ojcowizna. Piękne tereny, u stóp gór. Nie wiadomo, czy kasy już nie ma na alkohol, czy rzeczywiście na życie mu brak, czy w pijanym widzie nie wie, co robi. Do ciotki przyszedł, awanturę zrobił. A ciotka... Ciotka się boi. Muszę jechać.

– Jedź, no tak, oczywiście – odpowiedziałam szybko. – Stasiu, ja jestem kompletnie zagubiona i nie mam pojęcia o rzeczach, o których ty opowiadasz, ale czy wy nie możecie się jakoś odciąć od ojca, od jego życia, od tego domu, od wszystkiego? Sam mówiłeś, że skoro on sobie nie chce pomóc, to nikt mu nie pomoże. A on nie chce i jeszcze was ciągnie. No to po co? Dlaczego? – powiedziałam to na jednym wydechu, roztrzęsiona.

Żał mi było Staszka. I bardzo nie chciałam, żeby jechał. Tu bym mu mogła dać oparcie, spokój, tam jechał w awantury i problemy.

– W końcu należy ci oddech, spokój, własne życie. Tyle

przeszedłeś... Pojechalibyśmy gdzieś, poszli, nie wiem, zresztą nieważne – spokojnie by było, tylko my dwoje.

Staszek popatrzył na mnie, jakby chciał coś tłumaczyć, jakby się z czymś nie zgadzał, ale ostatecznie powiedział:

– Klara, bardzo mi na tobie zależy, na nas mi zależy, ale muszę pojechać, uwierz. To jest naprawdę skomplikowana sytuacja.

Wstał, obszedł stół, nachylił się nade mną i pocałował mnie w czoło. A potem wziął plecak i po chwili usłyszałam, jak zamyka za sobą drzwi.

Siedziałam jak odrętwiała. Nie tak wyobrażałam sobie nasz wspólny weekend. Tęskniłam za Staszkiem, miałam nadzieję na dwa spokojne dni, podczas których się do siebie zbliżymy. Opowiedziałam mu o sobie, żeby zacząć z czystą kartą. I miałam nadzieję, że on mi zrewanżuje. I owszem, zrewanżował się, ale nie spodziewałam się takiej opowieści, takiego dramatu. W dodatku miałam niejasne przeczucie, że czegoś strasznego jeszcze nie wiem. Że Staszek już wszedł na ten szczyt, a po drugiej stronie wcale nie ma pięknych widoków. Jest złowieszcza mgła, przez którą nie można się przebić.

## Rozdział dwudziesty drugi



W mieszkaniu było bardzo ładnie: jasno, czysto, błyszcząco. Przez otwarte okno wpadał wiatr, przynosząc zapach lata. W tym roku już od kwietnia było tak ciepło, że lipy tylko kilka dni dzieliło od zakwitnięcia i zaczarowania okolicy słodkim miodowym zapachem.

To wszystko powinno mnie cieszyć i cieszyło, ale nie mogłam się pozbyć dręczącej myśli o Staszku. Było mi go bardzo żal. Ten chłopak tyle w życiu przeszedł, a mimo to nie tracił optymizmu. Życie rzucało mu kolejne kłody pod nogi, a on je przeskakiwał i szedł dalej. A to mimo braku wsparcia najbliższych, bo przecież mama już nie żyła, a kilka ostatnich lat przed śmiercią to ona potrzebowała pomocy i opieki. Zdaje się, że wcześniej też, tak by wynikało z opowieści Staszka. A ojciec... Życie z alkoholikiem musi być koszmarne. Życie z agresywnym alkoholikiem – wprost nie do wyobrażenia. Nie pytałam Staszka, bo czułam, że to by było niezręczne, ale nie rozumiałam, dlaczego jego mama się nie rozwiodła. Po co jej był taki mąż? Po co małżeństwo, które nie dawało jej tego, co jest istotą małżeństwa: miłości, oparcia, poczucia bezpieczeństwa. Ale najbardziej męczyła mnie ta silna nić, która splotła Staszka z Witowem. Nie powinien tam jeździć, przecież to czysta destrukcja. Pracę w szkole rzucił. Ciotka jest dorosłą kobietą i musi sobie sama poradzić ze szwagrem. Dom – kiedyś go odziedziczy. Bez jego zgody ojciec go nie sprzeda, w końcu

Staszekowi też się należy część majątku. Nic, naprawdę nic nie powinno tam go ściągać. Chyba że...

Nie, to był absurd. Niemożliwe, żeby Staszek ukrywał przede mną coś takiego. Naprawdę miałam wrażenie, że połączyła nas duża zażyłość – nie tylko fizyczna, lecz także psychiczna, emocjonalna. Nie da się tak zbliżyć z drugim człowiekiem i jednocześnie go oszukiwać.

Na początku naszej znajomości błąkała mi się po głowie myśl, że Staszek jest uwikłany w jakąś romansową historię. Że ma w górach dziewczynę, narzeczoną, a może nawet żonę. I że nawet jeśli nie łączą go już z tą kobietą żadne formalne więzy, to jest coś, co nie pozwala mu całkowicie zerwać tej znajomości. Na przykład dziecko.

Teraz rozum wyśmiewał tę teorię, ale ponieważ nie znał faktów, które by tłumaczyły trochę jednak niepokojące zachowanie Staszka, to ustępował miejsca intuicji, a ona puszczała wodze wyobraźni.

W końcu powiedziałam sobie: dość. Takie zamartwianie się i dzielenie włosa na czworo do niczego dobrego nie doprowadzi. Postanowiłam pójść na spacer.

Lubiłam naturę, kojącą zieleń krajobrazów, ciszę lasów i pól. Ale lubiłam również spacerować po mieście. W Warszawie trochę mniej, pewnie dlatego, że rzadko były to wędrówki pozbawione konkretnego celu – zwykle szłam skądś dokądś, coś załatwić, kogoś odwiedzić. W Krakowie było inaczej. Kiedy byłam mała, to owszem, chodziłam z babcią po zakupy, miałyśmy wytyczone trasy i sprawunki do załatwienia. Nawet wtedy jednak babcia zawsze mi coś opowiadała, na przykład, że w tym miejscu był kiedyś kiosk ze sznurówkami i skarpetkami i to tu mama jej kupowała białe ażurowe podkolanówki i skarpetki z falbanką wokół kostki. A sklep żelazny obok istnieje tutaj, od kiedy ona pamięta, podobnie jak sąsiadujący z nim zakład rusznikarski. Poznawałam miasto jej oczami i z jej wspomnień; czułam się częścią tej historii, mimo że mama przerwała ogniwo i wyjechała do Warszawy. Ona jednak nie zabierała mnie na takie wędrówki, a nawet gdy zdarzyły nam się

dłuższe piesze wycieczki, to nie towarzyszyły im takie opowieści, co zresztą logiczne, bo dzieciństwo i młodość Dorota spędziła w Krakowie, nie miała więc żadnych dawnych wspomnień związanych z Warszawą.

Teraz szłam sama, powoli, bez celu, nie spiesząc się. Tym razem nie wybrałam Plant, tylko okalające je ulice. Lubiłam się przyglądać kamienicom: wytartym kamiennym stopniom przed solidnymi drewnianymi drzwiami wejściowymi, piwnicznym okienkom, do których wciąż jeszcze sypano węgiel, oknom – tym nowocześnie ubranym i tym z kołkowymi firankami. Lubiłam też obserwować ludzi; od razu rozpoznawałam, kto jest turystą, a kto mieszkańcem. Przyglądałam się staruszkom, zgarbionym, drżącymi rękami ciągnącymi za sobą niewielkie wózki zakupowe. Mamom, strofującym dzieci, żeby nie wybiegały poza obręb wąskich chodników na ulice, gdzie ruch tramwajowy musiał się mieścić wraz z ruchem samochodowym. Turystom, którzy, prowadzeni przez mapy i przewodniki, odhaczali kolejne punkty turystycznego Krakowa.

Ja już czułam się jak ktoś stąd. Ciekawe, jak szybko się dokonała ta przemiana. Może zresztą wcale się nie zmieniłam, może ten Kraków zawsze we mnie był, czasowo tylko przykryty Warszawą? Wszystkie najfajniejsze wspomnienia, najlepiej zapamiętane historie, najserdeczniejsze chwile – zostawiłam tu. Bo to, co się wydarza w dzieciństwie, zostaje w nas na zawsze. Niby trochę wbrew logice – pamiętać się powinno to, co najświeższe, a wcześniejsze wydarzenia powinny ginać w mroku słabnących wspomnień, ale tak się nie dzieje, ponieważ to nie tylko obrazy i fakty, lecz także mnóstwo emocji. Dzieci poznają świat żarliwie, łapczywie, wszystkimi zmysłami. Ufają, nie mają trosk, są wesołe. To dlatego dzieciństwo zwykle jest tą krainą szczęśliwości, do której się wraca myślami w dorosłym życiu. Lub wraca się naprawdę – jak ja teraz.

Właśnie mijałam Stary Kleparz. Na tablicy był napis Rynek Kleparski, ale ani babcia, ani prababcia nigdy tak nie nazwały tego

miejsca. Od ładnych paru lat targowisko było wyremontowane i uporządkowane, ale ja pamiętałam to miejsce sprzed lat, choć tu przychodziłyśmy rzadziej, bo to jednak był kawałek od naszych Trzech Lip. Trudno uwierzyć, że ten teren był kiedyś odrębnym miastem. Jeszcze trudniej, że nazywano je Florencją. Myślałam, że prababcia sobie ze mnie żartuje, ale babcia to potwierdziła. To wszystko z powodu kościoła Świętego Floriana, który tu zbudowano i w którym złożono relikwie świętego. Tak było przez kilka wieków, a potem ten teren włączono do Krakowa. Pamiętam, że na tym targu kupowałyśmy bakalie – duże, mięsiste rodzynki, bardzo słodkie, i suszone śliwki, których aromat wydostawał się ze spiżarni. To było w obrębie placu. Na zewnątrz, na chodniku, stały babuleńki, które sprzedawały towary z gazet rozłożonych na ziemi. Od nich babcia kupowała pietruszkę i bukiety ogródkowych kwiatów. Dziś nie wypatrzyłam takiego dzikiego handlu – cała sprzedaż odbywała się z ładnych, zadaszonych stoisk, a chodniki były ciasno obstawione samochodami. Bez względu na wspomnienia, przyjemnie było patrzeć na te kolorowe kompozycje z warzyw i owoców, wazony z kwiatami, poustawiane obok siebie i tworzące bajecznie pachnące kobierce, nęcące wiklinowe kosze z pieczywem. Nie do wiary, ale one też tam były – ciepłe lody. Nie wiem, skąd ta różnica, ale te warszawskie miały białą piankę, a te krakowskie – różową. Kruchy wafelek był wypełniony ubitym białkiem z cukrem, zabarwionym na ukochany kolor wszystkich dziewczynek, a na górze tkwiła ozdobna piankowa rozetka. Nabrałam językiem pierwszą porcję pianki – wciąż smakowała tak samo! Z zewnątrz lekko ścięta skorupka, a pod nią – puszysto-klejące nadzienie; niebotycznie słodkie, ale z wyczuwalną cytrynową nutą. Z rozkoszy przymknęłam oczy. Miałam wrażenie, że gdy ponownie je otworzę, zobaczę pod nogami nierówny bruk, a gdy wzniosę je do góry, przezroczyste daszki znikną. Znów będę na Starym Kleparzu z prababcią Emilią, która weźmie mnie za rękę i wrócimy do domu na rosół z pokrojoną w równą kostkę kaszą manną.



Te wspomnienia mnie ukoili i przypomniały, że pod pewnym względem dzieciństwo się nie skończyło – wciąż miałam obok siebie życzliwe mi dusze, które zawsze były gotowe mnie wesprzeć i przytulić – wtedy trzy, teraz dwie – to jeśli chodzi o więzy krwi. Miałam też Ankę i Jadzię. Krzepiąca myśl. Postanowiłam wykorzystać spacer na rozmowę. Babci nie będę zawracała głowy, w końcu pojechała do Olkusza, gdzie woli być tylko z panem Kazimierzem, a nie ze mną na doczepkę. Mama miała dziś iść do czytelnicy, więc jej też nie będę przeszkadzała. Do Jadzi zajrzę wieczorem, zatem teraz padło na Ankę.

– Poczekaj! – usłyszałam władczy rozkaz, gdy tylko Anka odebrała połączenie. Przez chwilę coś tam szurało, chrobotowało, ktoś coś mówił. – Dobra, wsiuliłam Zosię tacie, a sama mam teraz wolne ręce. I wolną głowę. Możemy gadać.

– A ty dokąd idziesz? – zainteresowałam się, bo Anka trochę posapywała, poza tym słyszałam coś jakby stukanie.

– Wychodzę. Z mieszkania wychodzę, bo gdy Zosia mnie widzi i czuje, to się do mnie wyrywa. Kiedy jej znikam z pola widzenia, uspokaja się. A słyszysz klapki, bo zapomniałam zmienić. Nie szkodzi, zaraz sobie siądę na ławce, to będzie ciszej.

Rzeczywiście, po chwili stukot ustał.

– A w ogóle to miło, że wreszcie raczyłaś się odezwać. – Udała obrażoną. – Co, chwilowo żadnego towarzystwa, to można do starej przyjaciółki zadzwonić?

– Jakbyś zgadła. Mimo że na ulicy, a nawet na targu, to sama jestem.

– No dobra, wiesz, że żartuję, to co tam słyszeć?

– Dużo. Nawet nie wiem, od czego zacząć.

– Od najważniejszego. Staszek?...

Westchnęłam. Takie proste i takie krótkie pytanie, a odpowiedź – wręcz przeciwnie.

– O! Czyli że źle? – Kiedy się zastanawiałam, jak składnie wyłuszczyć problem, Anka postanowiła podrażnić.

– Nie w tym rzecz, że źle. Po prostu skomplikowanie.

– Taaak... Mogłaś skorzystać z prostego i eleganckiego rozwiązania, ale ty jednak wolisz mieć w życiu pod górkę – stwierdziła ze słabo skrywaną satysfakcją. Wdzięczna jej byłam, że nie dodała: „A nie mówiłam?”.

– Te góry i górki mnie prześladują – westchnęłam. – Wszystko się wokół nich kręci. Pamiętasz, jak się ze mnie śmiałaś, że bym chciała życia jak w bajce, gdzie za siedmioma górami czeka na mnie coś wspaniałego, ktoś wspaniały? Tymczasem to rzeczywiście wyprawa wciąż pod górę.

– No dobra, ale mówi się też, że wiara góry przenosi. A twojej wiary, że to właśnie ten facet, który powinien być przy twoim boku, chyba żadne przeszkody nie naruszyły?...

– Nie, ja go naprawdę kocham.

Kwaciarka, obok której stanęłam, usłyszała to wyznanie, bo się promiennie uśmiechnęła, nawet nie udając, że nic nie dociera do jej uszu. Co więcej, sięgnęła do najwyższej ustawionego małego plastikowego wiaderka i wyjęła z niego bukiet niezapominajek, po czym wyciągnęła w moją stronę rękę i głośno szepnęła: „To kwiaty zakochanych, żeby nie zapominali. Weź, kochana”. Wzięłam ten niebiesciutki prezent, kiwnęłam głową i powiedziałam: „dziękuję”.

– A komu ty dziękujesz? – zdziwiła się Anka.

– Kwaciarczy. Usłyszała, że mówię, że kocham Staszka, i dała mi niezapominajki.

– To urocze. – Rozczuliła się Anka. – Ty jesteś przesądna, więc potraktuj to jak dobrą wróżbę. No i powiedz wreszcie, co ci leży na wątrobie.

– Teraz to ciepły lód. Jaja, cukier i barwniki. A martwię się życiem rodzinnym Staszka, bo ono jest bardziej skomplikowane i smutniejsze, niż przypuszczałam.

Opowiedziałam Ance o matce Staszka, jej chorobie, o alkoholizmie i przemocy ojca, o tym, jak ciężko mu było przez sporą część życia.

Anka milczała jeszcze chwilę po tym, kiedy skończyłam mówić, a potem, poważnie, bez zwyczajowej ironii stwierdziła:

– Rzeczywiście, arkadia dzieciństwa to nie była. Sporo przeszedł. Skoro jednak jest taki, jak opowiadasz, to znaczy, że z tej próby wyszedł zwycięsko.

– Widzisz, w tym właśnie rzecz, że on nie wyszedł z tego świata. On tam wciąż tkwi. I tego nie rozumiem.

– Myślę, że takie przeżycia odciskają piętno na całym życiu. Pewnie jest związany z tą ciotką, która jest mu bliska, bo zajmowała się jego mamą. To siostry?

Przytaknęłam.

– Więc gnają go do niej i wdzięczność, i pokrewieństwo. Z tego, co mówiłaś, to oprócz ojca ta ciotka jest jedyną krewną?....

– Chyba tak. Był starszy brat, ale zmarł w niemowlęctwie. Ciotka bezdzietna, wdowa.

– To by miało sens. Jest dla niego ważna.

– A ojciec? Jego już dawno powinien wykreślić z życia. A on w dalszym ciągu ma na niego wpływ.

– Mój wujek, to znaczy mąż ciotki, tej ze Szczecina, był alkoholikiem.

– Nigdy nie mówiłaś, to znaczy o niej tak, ale że miała takiego męża... – zdziwiłam się.

– Nie składało się. No i szczerze mówiąc, powodu do chwały nie było. No więc pił ten wujek. Ciotka, z charakteru podobna do mojej mamy, czyli władcza, stanowcza, a nawet upierdliwa, powinna sobie raz dwa poradzić z taką sytuacją, prawda?

– No... – potwierdziłam nieśmiało.

– A jednak nie. Poległa na całej linii. Tłumaczyła go, usprawiedliwiała, kryła wtopy, przejęła jego obowiązki. Dobrze, że choć dzieci nie mieli. Za to jego traktowała jak dziecko.

– Ale po co? – Próbowałam zrozumieć.

– To w ogóle nie w kategoriach logiki trzeba rozpatrywać. Namawiała wujka do leczenia, załatwiała mu jakieś terapie, na które on nie chodził, aż w końcu terapeuta jej powiedział, żeby wujka zostawiła w spokoju, a siebie ratowała, bo ona też jest chora, to znaczy współuzależniona.

– No ale Staszek sam powiedział, że już go los ojca nie obchodzi. To znaczy nie interesuje go jego picie, nie będzie się tym zajmował.

– No i super. Ale może ta ciotka ma problem? Może on czuje się zobowiązany nią zająć? Nie wiemy, to się okaże. Skoro już ci tyle opowiedział, to powie więcej. Nie naciskaj. Nie wydaje mi się, żeby to było coś złego.

– Oby. Bardzo bym chciała, żeby tak było. Zwłaszcza że innym się zaczyna układać.

– Tak? A komu na przykład? – ożywiła się Anka.

– Na przykład babci. Właśnie jest w Olkuszu, u pana Kazimierza. I wygląda, że coś z tego będzie.

– O, no widzisz. I to mimo tego, że on ma żonę.

– Ta żona jest... bardzo teoretyczna. Ona sama już nie wie, że ma męża, zresztą przed laty go opuściła.

– No przecież pamiętam, opowiadałaś mi – obruszyła się Anka. – Mam na myśli to, że historia jest inna, niż na pierwszy rzut oka wygląda. Ze Staszkiem też tak będzie, nie zdręczaj się. Pamiętaj – nie ma problemów nie do rozwiązania. Cmokam cię, bo już od dobrych kilku minut chce mi się siku. Będziemy w taczku, pa!

Nie ma problemów nie do rozwiązania, powtórzyłam sobie w myślach.

Doszłam do Domu Pod Globusem. Piękny ciemnoczerwony budynek – z wieżą, w której umieszczono zegar, a zwieńczono ją właśnie globusem. Już to by wystarczyło, żeby wzbudzić dziecięcą zachwyty i zainteresowanie, a przecież jeszcze były tajemnicze płaskorzeźby, zwłaszcza żaglowiec. Skąd tu, wiele kilometrów od morza, łódka?, zaciekawiałam się. Babcia mi wyjaśniła, że to symbol – tak dalekosiężne są kontakty handlowe Krakowa, bo w tym budynku przed wojną mieściła się Izba Przemysłowo-Handlowa. Podobne, nieograniczone, ogólnoświatowe możliwości miał wyobrażać globus. W albumie o starym Krakowie babcia pokazał mi pierwotny wystrój wnętrza kamienicy – coś pięknego! Wytworna klatka schodowa, gabinety, biura, nawet garderoba. No i sala posiedzeń z imponującym obrazem Mehoffera. A po wojnie...

Prywatny handel był solą w oku partii, więc go zlikwidowano. W Domu Pod Globusem rozsiadł się komitet PZPR, zmieniono wystrój, wyrzucono oryginalne meble i zamalowano polichromie. W latach dziewięćdziesiątych zaczęto przywracać budynkowi dawny blask i dziś wyglądał naprawdę pięknie.

Intrygujące było rozwiązanie, które wprowadzono po wojnie, ze względu na linię tramwajową. Ponieważ ruch pieszych byłby bardzo niebezpieczny, gdyby musieli obchodzić budynek wąskim skrawkiem chodnika, przebito część murów na parterze, tworząc w ten sposób podcienie i bezpieczne przejście pod filarami.

Tak, nie ma problemów nie do rozwiązania, powtórzyłam w myślach, ściskając w dłoni bukietek niezapominajek.

## Rozdział dwudziesty trzeci



*Kocham i tęsknię.*

Jak miło zostać obudzoną takim SMS-em. Jeszcze milej by było, gdyby Staszek wyszeptał mi te słowa do ucha, z głową na poduszce ułożonej obok mojej poduszki.

Niestety, dzieliło nas ponad sto kilometrów.

*Tęsknię i kocham* – odpisałam.

Wszystkie poradniki twierdzą, że człowiek najpierw wpada w obłąd, zauroczenie, czyli jest zakochany, a dopiero potem zaczyna kochać – kiedy ten amok już minie. Zakochanie według tej teorii dzieje się trochę bez naszego udziału. Do drugiej osoby pchają nas emocje i w tym czasie zupełnie odcinamy rozum od wszelkich decyzji, które podejmujemy. Miłość natomiast rodzi się później i jest efektem przywiązania, które zdążyło się wytworzyć podczas zakochania; w miłości rozum wreszcie dochodzi do głosu, a z czasem nawet wysuwa się na pierwsze miejsce, strofując emocje, które potrafią się bardzo różnić od tych pierwszych, sprzed lat, i nie zawsze działać na korzyść partnera/partnerki.

A ja byłam zakochana w Staszku i równocześnie go kochałam. Tak czułam i tak myślałam. Ciągnęła mnie do niego tajemnicza siła i świadomie chciałam z nim być. Wciąż był dla mnie zagadką, ale podziwiałam go za wszystko, co robił, choć były to sprawy najzupełniej przyziemne. Na myśl o nim serce waliło mi jak

oszałała, a zarazem czułam, że to człowiek opoka.

Absolutnie niezwykła mieszanka, westchnęłam, odkładając telefon. Dobrze, że jutro go zobaczę. Remont zbliżał się prawie do końca. Niewiele już było prac, które wymagałyby technicznych umiejętności Staszka. Teraz nadchodził czas na wyposażanie mieszkania w designerskie zdobycze ostatnich lat, takie jak szafy z suwanymi drzwiami i kuchenka elektryczna lub lodówka na przykład. Chciałam, żeby Staszek uczestniczył w tych wyborach, bo raz, że tak będzie mi różniej, a dwa, bo przecież miał tu ze mną mieszkać.

Zjadłam niespieszne śniadanie, zastanawiając się, jak spędzić tę samotną niedzielę. Musi być okrucieństwo prawdy w twierdzeniu, że ludzie, z którymi jesteśmy zżyci, potrafią odbierać nasze myśli, będąc nawet bardzo daleko od nas.

Jadzia była, co prawda, trzy piętra niżej, czyli dość blisko, ale też potwierdziła tę teorię, pukając do moich drzwi.

– Cześć, słoneczko. Nie obudziłam cię, mam nadzieję? – zapytała, siadając przy stole w jadalni.

– No skąd – oburzyłam się. – Nawet już zdążyłam umyć zęby po śniadaniu – dodałam z uśmiechem.

– Zuch dziewczyna... A jakie plany na dziś? Masz coś? Bo jeśli nie, to może ja bym miała dla ciebie propozycję... – Jadzia patrzyła na mnie tymi swoimi oczami, w których było samo dobro, a palcami kreśliła kółka po blacie, dziś odwróconym na szachową stronę.

– Proponujesz partyjkę? – Uśmiechnęłam się.

– Nie, nie szachy. Choć to, na co chciałam cię dziś zabrać, to też pewnego rodzaju gra, tyle że losowa. Pójdiesz ze mną do hospicjum?

Uśmiech natychmiast zamarł mi na ustach. Serce przyspieszyło, a dłonie zrobiły się chłodne. Byłam o krok od ataku paniki. Przez kilka tygodni, od kiedy poznałam Jadzię, osiągnęłam tylko tyle, że byłam w stanie w miarę spokojnie słuchać o jej pracy w hospicjum. Bardzo się broniłam przed emocjami, które jej opowieści wzbudzały, bo po prostu nie potrafiłam sobie z nimi poradzić.

Uwielbiałam Jadzię za to, jakim była człowiekiem. To, że towarzyszyła śmiertelnie chorym dzieciom, sprawiało, że byłam gotowa całować ziemię, po której stąpa. Ale pójść tam razem z nią?...

– Jadziu, nie zrozum mnie źle – zaczęłam cicho – ale ja się chyba nie nadaję.

– A byłeś już kiedyś w hospicjum? – zapytała pogodnie Jadzia.

– Nie, nigdy.

– No to skąd możesz wiedzieć, czy się nadajesz? Jesteś mądra i wykształcona, ale akurat tego typu wiedzę się zdobywa w praktyce. Pójdiesz i dopiero wtedy się przekonasz.

Logika nie do odparcia, ale strach był silniejszy.

– Jadziu, rany... Ja... przecież wiesz, że to nie o to chodzi, że ja nie chcę czy coś takiego. Nieba bym przychyliła tym dzieciom, wszystkim dzieciom zresztą, ale ja się po prostu boję własnych reakcji. Że się rozplączę czy coś takiego.

– A co jest złego w płaczu? To właśnie sposób na radzenie sobie z emocjami. Na początek można i tak. – Jadzia mówiła wciąż z tym samym spokojem i z tym samym uśmiechem. – Dzieci cię pocieszą.

Teraz wreszcie i ja się lekko uśmiechnęłam.

– Jeśli uznasz na miejscu, że naprawdę nie dajesz rady, to po prostu wyjdiesz, pójdiesz się przejść. I albo wrócisz, albo nie. I tyle.

Kiwnęłam głową. Pójść, wyjść, wrócić lub nie. Instrukcja była prosta.

– A co ja tam będę robić? – dopytałam. Żeby oswoić sytuację jeszcze bardziej, potrzebowałam jak najwięcej informacji i ustalonego planu działania.

– Poczytasz dzieciom książkę. One to bardzo lubią, poza tym wszystkie badania pokazują, że takie głośne czytanie ma też działanie terapeutyczne. Uspokaja, buduje więzi, a nawet zmniejsza odczuwanie bólu. Zobacz, co dziś zaniesiemy. – Sięgnęła ręką za oparcie krzesła. Dopiero teraz zauważyłam, że przyniosła ze sobą płócienną torbę.



Wyjęła z niej *Dzieci z Bullerbyn*. Jakie piękne było to wydanie! Z dzieciństwa zapamiętałam książkę z czarno-białymi ilustracjami. Ta była bajecznie kolorowa, a każda strona miała obrazki – fantastycznie narysowane postaci, krajobrazy, przedmioty. Od razu można się było zanurzyć w świat opowieści o sześciorgu dzieciach z trzech sąsiadujących ze sobą domów.

I zanurzyłam się. Z tej pierwszej wizyty nie zapamiętałam wiele – przede wszystkim tekst książki. Jadzia zaprowadziła mnie do jadalni, gdzie czekała na mnie grupka kilkorga dzieci, na oko w wieku od pięciu do dziesięciu lat. Polegiwały na miękkich pufach. Na mnie czekał fotel, ale wtedy nie mogłyby oglądać ilustracji, więc usiadłam na dywanie, po turecku. Dzieci uformowały kółeczko wokół mnie, a ja zaczęłam czytać.

Bardzo się wciągnęłam. Oczywiście znałam ten tekst, to od lat lektura szkolna, ale teraz czytałam go zupełnie inaczej. Astrid Lindgren tak fajnie pisała – niby była to zwyczajna historia o zwyczajnym życiu dzieci z małej osady, ale jak to było opowiedziane! Czuć było, że Lindgren lubiła i rozumiała dzieci, i traktowała je jak poważnych, dorosłych czytelników. Nie głaskała po główce, nie mrugała okiem, nie zdrabniała wyrazów. O życiu mówiła bez patosu i bez zbędnych emocji; brała je takim, jakie ono było. I zupełnie nie chodziło o to, że nie miała w sobie dość empatii, ona po prostu mówiła dzieciom, że są w życiu sprawy, na które nie mamy wpływu. Możemy i powinniśmy się starać, ale efekt końcowy nie jest w naszych rękach. Twarda prawda o życiu, którą można lukrować, którą można pomijać albo o której można opowiedzieć tak jak Lindgren. Doszliśmy do rozdziału, w którym Lisa opiekuje się jagniątkiem. Jedno jagnię umarło, życie drugiego wisiało na włosku, bo matka nie była w stanie go wykarmić. Tata powiedział Lisie, że może spróbować poić Pontusa mieszanką z mleka, ale wymaga to od niej ogromnej dyscypliny i regularności, a prawdopodobieństwo, że zwierzę przeżyje, nie jest duże.

Nie byłam w stanie powstrzymać łez, bo czytając ten fragment, od razu pomyślałam o siedzących przy mnie dzieciach.

- Czemu płaczesz? – zapytał chłopiec, chyba najmłodszy.
- Bo mi żal tego jagniątka – powiedziałam, wycierając łzy chusteczką.
- Ale ono będzie żyło i brykało, nawet pójdzie do szkoły z Lisą i wszyscy się będą śmiać. – Teraz odezwała się starsza dziewczynka, która, widać, już znała tekst.
- A mnie się najbardziej podoba, że ta Lisa tak się tym maluszkiem zajmuje. I wcześniej wstaje, że go karmić – dodała inna dziewczynka.
- No właśnie. I nie płacz, bo jedno umarło, ale drugie żyje. – To znowu ten młodszy.
- W tym momencie zajrzała do sali Jadzia, pewnie żeby sprawdzić, jak sobie radzę. Spojrzała na mnie pytająco.
- To przez jagniątko, ale już wszystko dobrze, czytam dalej. Wydmuchałam nos i wróciłam do lektury.

\* \* \*

- I jak? – zapytała Jadzia, gdy wracałyśmy na Wiślną.
- Dobrze. O dziwo i pominiawszy te łzy, które widziałas, to bardzo dobrze. Czuję się taka... szczęśliwa.
- No proszę. Czyli właśnie odkryłaś, na czym polega wolontariat. Czasem trudno powiedzieć, kto więcej dostaje – czy wolontariusz, czy ten, którym on się opiekuje.
- Żebyś wiedziała, Jadziu. – Pokiwałam głową. – Jest mi tak błogo, że mogłam zrobić coś dobrego, że normalnie czuję, jakbym się lekko nad ziemią unosiła!
- Mam nadzieję, że to ci nie minie i będziesz czasem do nas wpadała? Przynajmniej dopóki nie będziesz miała swojego dziecka... – I znowu ten uśmiech.
- Będę, obiecuję ci to. Mam jeszcze trzy miesiące wolnego, a potem też wygospodaruję czas. A co do dziecka, to... chyba zbyt szybkie plany. My ze Staszkiem nie prowadziliśmy takich rozmów o przyszłości...

– Dzieci się nie biorą z rozmów, pani magister. – Dołączki Jadzi objawiły się w pełnej krasie.

– Ha, ha, ha, no boki zrywać. Tyle to ja wiem. A ty wiesz, Jadziu, ile par obecnie ma problemy z zejściem w ciążę? Co czwarta. I to jest problem, który wraz z wiekiem się nasila. U kobiety płodność spada już po trzydziestym roku życia. I im dalej w lata, tym gorzej. Po czterdziestce to...

– A ty chyba nie jesteś po czterdziestce, co? Teraz to się, co prawda, pozmieniało, i czterdziestka to nowa dwudziestka, ale raczej chodzi o wnętrze, a nie o zewnętrzną powłokę. Choć przyznaję, wyglądasz świetnie. Miłość ci służy.

– Dzięki, Jadziu. No do czterdziestki mam jeszcze kilka lat. Chcę tylko powiedzieć, że statystycznie...

– Słońce, statystyka sobie, a życie sobie. Organizm to nie szwajcarski zegarek, tylko raczej rosyjska ruletka. Ale dzieci chcesz mieć, prawda?

– Pewnie. Jak patrzę na Ankę i Zosię... No, może gdy się Zosia drze tak, że własnych myśli nie słyszę, to... to i tak bym chciała. Ale pojęcia nie mam, czy Staszek też by chciał, bo o tym jeszcze nie rozmawialiśmy. On sam ma nie najlepsze doświadczenia z bycia dzieckiem, więc...

– Lubi dzieci, bardzo. Kiedy mi tę elektrykę robił, to sobie troszkę pogadaliśmy. I jeszcze potem, gdy ten samolocik sklejał. To ciepły facet i dużo tego ciepła mógłby dać dzieciom, jestem o tym przekonana. Zresztą niedługo pewnie sam ci o tym powie. A kiedy wraca?

– Miał mi dać znać. Po cichu liczę, że może jeszcze dziś.

\* \* \*

Niestety, po południu się okazało, że Staszek wróci dopiero w poniedziałek, i to pod wieczór. „Pierwszą połowę dnia muszę spędzić w Witowie” – napisał mi. Cóż, druga połowa też dobra, pomyślałam, zwłaszcza że zawiera wieczór. I noc... I właśnie te

klimaty plus rozmowa z Jadzią zmotywowały mnie do podjęcia wątku dziecka ze Staszkiem. To znaczy na razie wręcz przeciwnego wątku, czyli antykoncepcji. Cóż, nasza dotychczasowa bliskość była fantastyczna, wrząca, pełna uniesień i wyrzucająca nas na orbitę, gdzie łączność z rozumem nie istniała. Co prawda, mój organizm był taki jak ja do niedawna, czyli zdyscyplinowany jak w wojsku, ale skoro ja się mogłam zmienić, to może on też?...

## Rozdział dwudziesty czwarty



Zwierz się, nawet cicho, nawet tylko sobie, ze swoich marzeń i pragnień, a los od razu ci przytrze nosa.

Czekałam z niecierpliwością i utęsknieniem na poniedziałkowy powrót Staszka z gór. Chciałam mu opowiedzieć o samotnym spacerze po Krakowie i miłym goście kwiaciarki, o niedzielnym przedpołudniu w hospicjum i emocjach, które ta wizyta we mnie wywołała. O tym, że tęskniłam i było mi go brak. Że w tak krótkim czasie zajął tak ważne miejsce w moim życiu i że bardzo bym chciała, żeby już na tym miejscu został.

Wiele chciałam Staszкови powiedzieć, a przede wszystkim – po prostu z nim być.

Zanurzona w tych planach i marzeniach, powoli i dokładnie czyszcząc rzeczy wyciąganie ze spiżarni i rozkładane w salonie oraz jadalni, odebrałam telefon od mamy. Zamiast łagodnego powitania spadł na mnie wypowiedziany wojskowym tonem komunikat:

– *Emergency!* Klara, jest akcja.

– Rany, mamo, co się stało?

Ton nie zwiastował poważnego nieszczęścia, bo mama mówiła zbyt energicznie jak na dramat, ale ewidentnie wydarzyło się coś, co wprowadziło zamęt. A skoro dzwoniła do mnie, to ten zamęt zapewne dotyczył nie tylko jej życia, lecz także mojego. Ale co wspólnego – i tak ważnego – mogło się przydarzyć nam obu?...

- Jeszcze nic, ale się stanie. – Mama była jak nakręcona.
- Byłaś u wróżki? – zagadnęłam wesoło.
- *Very funny* – prychnęła mama. – Gdy ci powiem, to się nie będziesz śmiać.
- To może mi nie mów – zaproponowałam już poważniej.
- Muszę, bo się plan sypie. Otóż dzisiaj rano zadzwoniła do mnie koleżanka, żona znajomego tłumacza. Jest sekretarzem sądowym. Widziała moje nazwisko w spisie spraw, które mają być niebawem na wokandzie.
- W piątek, za cztery dni.
- To już nieaktualne.
- Ale dlaczego?... Przecież żadne pismo do nas nie przyszło. To znaczy do ciebie, bo ja tu nie dostaję poczty, nie zmieniałam jeszcze oficjalnie adresu. Mamo, czy ty coś przegapiłaś? Nieopatrnie wyrzuciłaś? Nie odebrałaś? – To by było podobne do Doroty. – Mamo, powiedz, obiecuję, nie będę się denerwować.
- Już się denerwujesz – stwierdziła mama. – A pismo nie przyszło i nie przyjdzie. Gdybyśmy się stawiły w piątek w sądzie, przeczytałybyśmy informację, że nasza sprawa spada z wokandy, podobnie zresztą jak wiele innych rozpraw, i zostanie przełożona na późniejszy, teraz nieokreślony termin.
- No jak przełożona, mamo? Bez powodu, bez powiadomienia?
- Będzie powód. Strajk urzędników sądowych. Wszyscy, prócz sędziów, pójdą na zwolnienia. Zastępstwa się znajdują tylko w przypadku najważniejszych, niemogących czekać spraw. Nasze dziedziczenie się nie zalicza do tej puli. Babcia umarła, nic w tej kwestii się zmienić nie może. Mieszkanie też nie zajac. Kolejny termin zostałby wyznaczony już po wakacjach, i po tych wszystkich sprawach, które się teraz skumulują, co w sumie dałoby przyszły rok.
- No nie, to jakiś absurd. Zdecydowanie wolałabym to już przeprowadzić.
- *My sentiments exactly!*
- No ale co możemy zrobić? Strajk to siła wyższa, nawet się nie

dziwię, jeśli zarabiają mało.

– Bardzo mało. Ja też mam duszę rewolucjonistki, będę im kibicować. Ale jest rozwiązanie. Otóż ta koleżanka zadzwoniła, bo może nas wcisnąć na jutro. Podjechałabym dziś, podpisała powiadomienie o poinformowaniu o zmianie terminu i gotowe. Prawie.

– A tak można?

– Nie dopytywałam aż tak dokładnie. – Mama zrobiła znaczącą przerwę w wypowiedzi. – Ale skoro sekretarz sądowy to przyklepuje, to ja nie będę świętsza od papieża. To nie leży w mojej naturze.

Zdecydowanie, pomyślałam. Zresztą czasem lepiej nie wiedzieć za dużo. Sen wtedy zdrowszy, a ja ostatnio często się nie wysypiałam.

– No dobrze, czyli to w sumie pozytywna wiadomość, bo uda nam się uniknąć problemów.

– W sumie tak. Tyle tylko, że rozprawa odbędzie się o dziewiątej rano. A my jeszcze potrzebujemy poświadczonego notarialnie oświadczenia babci, które ona ma podpisać dziś w południe. A ja ten dokument muszę do dziewiętnastej dostarczyć do sekretariatu, do tej koleżanki.

– No to...

– No to się zbierasz, kochana. Pakuj, co trzeba, bierz od babci adres notariusza, potem gorący jeszcze dokument z pieczęcią do teczki i na dworzec!

Zostałam z telefonem przy uchu, zadaniem do wykonania, narastającym stresem, za to bez nadziei na spotkanie ze Staszkiem.

Czy oczekiwania, że moje życie wreszcie zacznie płynąć jak spokojna rzeka, były zbyt duże?... Jak nie mielizny, to wodospady.

\* \* \*

Zadzwoniłam do babci – właśnie wychodziła do notariusza. Oczywiście wybrała kancelarię w Nowej Hucie, żeby mieć blisko.

I równie blisko na pocztę, skąd poleconym priorytetem dokumenty miały powędrować na nasz warszawski adres. Sama sprawa w sądzie też, na skutek starań i różnych prawnych zawiłości, została wyznaczona w Warszawie, a nie w Krakowie, no bo przecież miało nam być łatwiej – mamie dojechać spod Suwałk do Warszawy i mnie – w stolicy mieszkającej. A tu, proszę, kolejny chichot losu.

Karnie odczekałam w poczekalni u notariusza, a potem na odpisy dokumentu, nerwowo zerkając na zegarek. Później, ucałowawszy babcię, wsiadłam do taksówki i pojechałam na dworzec, gdzie wsiadłam w pendolino.

Próbowałam nie myśleć, ile mnie to kosztowało. I nie żałować wieczoru, którego nie spędzę ze Staszkiem.

Masz wpływ – zmieniaj. Nie masz – akceptuj. Mantra pana Piecyka.

Patrzyłam na śmigające za oknem krajobrazy i akceptowałam.

Jeszcze ten jeden raz do warszawskiego życia, a potem powrót w objęcia Krakowa i mojego chłopaka.

\* \* \*

Mama czekała na mnie na peronie, tak jak obiecała. Poczulałam się jak w liceum, gdy przyjeżdżała mnie odebrać ze szkolnej wycieczki.

– Siedemnasta trzydzieści. Doskonały czas, *sweetie* – powiedziała, całując mnie w policzek.

– Ale jakim stresem i wysiłkiem okupiony. Umrę młodo, jak sportowcy, którzy narazili swoje organizmy na nadludzki wysiłek – oznajmiłam posępnie.

– A skąd! Majewskie są długowiecznie. Poza tym powiem ci, że świetnie wyglądasz. Tak promiennie, kwitnąco wręcz. Stres ci najwyraźniej służy.

Popatrzyłam na mamę z powątpiewaniem.

– Stres nikomu nie służy. Stres zabija. Wyjątkiem są dramatyczne sytuacje, gdy stres mobilizuje do działania i dzięki temu udaje się przeżyć.



– No to właśnie jest taka sytuacja. Chodź, bo to najgorsza pora korków i może się okazać, że półtorej godziny nam nie wystarczy, żeby dotrzeć do sądu.

\* \* \*

Wystarczyło, choć z trudem.

Warszawa po południu była koszmarem. Wszystkie ulice zapchane, nerwowa atmosfera, hałas i smród. Wydawałoby się, że gdy dotrzemy na miejsce, sukces mamy już w kieszeni. A gdzie tam – znaleźć skrawek chodnika, żeby zaparkować, graniczyło wręcz z cudem, a przecież mama miała małe miejskie autko, żadną wypasioną, wielgachną terenówkę. Zrobiła kilka kółek wokół budynku sądu i wreszcie zrezygnowana zaparkowała na kopercie, pod znakiem, że to tylko dla pracowników sądu.

– Nie patrz na mnie z potępieniem – westchnęła. – Chciałam być uczciwą obywatelką, no przecież widziałas. Ale urzędnicy mi to uniemożliwiają. Nie dość, że parkowanie tyle kosztuje...

– Po osiemnastej jest chyba za darmo – wtrąciłam, bo zawsze staram się być uczciwa.

– No może. Ale skoro za darmo, to nie znaczy, że nie należy szanować mieszkańców i kazać im parkować na dalekich Bielanych, gdzie znajdują wolne miejsca, podczas gdy mają sprawę na Mirowie. Powinni budować parkingi podziemne, jak w cywilizowanych miastach europejskich. Fakt, irytuję się, bo się odzwyczaiłam. W puszczy nie miałam tych problemów.

– Ja też się odzwyczaiłam. W Krakowie wszędzie chodzę na piechotę.

– Czyli pod każdym względem dobrze wybrałaś swoje miejsce do życia.

– Moje będzie, gdy się wyrobisz do tej koleżanki. Leć, mamó, bo masz kwadrans. Bez dwóch minut.

Mama pobiegła, a ja zostałam w aucie, modląc się, żeby nie zaczepił mnie pracownik ochrony sądu, straż miejska czy inna

służba porządkowa. Tym razem jednak los był łaskawy i absolutnie nikt nie zwrócił na mnie i na nasze autko uwagi.

\* \* \*

– Pyszne było to wszystko. – Pogładziłam się po brzuchu, odsuwając się lekko od stołu. – Widzę, mamó, że polubiłaś gotowanie.

– To już od jakiegoś czasu. W puszczy było trochę inaczej, bo Marek nie przepadał za „zieleniną”, jak nazywał moje wegetariańskie upodobania żywieniowe. Ja natomiast nie miałam ochoty na mięso, i to w tradycyjnym wydaniu, więc tak się kulinarnie rozjeżdżaliśmy.

– W ogóle się rozjeżdżaliście – zauważyłam. – Aż do skrzyżowania, na którym ty skręciłaś, a on został na głównej drodze.

– No, fakt. Zresztą powiem ci, że teraz, kiedy patrzę na to z oddalenia, to widzę, jak dużo nas różniło. Dopóki seks... zresztą już ci mówiłam. Nie było sensu wciąż chodzić na kompromisy. Kiedy codzienność z drugą osobą zaczyna cię uwierać jak kamyk w bucie, to trzeba się zastanowić, czy tych butów nie zdjąć.

– A nie zmienić na inne buty? – zapytałam. – Przecież boso chodzić nie będziesz.

– A, to jak kto lubi. Ja na przykład – mama wysunęła spod stołu stopę, bez kaptka i skarpety – lubię chodzić boso. – A Marek – nie. Co więcej, okazało się, że ma już nowe buty.

– Znaczą jakąś kobietę? A skąd ty to wiesz?

Byłam zdziwiona. Wydawało mi się, że mama zrujnowała Markowi życie, pozostawiając go samego w miejscu, które nie jest gęsto zaludnione, więc szansa na nowy związek niewielka. A tu – proszę.

– Sam mi powiedział. To znaczą napisał. „Wolałbym, żebyś się dowiedziała ode mnie, tak będzie elegancko”. W sumie ma rację, przecież nie zerwaliśmy ze sobą kontaktu, a on się nie obraził za to

moje odejście. Więc teraz na moim miejscu jest Jola, fryzjerka z Suwałk. Znam ją zresztą, miła dziewczyna.

– Dziewczyna? To ile ona ma lat?

– Tyle co ja, mniej więcej. – Mama się roześmiała. – Ale też jest wesoła, a ja oceniam po wnętrzu, nie po powłoce.

– I zupełnie nie jesteś... zazdrosna? – zapytałam niepewnie.

– Skąd! Jak najlepiej im życzę. Mam być jak pies ogrodnika?

– Nie, oczywiście, że nie. A tobie jak jest, mamó, tak w ogóle?

– Dobrze, małpeczko, naprawdę dobrze. Na razie przypominam sobie, jak się mieszka w Warszawie, odrabiam zaległości towarzyskie, chodzę po mieście, oglądam, ile się zmieniło. Jakbym wróciła z dalekiej podróży. – Mama się uśmiechnęła. – Czasem naprawdę jest dobrze pobyć samemu, to znaczy ze sobą tylko. To też interesujące towarzystwo. A, no i pracuję dużo, i to z prawdziwą przyjemnością. Historia nie była dotąd moim konikiem, ale to jest bardzo dobrze napisane, tak że masz poczucie, jakbyś czytała powieść – czasem sensacyjną, czasem szpiegowską, a czasem obyczajową. Oczywiście, nie zmienia to faktu, że muszę zachować czujność i dbać o stronę merytoryczną. Mam już wypisane kwestie do konsultacji, dam ci na pendrivie i poproszę o przekazanie Staszce, bo nie mogę czekać do oficjalnego naszego poznania, które zresztą, mam nadzieję, niebawem nastąpi. Bo nastąpi, prawda? – Mama spojrzała wyczekująco.

– Pewnie, mamó. Ale tym razem ty przyjedziesz do Krakowa. Ja już wykorzystałam limit przejazdów na ten rok, więcej PKP na mnie nie zarobi.

– Przyjadę, no pewnie. Tak to sobie ustawię, żeby za jednym razem poznać dwóch chłopaków: matki i córki. I pomyśleć, że kiedyś to ja tak szalałam. Powiem ci – mama nachyliła się do mnie – że to jest zdecydowanie najfajniejsze w życiu.

– Faceci?... – zapytałam.

– Nie. Niespodzianki.

\* \* \*

W sądzie za to odbyło się bez niespodzianek. Rozprawa trwała krótko; sędzina odczytała formułki, które brzmiały jak kazanie po łacinie, ale koniec był już bardziej po polsku i wynikało z niego jednoznacznie, że mieszkanie w Krakowie na ulicy Wiślniej trzy mieszkania trzynaście staje się moją własnością. To znaczy po uprawomocnieniu się wyroku, żeby już tak do końca trzymać się litery prawa, no ale co się mogło zmienić w tej kwestii? Nic, zgodnie uznaliśmy z mamą i poszliśmy uczcić pomyślnie zakończenie sprawy i formalne rozpoczęcie mojego krakowskiego życia.

– A skąd ty znasz takie miejsca? – zapytałam Dorotę, siadając przy stoliku.

Indyjska knajpa, do której zaprowadziła mnie mama, mieściła się w centrum Warszawy, ale żeby do niej dojść, trzeba było przejść przez pusty plac, minąć ogołoconą z okien i drzwi kamienicę, której naga czerwień cegieł od razu odsyłała myśli do lat wojennych, i otworzyć drzwi budynku, który był przyklejony do jakiejś starej drukarni. A to wszystko kilkaset metrów od Pałacu Kultury i Nauki.

– Z polecenia. I czuję, że będzie smacznie, bo zobacz, ile tu mają swoich ziomków.

Rzeczywiście, trzy czwarte stolików zajmowały osoby o hinduskiej urodzie. Zamówiliśmy dania i dziesięć minut później musiałam przyznać, że leniwe i pomidorowa babci zyskały silną konkurencję. Zawsze mnie to fascynowało, jak danie zrobione z kilku prostych składników – tutaj ser paneer, czyli coś w rodzaju twarogu, tylko lekko zakwaszonego cytryną, zanurzonego w sosie pomidorowo-śmietanowo-orzechowym i podanego z ryżem jaśminowym – może wprawić kubki smakowe w takie drzenie. Zapach, oszałamiający orientem, jedwabista gładkość sosu, przyjemna chropowatość kawałków sera – och, ależ to było nieprzyzwoicie dobre!

– Rany, czuję, że chce mi się spać. Za dużo zjadłam, organizm nie radzi sobie z taką porcją kalorii, choć ostatnio go wcale nie oszczędzam, skoro Poziomka jest tak blisko. Nie mam wagi, ale

wydaje mi się, że przytyłam.

– E, wreszcie wyglądasz jak człowiek. Kiedy cię ten twój lowelas rzucił, tobie się to rzuciło na urodę – zmarniałaś, zszarzałaś, skurczyłaś się. Teraz po prostu dochodzisz do siebie. Wyglądasz bardzo ładnie, wreszcie kobieco.

– Dzięki, mamó. A wcześniej to jak wyglądałam, jeśli mogę zapytać? – Lekko się dąsnęłam.

– Dziewczeco. To chyba nie tylko węglowodany z Poziomki, lecz przede wszystkim miłość, co? – Mama przyglądała mi się z czułością.

– A to aż tak widać?

– Ja widzę. I powiem ci, *sweetie*, że bardzo ci do twarzy z tą miłością. Nie zdążyłam poznać Staszka, ale jeśli jego towarzystwo tak ci służy, to musi być to. A powiedz, bo kiedy byłam w Krakowie, to nie było okazji, żeby tak na spokojnie porozmawiać...

– No wiem. Jan Majewski...

– Nawet mnie nie denerwuj! Ja bym go przeniosła! Pamiętaj, że w tym grobie są cztery miejsca. Został jeden poziom, czyli miejsce na jedną trumnę. Albo cztery urny. Wszystkie możemy tam leżeć, a ja z nim nie chcę.

– Mamó, ale po takim czasie to z niego już tylko kosteczki zostały. Zostawmy go, niech pamięć o nim zniknie, i już.

– Nie mam nic przeciwko, ale teraz to ty sama go wywołałaś.

– A, bo tak mi się skojarzył. Ze Staszkiem.

– Jak to ze Staszkiem? – Mama patrzyła w osłupieniu. – Jeżeli Staszek w czymkolwiek przypomina tego drania, to natychmiast go rzucasz!

– Nie, nie, nie przypomina – zaprzeczyłam gwałtownie. Mama zachowała się jak najczulsza kwoka, chcąc chronić swoje pisklę przed niebezpieczeństwem. – Nie on, jego ojciec.

Opowiedziałam mamie o spotkaniu nad Wisłą i na Plantach i wyjaśniłam, jak przez lata wyglądało życie rodzinne Staszka.

– Rodzinne, dobre sobie – zachnęła się mama. – Zawsze twierdziłam, że lepiej być samotnym rodzicem niż rodzicem

fundującym dziecku piekło takiej patologii. Tradycyjna rodzina, jak to czasem zwodniczo brzmi.

– Staszek nie obwinia mamy.

– Nie, no pewnie. Widać nie potrafiła odejść od męża. Szkoda, że nikt jej nie wspierał, znaczy nikt poza nim. Ależ to musiało być dla niego obciążające...

– I dlatego nie rozumiem, po co tam jeździ.

– Najwyraźniej ma powód, nie draż. Co innego, gdyby sam poprosił o pomoc – wtedy wspieraj.

– Tak samo mówią babcia i Jadzia.

– A ile musisz mieć tych głosów, żebyś posłuchała rady?

– Starczy już. – Uśmiechnęłam się. – Mamo, zbieramy się? Może bym złapała jakiś popołudniowy pociąg?

– Już chcesz wracać? – W głosie mamy usłyszałam nutę żalu. – Bo pomyślałam sobie, jeśli się zgodzisz oczywiście, że byłoby miło, gdybyś została jeszcze jeden dzień. Teraz, kiedy już masz to mieszkanie, gdy czeka w nim na ciebie twój facet, to wiadomo, że to się dokonało. Wracasz i zaczynasz nowe życie. A ja bym chciała jeszcze przez moment, przez kilkanaście godzin, potowarzyszyć ci w tym starym życiu. Wiem, obie wiemy, że nie zawsze poświęcałam ci tyle uwagi, ile chciałaś, ile potrzebowałaś. Żyłam w pędzie, brakowało chwil, by się zatrzymać, poza tym uważałam, że jeszcze na wszystko mam czas. Ten dodatkowy dzień to byłoby takie nasze pożegnanie. Możemy razem popakować twoje rzeczy, przejrzeć szafy, spalić zdjęcia Pawła, pomalować paznokcie u stóp, zrobić sobie popcorn i obejrzeć *Mamma Mia!*. Co chcesz. Gdy byłaś młodsza, rzadko mogłaś wybierać, to teraz, proszę – mówisz i dostajesz. To jak?

– Zgoda, mamo. – Ścisnęłam jej dłoń.

I po raz pierwszy od wielu lat, a może nawet po raz pierwszy w całym życiu, pomyślałam, że fajnie być jedną z Majewskich.

## Rozdział dwudziesty piąty



Z czułych ramion mamy wróciłam w czułe ramiona Staszka.

Z Warszawy wyjechałam pod wieczór, bo ranek i przedpołudnie spędziłyśmy z mamą wspomnieniowo i rekreacyjnie. Pojechałyśmy do Powsina, gdzie mama na ubitej leśnej drodze uczyła mnie jeździć na dwukołowym rowerze. Miałyśmy tu wtedy blisko, pierwsze lata życia spędziłam w ursynowskich blokach. Zapamiętałam to miejsce jako leśne ostępy, od czasu do czasu urozmaicone skrawkami pól, z pyłącą gruntową drogą, która całkiem dobrze amortyzowała upadki podczas pierwszych prób jazdy na rowerze bez wspomagania, czyli kijka przyczepionego do bagażnika.

Teraz z trudem rozpoznawałam te tereny. Zamiast natury – cywilizacja: ogrodzony parking, asfalt, budki z napojami i lodami, boiska, plac zabaw. I, jak się okazało, wytyczono tu dodatkowe dojście do ogrodu botanicznego, do którego do tej pory trzeba było jechać okrężną drogą, przez Wilanów.

Skorzystałyśmy z okazji i poszłyśmy tam, bo koniec wiosny to idealny czas na oglądanie kwiatów i rozpasanej przyrody.

Było pięknie. Spokojnie, pustawo, w końcu środek tygodnia i godziny pracy. Powylegiwałyśmy się na trawie, przeszłyśmy tunelem z żywopłotu, poszłyśmy na lody do małej kawiarni w stylu eko, gdzie cały wystrój był zrobiony przy użyciu elementów

z ogrodu: pni, kory, mchu, gliny i roślin. A na koniec postanowiłyśmy wstąpić do szklarni. Było tam kilkanaście stopni cieplej, wilgotno jak nad Amazonką i pachniało tak, jakby ktoś tu rozlał wiele buteleczek mocnych perfum. Przeszłyśmy całą zieloną wystawę, a kiedy już byłyśmy przy wyjściu, zobaczyłyśmy kącik z roślinami na sprzedaż. Pod ścianą stały piękne drzewka cytrusowe.

– Zobacz, jakie ładne. – Wzięłam mamę za łokieć. – Pięknie by wyglądało takie drzewko przy oknie. W dużej glinianej donicy, kwitnące wiosną, owocujące latem, pocieszające w jesienne szarugi. Muszę się rozejrzeć w Krakowie za takim okazem. Mieszkanie babci, to znaczy moje mieszkanie – poprawiłam się – jest wysokie i na tyle duże, że mogę mieć taką roślinę.

– A może tu byśmy kupiły takiego cytrusa, co? Miałabyś pamiątkę z tego naszego fajnego dnia. I podobno mam dobrą rękę do kwiatów, więc szansa na sukces ogrodniczy większa.

– Wszystko super, mamó, ale ja wracam pociągiem, a nie tirem. Nawet do twojego auta byśmy nie dały rady wstawić żadnego z tych drzewek. – Popatrzyłam na sprzedawane okazy. Były mniej więcej mojej wysokości.

– Te to się nie nadają, oczywiście – przytaknęła mama. – Ale to drzewko... – Podeszła bliżej roślin, nachyliła się w kierunku okna, przy którym były ustawione, i wsunęła rękę między soczyście zielone liście. – To by się nadało znakomicie.

W wyciągniętej w moją stronę dłoni trzymała drzewko cytrusowe. A właściwie drzeweczko. Lub nawet drzewunio. Miniaturową kopię okazów ustawionych na ziemi. Cienki pień obsypany drobnymi listkami.

– Ależ to chudzinka – stwierdziłam.

– Każde rosło drzewo, zanim się nim stanie, jest taką chudzinką – zauważyła mama.

– O ile dożyje do takiego etapu. – Byłam sceptyczna. – Tu ma cieplarniane warunki – wprost i w przenośni. A w domu, bez doświadczenia w hodowli...



– Ale przecież ty się znasz na roślinach. I je lubisz. – Mama w każdej sytuacji szukała tylko pozytywów.

– Owszem, mamo. Na ziołach. Zwłaszcza tych ususzonych. – Ja trzymałam się faktów.

– Zaryzykujemy. Kupię cię tę cytrusową kruszynę jako kwiatek na nowy dom. Zobaczysz, że sobie poradzisz.

\* \* \*

W pociągu postawiłam doniczkę, zawiniętą w szary papier, na siedzeniu obok. Panią, która przyjmowała od mamy pieniądze, zapytałam po cichu na boku o nazwę tego zielonego badyłka. Na wszelki wypadek, gdyby jednak zmarniał. Mogłabym wtedy kupić inny okaz i udawać, że nic się nie stało, a nie tylko mama ma rękę do kwiatów, bo ja także. Byłoby mi podwójne przykro, gdyby moje drzewko umarło – za siebie i za mamę.

\* \* \*

Na peronie czekał na mnie Staszek.

– Dzień dobry, Merido. – Uśmiechnął się na mój widok.

Znowu miałam na sobie tę zieloną sukienkę z lumpka, w której zobaczył mnie pierwszy raz. Na tym peronie zresztą, na którym teraz staliśmy.

– Widzę, że jesteś na bieżąco z repertuarem kinowym dla dzieci. – Zaśmiałam się. Filmu z oczywistych powodów nie oglądałam, ale pamiętałam plakaty – uroczą (w mało disneyowski sposób, to znaczy zdecydowanie nie w typie Śpiącej Królowej) dziewczynę z burzą rudych loków i w zielonej sukience.

Staszek spojrzał nam nie jakoś dziwnie.

– No przecież żartuję. – Poklepałam go czule po ramieniu. – Poza tym to porównanie jest całkiem trafne. Stęskniłam się – powiedziałam już całkiem poważnie.

– Ja też. Nawet nie wiesz, jak bardzo. – Przyciągnął mnie do

siebie i mocno przytulił. – Cieszę się, że już wróciłaś. Nigdy bym nie przypuścił, że spanie w pojedynkę może być takie smutne. – Delikatnie odsunął mnie od siebie, na tyle tylko, by uzyskać odpowiednią przestrzeń do spotkania naszych ust. Świat dokoła znów zawirował, jak wtedy, kilka tygodni temu.

Nie tylko mama zrobiła mi botaniczną niespodziankę. O ile jednak jej prezent miał rosnąć i trwać w zielonej postaci, o tyle Staszek wybrał formę nietrwałą, ale bardzo romantyczną. I mocno aromatyczną.

Już w przedpokoju zauważyłam kilka płatków róży na podłodze. W pierwszej chwili pomyślałam, że to może z tego gigantycznego bukietu od Maćka, który wciąż stał w spiżarni, częściowo już ususzony, ale nie – płatki były świeże i błyszczące.

Nim zdążyłam coś powiedzieć, przeszliśmy do jadalni, gdzie aksamit płatków wytyczał wąską ścieżkę do salonu. Zrozumiałam, że to niespodzianka. I domyśliłam się jaka.

Staszek nic nie mówił, tylko mi się przyglądał.

Przeszłam dalej. W dużym pokoju wąska dróżka zmieniała się w różane pole. Płatki równomiernie pokrywały podłogę i łóżko.

Może to był sztampowy pomysł. Scena jak z romansu, ograna wiele razy, ale mnie chwyciła ze serce, ponieważ nie wyczułam tu żadnej fałszywej nuty.

– Mówiłaś, że wolisz dostawać małe bukiety, ale musiałbym objechać wszystkie krakowskie kwiaciarki, żeby starczyło stokrotek... Poza tym zrobiłem próbę i ich płatki łaskoczą. Róże są jednak niezrównane – gładkie, błyszczące, jak jedwab. Chodź – powiedział, biorąc mnie za rękę – zobaczysz, jak się na nich leży.

Leżało się cudownie. Na różanych płatkach, pod różanymi płatkami, z płatkami we włosach – we wszystkich tych konfiguracjach.

– Jesteś fantastyczna. – Staszek delikatnie przesunął płatkiem po mojej skórze. – I jest mi z tobą fantastycznie. Delikatna jak niezapominajki, wprawiająca zmysły w obłąd jak konwalie i aksamitnie królewska jak róża.

– Słyszę, że się podszkoliłeś z botaniki przez kilka ostatnich dni. – Pogłodziłam go po twarzy. – To dobrze, bo lubię facetów z pędem do wiedzy.

– Botaniki to może się poduczę od farmaceutki. – Przyciągnął mnie do siebie. – A wiesz, od czego pochodzi nazwa „historia”?

Pokręciłam głową. Szczerze mówiąc, trudno mi było zebrać myśli, gdy płatek przesuwiał się między moimi piersiami.

– Od wyrazu *istoria*, czyli wiedza zdobyta przez badanie.

Staszek zaczął mnie całować, a ja po raz kolejny poczułam, jak wokół mnie zaczyna wirować świat. Wszystko się mieszało: aksamitność płatków i szorstkość jego zarostu, zapach róży i ziołowej łąki jego włosów, suchość w gardle i strużka potu na plecach, namiętna zapalczywość i łagodna czułość.

\* \* \*

Rano pierwszą myślą, która przyszła mi do głowy, było to, że po tej nocy Staszek powinien zostać doktorem nauk historycznych. A jeśli dalej będzie taki pilny, to czeka go profesura.

## Rozdział dwudziesty szósty



Kolejne dni mijały mi jak w kalejdoskopie – z każdą zrywaną z kalendarza kartką układał się nowy kolorowy obrazek: ja i Staszek na zakupach, wybierający razem szafę, my na obiedzie w Poziomce, wspólna kąpiel w wannie – szyszkowa sól do kąpieli nie będzie mi się już kojarzyła z dzieciństwem i wizytami u babci, tylko z relaksującym masażem, zaczynającym się w łazience i kończącym się w łóżku – Staszek kreślący wieczorem projekt kuchni i zajmująco opowiadający o drewnie, wspólne wyjścia do biblioteki, podczas których on wyszukiwał potrzebne mamie informacje, a ja przeglądałam stare gazety i czasopisma (nagle bardzo zaczęła mnie interesować historia Krakowa, zwłaszcza kilkudziesięciu ostatnich lat; chciałam wiedzieć, jak wyglądały miejsca, o których pisała prababcia Emilia. Szybko zainteresowały mnie także inne rubryki, zwłaszcza te poświęcone gotowaniu i urodzie. Ileż tu było interesujących informacji na temat ziół! No i oczywiście dział poświęcony kobietom – ten czytałam z największymi wypiekami na twarzy. Cóż, fakt, że urodziłam się wtedy, kiedy się urodziłam, umożliwił mi bycie tym, kim chcę. Jedynym ograniczeniem dla siebie mogłam być – i byłam – ja sama. Sto lat temu fakt bycia kobietą zawsze oznaczał zależność – od rodziny, męża, konwenansów. Szczególnie wzruszały mnie opowiadania i historie w odcinkach, w których biedne kobiety,

najczęściej te z niższych warstw społecznych, czyli służące, piastunki, pomoce, borykały się z różnymi niegodziwościami losu).

Zbliżyliśmy się do siebie ze Staszkiem. Spędzany wspólnie czas sprawiał, że poznawaliśmy się lepiej – dotyczyło to nie tylko teraźniejszości, czyli tego, jakie mieliśmy przyzwyczajenia (na przykład ja wcześniej w ogóle nie słuchałam radia, a Staszek mógłby cały dzień, pracując, spędzić przy włączonym odbiorniku; on lubił pościel z kory, ja miałam dreszcze na samą myśl, że ta chropowata faktura mogłaby dotyczyć mojej skóry; oboje bardzo lubiliśmy czytać – on literaturę faktu, ja obyczajową; Staszek nie przepadał za słodyczami, ja nie wyobrażałam sobie życia bez krówek. I śliwki w czekoladzie. I pizingera. I jeszcze wielu innych cukrowych poprawiaczy nastroju), przyszłości, czyli snucia planów, lecz – przede wszystkim – przeszłości. Powoli opowiadaliśmy sobie o naszym wcześniejszym życiu. Ja Staszкови o prababci Emilii i jej miłości do Staszka Morlaczonka, której jedynym trwałym elementem była babcia Elżbieta; o babci i zdecydowanie przedwczesnej – bo nawet przedślubnej – śmierci Tadeusza; o mamie i jej poplątanych ścieżkach, które teraz – w nieoczekiwany przeze mnie sposób – tak się prostowały. To nie były opowieści na jeden raz; powoli odkrywałam przed Staszkiem naszą rodzinną historię – za każdym razem dodawałam jakiś nowy element, obudowywałam opowieść kolejnym faktem, wspomnieniem, emocją.

Staszek rewanzował mi się swoim życiem. Ani jego szczenięce, ani późniejsze lata nie były szczęśliwe. Tym więcej szacunku i miłości do niego żywiłam, że udało mu się te bolesne doświadczenia przekuć w to, jakim teraz był człowiekiem, choć nawet wyobrazić sobie było mi trudno, jakie to musiało być dla niego obciążające.

– Tak się cieszę, Stasiu, że udało nam się spotkać – powiedziałam, kiedy szliśmy bulwarami w kierunku Skałki. Codzienne spacerowanie stały się naszym rytuałem; Staszek zawsze dużo chodził – do tej pory co prawda po górskich szlakach albo dolinach, ale podobnie jak ja miał potrzebę ruchu – żeby rozruszać ciało,

a wyciszyć myśli. – Chciałam powiedzieć, że jesteśmy jak dwie połówki, tak pisała o sobie i o swoim Staszku prababcia Emilia, ale przypomniało mi się, jak Jadzia prychnęła, że pół i pół to zawsze da jeden, za to łączenie całości to dopiero wyzwanie. Zastanawiam się nad tą różnicą zdań i myślę, że im obu chodziło o to samo, choć inaczej to ujęły – ludziom może być dobrze razem tylko wtedy, gdy jest im dobrze samym ze sobą. Gdy sami są pełnymi – czy to połówkami, czy jednościami. Już ci o tym mówiłam, ale ja od niedawna jestem taka „skończona”, w tym sensie, że już siebie poznałam, polubiłam, potrafię zajrzeć do swojego wnętrza. Mam wrażenie, że ty jesteś na podobnym etapie.

– Masz rację, choć w moim przypadku to „skończenie” dotyczy tylko mnie, bo wciąż jestem uwikłany w wydarzenia, na które nie miałem wpływu, a których efekty nie zniknęły i nie znikną.

No tak. Ojciec. Ciotka. Tu Staszek wciąż miał blokadę. Owszem, opowiadał, ale z trudem, z bólem. Nie rozumiałam, czy to wciąż niezagojona rana, czy wstyd, czy może jakiś inny powód, ale był to temat traktowany oszczędnie, a ja – za radą obu Majewskich i Jadzi – nie naciskałam. Za każdym razem deklarowałam tylko, że gdyby potrzebował, chciał – to ja jestem obok. Teraz też zapewniłam go o moim wsparciu.

– Stasiu, przeszłość nas buduje, ale nie może nam zabrać teraźniejszości i przyszłości. Pamiętaj – teraz jesteśmy my. Ja i ty – najważniejsi. Wszystko inne to tylko dodatki.

Staszek, jak zawsze zresztą, pokiwał głową, przytulił mnie. I nic nie powiedział.

\* \* \*

Mieszkanie wyglądało coraz ładniej.

Ostatnim czekającym na remont pomieszczeniem była kuchnia, a właściwie aneks kuchenny. Staszek zlikwidował ciekawą ścianę oddzielającą część jadalną od miejsca, gdzie się przygotowywało posiłki. Zamiast niej postawił murek z cegły, który przykrył

grubym jesionowym blatem, tak że powstało coś pomiędzy stołem a barem. Bardzo ładnie to wyglądało, było praktyczne – tu jadaliśmy śniadania – i jednocześnie pozwalało ukryć to, co się działo na kuchennym blacie. To znaczy teraz jeszcze nie było blatu, tylko stary pomocnik kuchenny babci, ale to się miało niebawem zmienić.

Staszek umówił się ze znajomym górale, stolarzem, że ten mu udostępni miejsce w swoim warsztacie. Pamiętałam oczywiście, że ojciec Staszka też się zajmuje, czy może: zajmował, stolarką, więc powinien mieć warsztat, ale nie poruszałam tego wątku. Skoro jest uczynny kolega, to może lepiej tak, zwłaszcza że do Myślenic zdecydowanie bliżej niż do Witowa. Staszek wyjechał we wtorek rano; miał tam zostać przez kilka dni, żeby nie kursować codziennie wte i wewte, no i w ramach podziękowania obiecał Marianowi, to znaczy temu koledze, pomoc przy jakimś zleceniu.

Początkowo było mi smutno, bo rozłąka w pierwszym okresie związku, kiedy człowiek aż unosi się nad ziemią, ponieważ tak go przepełniają emocje, to jednak przykre doświadczenie. Chciałam wciąż mieć Staszka przy sobie – zasypiać w jego objęciach i zaraz po przebudzeniu widzieć jego twarz.

– Tak mi jakoś nieswojo, kiedy nie ma go obok – zwierzyłam się Ance, do której zadzwoniłam rano, drugiego dnia jego nieobecności.

Stałam w salonie przy oknie i patrzyłam na lipy. Już kwitły. Ciężka, lepka spadz pokrywała zewnętrzny parapet okna, chodnik przed domem i zaparkowane obok auta. Waniliowo-miodowy zapach była wprost odurzający, aż zakręciło mi się w głowie i usiadłam.

– Co tak trzeszczy? – zaniepokoiła się Anka.

– Ja, to znaczy krzesło. Przysunęłam sobie do okna, bo jakoś mi się zrobiło słabo.

– A co, chora jesteś? Masz gorączkę?

– Nie, nie mam. To chyba przez te chemikalia, którymi czyszcę kredens kuchenny. Był pomalowany tak grubą warstwą lakieru, że szlifowałabym go do Bożego Narodzenia. W chemicznym niedaleko

nas facet polecił mi taką galaretkę, prawdziwy zajzajer – nakładasz, odczekujesz, a po kwadransie stara powłoka schodzi płatami, więc potem to już wystarczy drobnoziarnisty papier wziąć. Tyle tylko, że makabrycznie śmierdzi. Wietrzyłam w nocy, wietrzę od rana, ale niewiele pomaga, bo nie ma wiatru, a zapach lip, sam w sobie mocny, w połączeniu z tym środkiem daje mieszankę wybuchową.

– No to nie siedź w chałupie, idź na spacer. Takimi oparami to się można nieźle zatruć. Pamiętam, jak w podstawówce wachaliśmy butapren. Któryś z kolegów powiedział, że po nim świat wydaje się fajniejszy. O Jezu! Dobrze, że miałam tyle oleju w głowie, żeby nie włożyć łba do siatki z klejem, tylko się sztachnąć samą tubką. A i tak to odchorowałam. Głowa mnie łupała, było mi niedobrze, rzygałam tak, że wymioty w ciąży to był pikuś. No i matka na dodatek, która płakała, że ona tak się starała, a ja wyrosłam na narkomankę. Od tamtej pory nawet zapach zmywacza do paznokci jest mi przykry.

– Chyba masz rację – zgodziłam się. – Pójdę sobie nad Wisłę, trochę pospaceruję, trochę poczytam, zjem obiad i wrócę po południu, może ten zapach zdąży się ulotnić. A powiedz tylko, u ciebie, u was wszystko dobrze?

– Doskonale. Za dwa tygodnie jedziemy na wakacje. To znaczy lecimy – na Maderę. Nie ma tam upałów, słońce nas nie zmęczy, podobno dla małego dziecka jak znalazł. Tomek dostał kasę ekstra za tę fuzję firmy Maćka. A, bo ci nie powiedziałam – Maciek ma dziewczynę.

Trochę się zdziwiłam. Nawet bardzo trochę.

– Tak szybko?

– Ale jak szybko? Ta poprzednia to w zeszłym roku się zawinęła.

– No, ja myślałam o sobie – przyznałam niechętnie. Nie chodziło mi o to, że żałowałam dokonanego wyboru, to znaczy Staszka, wręcz przeciwnie, miałam nawet poczucie winy, że ten Maciek taki miły, szarmancki, zabiegający, mający dla mnie pracę – a ja nic. No ale wobec poznanych teraz faktów okazało się, że zupełnie



niepotrzebnie.

– A, no tak. Można na to spojrzeć w ten sposób – przyznała pogodnie Anka. – Wiem tylko, że ta nowa dziewczyna to jakaś jego bardzo daleka rodzina. Przyszywana kuzynka albo coś w tym stylu. Lekarka, więc się wpisuje w klimat. No i kasa zostanie w rodzinie. W sumie, to ci powiem, że lepiej się stało. Wtedy cię namawiałam, bo on mi się wydawał gwarantem normalności i uczciwości, a ty byłaś zraniona przez tego krętacza Pawła. I potem, gdy się pojawił Staszek – zauważ, że mówię Staszek, a nie Stanisław – to byłam zła, bo myślałam, że ty się pakujesz w jakieś bagno. Facet z szemraną przeszłością, śpiący kątem, u kogo się da, jakiś nieudacznik, a może i oszust, ale z czasem się do niego przekonałam. To znaczy nie osobiście, bo go nie znam, ale kiedy cię słucham... No przyznam, mogłam się pomylić. Z Maćkiem nie byłabyś tak promienna. A on – cóż, to mężczyzna, który związek traktuje tak samo jak interesy: podchodzi do niego, planując, analizując i realizując. Życzę im szczęścia, a jeśli ona jest podobna do niego, a chyba jest, tak mi Tomek powiedział, to pewnie im się uda.

Tak, pomyślałam, oni pewnie też byli całościami czy tam skończonymi połówkami, ale z zupełnie innej gliny.

– Ja też im życzę szczęścia. W ogóle ci powiem, że gdy człowiek sam jest szczęśliwy, to chciałby, żeby innym też się udawało.

– Ty to się postaraj przeżyć. Opuść te opary i idź się przewietrzyć.

– Już idę, masz rację. Mimo że stoję przy oknie, to wcale mi nie jest lepiej.

\* \* \*

Wrzuciłam do płóciennej torby książkę z biblioteczki, butelkę wody mineralnej, cienki szal i zamknęłam za sobą drzwi.

Powoli szłam w kierunku Wisły. Wciąż trudno mi było się przyzwyczaić do takiego trybu życia, gdy mogę w swobodnie dysponować swoim czasem. Wcześniej funkcjonowałam w rytm

zmian w aptece, pracowałam także w soboty i niedziele. Przez witrynę obserwowałam zmieniające się pory roku, żyłam planowanymi wyjazdami urlopowymi. Moja codzienność była poszatkowana na kawałki: praca-dom-wakacje, a między nimi jakby nic nie było, to znaczy nic wartego zapamiętania: zakupy, sprzątanie i tyle. W Krakowie życie płynęło w sposób ciągły; owszem, nie pracowałam zawodowo, ale nawet gdy już stanę za ladą Apteki Po Wieżę, to potem pójdę do Poziomki, na spacer, odwiedzę Jadzię, rano wpadnę do ulubionej piekarni, może spotkam po drodze pana Tomka, zaniosę rzeczy do wyczyszczenia do zakładu pani Florczyk... Każdy dzień będzie – tak jak jest teraz – nitką, z której będzie się nawijał kłębek mojego życia. W sposób ciągły i gładki.

Doszłam do ławki. O tej porze wybór miejsc do siedzenia był duży i na szczęście wolna była częściowo zacieniona miejscówka. Głowę schowałam w tej osłoniętej od blasku części, a nogi wystawiłam na nasłoneczniony asfalt. Napiłam się wody i wyjęłam książkę.

– Cholera jasna – syknęłam. – Ale jestem gapa.

Zamiast wziąć *Dolinę trwogi*, czyli kryminał Arthura Conana Doyle'a, którego książkami zaczytywałam się w liceum, zabrałam ze sobą tę nieszczęsną *Mitologię*. Oba egzemplarze były oprawione w szary papier – Holmes, bo już mu się okładka rozpadała, a mity – nie miałam pojęcia dlaczego, ale to był ten egzemplarz Jana Majewskiego. Jak mogłam być tak nieuważna? Wystarczyło otworzyć książkę. Nie chciało mi się wracać do domu – kwadrans w obie strony, w sumie pół godziny. Zrezygnowana z powrotem włożyłam ją do torby.

Dobry nastrój gdzieś się ulotnił. Nie chciałam myśleć o Mojrach, o dawnym życiu naszego – Majewskich – domu, z innym frontonem i mrocznymi, okropnymi wydarzeniami. Chciałam odreagować przy staroświeckim kryminale, który wobec zbioru mitów był jak urokliwa igraszka.

„Od wyroku Mojr nie było odwołania”. Męczył mnie ten, poczyniony ołówkiem, zapewne ręką Jana Majewskiego, zapisek.

Było w tym zdaniu coś złowieszczonego, okrutnego i... nieprawdziwego. Dwa miesiące temu przyjął to zdanie jak własne. Czułam się jak pacynka w rękach losu. Teraz myślałam, że to tylko formułka, która staje się albo usprawiedliwieniem dla niecných czynów, albo wymówką dla bojących się zmian.

Ból głowy nie mijał; teraz do chemicznych oparów dołączyły natarczywe myśli. Na szczęście zrobiłam się senna i miałam nadzieję, że krótka drzemka pozwoli mi się zregenerować. Rozłożyłam szal na oparciu ławki i zsunęłam się trochę, żeby wygodniej mi się odpoczywało.

Zmęczony organizm musiał się mocno odciąć od rzeczywistości, bo drzemka zmieniła się w głęboki sen. Zamiast marzenia obejrzałam jednak koszmar. Stałam przed domem na Wiślniej i patrzyłam, jak prababcia Emilia szarpie się z Janem Majewskim. On trzymał w ręku siekierę, ona własnym ciałem zasłaniał lipy. „Nie pozwolę ci ich ściąć, zniszczyłeś już prawie wszystko w moim życiu, ale ich nie dam ci dotknąć!” Krucha, delikatna, a zarazem w tym momencie przepełniona jakąś nadludzką siłą. „Losu nie zmienisz. Usunęłaś Mojry, ale to na nic. Żeby jeszcze jakieś porządne drzewa, na przykład dąb, to nie – lipy. Symbol płodności – tfu! Wszystkie jesteście takie same. Przeklinam ciebie i kolejne kobiety – będziecie samotne, zawsze samotne!”

– Dobrze się pani czuje?

Zobaczyłam nad sobą jakąś kobiecą twarz. Starszą panią musiały zaniepokoić moje zamknięte oczy i półleżąca poza, dlatego podeszła do mnie i delikatnie potrząsnęła moim ramieniem, wyrywając mnie z głębokiej fazy snu. Przez dłuższą chwilę byłam oszołomiona, nie do końca wiedząc, gdzie się znajduję.

– Ja... – Rozejrzałam się bezradnie dokoła, próbując zebrać myśli i oddzielić jawę od snu. Spojrzałam na pas rzeki, cumujący poniżej skarpy prom, przekręciłam głowę w prawo, wprost na Bazyliuszka i górujący nad nim Wawel. Kraków, 2019. – Wszystko dobrze, dziękuję. Po prostu zasnęłam.

– No to w porządku, dziecko. Bo już się przestraszyłam. Niech się

pani napije wody i jeszcze przez chwilę sobie tu spokojnie posiedzi, żeby się w głowie nie zakreśliło. Trzyma się w tym roku kanikuła i puścić nie chce. Może dziś trochę popada, bo chmury na horyzoncie, jakby się na burzę zbierało. Dobrze by było, bo trawa woła pić, a na ulicach kurz, że aż w nosie kręci. I głowę trzeba chronić od udaru, ja to mam parasolkę. – Podniosła rękę z kremowym materiałem owiniętym wokół smukłej kościanej rączki.

Pewnie zanosi ją do naprawy do tego punku niedaleko mojego domu, pomyślałam. Poczułam się lepiej. Raz jeszcze podziękowałam za zainteresowanie i obiecałam, że będę na siebie uważać.

Wyjęłam telefon z torby. Wydawało mi się, że od mojego przyścia tutaj minęło może pół godziny, tymczasem okazało się, że spędziłam na bulwarach ponad dwie godziny.

Powoli wróciłam do domu. Chciałam zostawić torbę, przepłukać twarz zimną wodą i pójść do Poziomki na obiad.

Weszłam na górę. Otworzyłam drzwi do mieszkania. Pociągnęłam nosem – w przedpokoju nic. W jadalni – również w porządku, lekko wyczuwalny zapach zielonej herbaty jaśminowej. W salonie już też prawie było dobrze, pewnie dlatego, że rzeczywiście, zaczęło zwawiej wiać; firanka delikatnie falowała.

Poszłam do łazienki, odkręciłam chłodną wodę. Orzeźwienie pomogło na ból głowy, która już mnie nie ćmiła. Wciąż jednak czułam się zmęczona.

Weszłam do salonu i usiadłam na łóżku. Dam stopom odsapnąć, nim pójdę do Poziomki. Trampki w taką pogodę to nie był dobry pomysł, stwierdziłam, oglądając spuchnięte stopy.

Położyłam się na łóżku, jedną poduszkę wykorzystując jako podparcie dla głowy. Drugą zaś podłożyłam pod nogi, żeby odciążyć żyły.

Zamknęłam oczy. Moment i idę, pomyślałam.

\* \* \*

Momenty mają różną długość. Ten – czterogodzinną. Obudził mnie huk. Przerazona otworzyłam oczy. W pierwszej chwili nie zobaczyłam nic, bo było ciemno. Czyżby zapadła już noc? Chyba niemożliwe... W tym samym momencie grzmotnęło ponownie, bardzo blisko.

Temu uderzeniu towarzyszyły cichsze, rytmiczne – to podwójne okna, obijały się – rama o ramę. Jedna firanka zaczepiła się o klamkę, druga zapamiętała furgotała.

Wstałam i podeszłam do okna. Niebo było granatowoczarne jak pióra kruka. Wiatr hulał, kołysząc mocnymi gałęziami lipy. Zrobiło się chłodno; na moich nagich ramionach pojawiła się gęsia skórka.

Zamknęłam okno, przekręcając małe mosiężne klamki, i poprawiłam firanki.

Chwilę później już lało. Krajobraz za oknem zakryła biała ściana deszczu, zupełnie jakby i po tamtej stronie ktoś powiesił firanki. Mocne, duże krople bębniły o parapet. Grzmoty raz za razem przeszywały okolicę.

Rzeczywiście, dzisiejszy nieznośny upał był ciszą przed burzą.

## Rozdział dwudziesty siódmy



Rano znowu świeciło słońce, jakby nic się nie stało. Rozsunęłam firanki i otworzyłam okno. Liście lip błyszcząły, umyte przez wczorajsze ulewne deszcze. Od chodnika ciągnął ożywczy, wilgotny chłód. Czyste dachy aut odbijały silne promienie słoneczne. Niebo było błękitne.

Przez wczorajsze nagłe zjawiska pogodowe nie poszłam ani na obiad, ani do sklepu. Zjadłam bułkę z masłem, zrobiłam sobie miętę i położyłam się spać, zasypiając wśród wałących piorunów i rytmicznego dudnienia deszczu.

Teraz moje zasoby żywieniowe prezentowały się jeszcze marniej. Miałam resztkę mleka w lodówce, ostatnią, już lekko podeschniętą, bułkę, trochę dżemu i miodu. Po śniadaniu powinnam pójść po zakupy, pomyślałam.

Czułam się już lepiej, choć nadal nie byłam w mistrzowskiej formie. Zmęczenie, gorsza forma psychiczna, wirus?... Cholera wie co. Zdecydowanie bym wolała, żeby Staszek mi towarzyszył podczas noszenia siat, ale wracał jutro, czyli w sobotę, i to po tygodniu intensywnej pracy fizycznej.

Pisaliśmy do siebie SMS-y, ja dostawałam też zdjęcia dokumentujące postęp prac nad naszą – naszą! – kuchnią. Nie chciałam go martwić swoim gorszym samopoczuciem, więc wspominałam tylko o sprawach najważniejszych – że kocham,

tęsknię i nie mogę się doczekać jego powrotu. A ten będzie podwójnie fajny, bo Staszek zrobił mi niespodziankę i na sobotni wieczór kupił nam bilety do teatru. Po spektaklu mieliśmy iść na romantyczną kolację. Może to tylko przyjemne zwieńczenie wieczoru, poprzedzające jeszcze przyjemniejszą noc, a może... Może Staszek przywiezie nie tylko nowe meble a kuchenne, lecz także coś innego? Małego, delikatnego, okrągłego, zwieńczonego błyszczącym kamieniem?...

Tak, po cichu, bardzo po cichu, miałam nadzieję, że Staszek mi się oświadczy. Jasne, byliśmy jeszcze młodą parą, zupełnie nieokrzepniętą, a teraz narzeczonym przygotowania do wesela zabierały o wiele więcej czasu, niż trwał nasz związek, ale dlaczego właściwie to miałyby mieć jakieś znaczenie? Czy trzeba się porównywać do innych? Przecież my nie byliśmy jak inni. Nasza historia to była zupełnie inna bajka.

Rozmarzyłam się na chwilę. Zawsze taka pospinana, broniąca się przed marzeniami, teraz popuściłam wodze fantazji. Owszem, można iść po prostu do teatru i po prostu na kolację, ale..., myślałam, smarując bułkę masłem. Jednak po dwóch kęsach uznałam, że podeschnięte pieczywo i zmrożone masło to średnie połączenie, zresztą emocje mną tak zakręciły, że wcale nie byłam głodna. Zrobiłam sobie zielonej herbaty i poszłam dokończyć czyszczenie przedmiotów przechowywanych w spiżarni.

Po dwóch godzinach prace były na finiszu, to znaczy powynosiłam i poodkurzałam rzeczy zgromadzone w pudłach. Schowek też wymagał doczyszczenia, bo nikt tu od dawna nie sprzątał. To pomieszczenie czekało na malowanie, więc Staszek umyje ściany, ale drewniane półki wyglądały żałośnie z czystymi kwadratowymi odciskami po kartonach i paskami zebranego wokół nich kurzu.

Nalałam wody do miednicy i zaczęłam je wycierać. Musiałam kilka razy obrócić do łazienki, żeby w końcu woda z wyżynanej ścierki zrobiła się czysta.

Bardzo z siebie dumna – Staszek na pewno też mnie pochwali – postanowiłam pójść na obiad (dwa kęsy bułki jednak nie zaspokoily

nawet niewielkiego głodu). Zrobiłam listę zakupów, żeby niczego nie zapomnieć, dzieląc ją na dwa dni – trochę przyniosę dziś, resztę jutro rano. Poszukałam lnianych toreb, włożyłam je jedna w drugą i zamknęłam za sobą drzwi.

Po porannym orzeźwieniu nie było już śladu. Nagrzane płyty chodnikowe i szare ściany budynków oddawały ciepło, powodując, że odczuwalna temperatura była jeszcze wyższa. Nasze lipy stanowiły jedyną zielenią na tym odcinku Wiślniej, więc miałam wrażenie, że oddycham samymi spalinami.

Po kwadransie byłam spocona i zadyszana. Z ulgą usiadłam przy stoliku w Poziomce.

Bardzo lubiłam to miejsce i dania wychodzące z tutejszej kuchni, choć dziś pomyślałam, że można się lepiej przygotować na upały. Ani barszcz czerwony, ani rosół mnie nie nęciły. Pierogi i dorsz też nie. Jakiś chłodnik, o – albo jeszcze lepiej – zupa owocowa, to chętnie. Po namyśle zdecydowałam się na naleśniki i kompot.

Doświadczenie uczy, że jeśli na myśl o potrawie nie cieknie ślinka, to nie będzie się jej pałaszować. I nie pałaszowałam. Nadzienie z sera wydało mi się suchawe i jakby kwaśne, a śmietana i cukier wcale nie załatwiły sprawy. Na dodatek rozboleł mnie brzuch. Jednak niewiele mi się poprawiło od wczoraj.

Westchnęłam. Szlag by to. Właśnie jutro mamy ten teatr. A po nim kolację, na której... No, nawet jeśli wyobraźnia za bardzo się rozhasała i pierścionka nie dostanę, to oglądanie spektaklu i randka przy świecach i winie, gdy w brzuchu się przelewa, to nic fajnego.

Odniosłam podziubane naleśniki i niedopity kompot do okienka. Trzeba działać, pomyślałam, opuszczając Poziomkę.

Niestety, podczas pobytu w Krakowie nie zdążyłam się jeszcze rozejrzeć za lekarzem. W Warszawie od lat miałam sprawdzoną panią doktor, którą bardzo lubiłam. Była fajnym i mądrym człowiekiem. A tu?... Najlepiej, żeby to był ktoś z polecenia. W końcu zdrowie to najcenniejsze, co mamy. Ale kogo zapytać o sugestie? Babcia korzysta z usług przychodni w Hucie, Jadzia



mówiła, że jeśli już musi, to prosi o pomoc hospicyjnego lekarza. I nagle mnie olśniło – pani Maria z apteki! Tyle lat tu mieszka. No i na pierwszy rzut, zanim jeszcze się zapiszę na ewentualną wizytę, kupię sobie coś w moim przyszłym miejscu pracy – może węgiel albo krople żołądkowe, żeby złagodzić dolegliwości. Oby to był wirus, i to jednodniowy.

Doszłam do apteki. Otworzyłam solidne drewniane drzwi i weszłam do środka. Czynne było jedno okienko, a w kolejce czekały trzy osoby. Postanowiłam więc obejrzeć półki, z nadzieją, że coś jeszcze przyjdzie mi do głowy. O, zapytam, czy mają elektrolity. Na wypadek biegunki, choć jeśli wezmę węgiel...

Przesuwałam wzrokiem po opakowaniach: pasty do zębów i płukanki do ust, nici dentystyczne i kleje do protez. Dalej pastylki na kaszel i syropy dla dorosłych, potem sekcja dla dzieci. Kolejne były tabletki przeciwbólowe – duże i małe opakowania, szybko działające, forte, z krzyżykiem i bez krzyżyka. Termometry – w sumie też powinnam kupić, nie zawsze przyłożenie ręki do czoła wystarczy. Ten zwykły będzie okej, przecież nie jestem dzieckiem. O, są nawet w kształcie zwierzątek, fajne. Testy ciążowe, plastry, zwykłe i kolorowe, banda...

Serce zaczęło mi szybciej bić i znowu zrobiło mi się niedobrze.

Dlaczego w ogóle o tym nie pomyślałam?

Zaraz, zaraz, starałam się zebrać myśli. Kiedy to powinno być? Dziś jest szesnasty, a wtedy to był... niecałe dwa tygodnie po pierwszym maja, tak, pamiętam – dwunasty, co w sumie daje trzydzieści cztery, a przecież zawsze to było jak w zegarku, co znaczy, że...

– O, dzień dobry, pani Klaro! – przywitała mnie poznana już farmaceutka. – Dziś jako klientka? Trzeba było podejść, wpuściłabym panią naszym wejściem. Co potrzeba?

– Dzień dobry. Nic takiego, trochę gardło mnie drapie, pewnie od klimatyzacji. Tymianek i podbiał wezmę. Nie chcę zawracać głowy, bo widzę, że potrzebujących sporo. – Na szczęście za mną już ustawiły się dwie osoby. Nie mogłam pozbierać myśli i zupełnie się

teraz nie nadawałam na kompana do miłej pogawędki.

– Pani Marii nie ma, wróci za kwadrans, ale gdyby chciała pani poczekać na zapleczu...

– Nie, naprawdę nie. Dziękuję bardzo i do zobaczenia niebawem.

Zgarnęłam resztę z porcelanowej tacki, miło się uśmiechnęłam i wyszłam z apteki. Przypomniało mi się, że niedaleko stąd, na końcu równoległej ulicy, jest sieciowa apteka z działem samoobsługowym. Nawet nie wiem, jak tam doszłam – nie potrafiłabym przypomnieć sobie żadnej mijanej twarzy, witryny sklepowej, niczego.

Automatyczne drzwi się rozsunęły. Weszłam do chłodnego, białego wnętrza. Na drugiej półce od okna wypatrzyłam pudełko, którego zawartość była mi potrzebna. Dla pewności wzięłam dwa opakowania. Tu na szczęście było pusto, więc szybko zapłaciłam, wrzuciłam kartoniki do torebki i skierowałam się do wyjścia.

– Proszę pani, zostawiła pani siatki! – usłyszałam głos farmaceutki.

Rzeczywiście, z tego wszystkiego zapomniałam o płóciennym zestawie zakupowym. Lodówka nadal była pusta, ale jakie to miało teraz znaczenie?

Drogę na Wiślną pokonałam w tempie godnym sprintera. Wklikałam kod do domofonu i przeskakując po dwa stopnie, wbiegłam na górę. Ręce mi się trzęsły, gdy wsuwałam klucz do zamka. Weszłam do środka i usiadłam przy stole w jadalni. Dopiero teraz poczułam, że kolana mam jak z waty.

Wpatrywałam się w drewniany wzór szachownicy: ciemny brąz i jasny brąz. Przeplatanka: tak-nie, tak-nie, tak-nie.

Podniosłam się i poszłam do kuchni, żeby nalać sobie zimnej, przegotowanej wody z czajnika. Łapczywie wypić całą szklanekę. Po chwili drugą. Jeśli mam się dowiedzieć, to nie mogę być odwodniona.

Dużo płynu naraz, nerwy – i efekt był.

Wyjęłam jedno pudełko z torebki i poszłam do łazienki. Drżącymi rękami wydobyłam z kartonika foliowe opakowanie. Przerwałam je

w zaznaczonym miejscu i teraz trzymałam w ręku białą plastikową ramkę, w której przeszły moment miał się zmienić w przyszłość. Wiele lat przyszłości.

Tak lub nie.

Trzy minuty trwały całą wieczność.

Oparłam się o umywalkę i sięgnęłam ręką w kierunku półki. Zacisnęłam w dłoni ten biały kawałek plastiku. Przez chwilę tak tkwiłam, po czym powoli otworzyłam oczy.

Tak. Tak.

Dwie kreski.

Byłam w ciąży.

## Rozdział dwudziesty ósmy



Najczęściej w życiu jest tak, że wydarzenia, które nam się przytrafiają, potrafimy szybko i jednoznacznie ocenić.

Przyjęto mnie na studia – świetnie, radość i euforia.

Rzucił mnie narzeczony – koniec świata, smutek i apatia.

Spędziłam miły wieczór z babcią – błogość i spokój.

Pogadałam z Anką – śmiech i relaks.

Idę na rozmowę o pracę – lekkie nerwy i ciekawość.

Mózg dostawał informację i razem z sercem szybko ją przerabiał na konkretną reakcję. Szybko i zgodnie.

Teraz emocje też się prędko uwolniły, ale zupełnie sprzeczne, tak jakby rozum i serce wydawały odmienne komendy. Rozum: szok, jak to możliwe? (no jednak możliwe, plany co do rozmów na temat antykoncepcji zostały w sferze planów, bo trochę jednak ufałam zegarowi hormonalnemu, a trochę – bardzo trochę – emocje brały górę); co teraz będzie, nie ma danych, żeby porównać, bo ciąży jeszcze nigdy nie przerabialiśmy, alarm, sytuacja nadzwyczajna. Serce: tak bardzo się boję, ale i tak bardzo bym chciało.

A ja siedziałam przy stole w salonie i wciąż się wpatrywałam w ten obrazek w białej ramce. Mimo że byłam farmaceutką, człowiekiem nauki, to widziałam w nim coś więcej niż pasek kontrolny i pasek zabarwiający się pod wpływem gonadotropiny kosmówkowej, czyli hormonu wydzielanego podczas ciąży.

Ten pierwszy pasek to byłam ja.

Drugi – ona, on, ono – moje dziecko. To znaczy nasze: moje i Staszka.

Niby czysta biologia, a jednak magia.

Ogromne zdziwienie, ale jeszcze większa radość.

Byłam w ciąży! Będę mamą!

To było to brakujące doświadczenie życiowe, którego nie dzieliłam z innymi Majewskimi. Teraz ja miałam sprowadzić na świat następne pokolenie.

I – co mnie tak bardzo cieszyło! – nie będę w tym doświadczeniu osamotniona, bo mam Staszka.

Poderwałam się i już wybierałam do niego numer, żeby mu przekazać, że będziemy mieli dziecko, ale nagle się rozmyśliłam. Taka wiadomość, może tylko raz w życiu podawana, a ja go zastanę przy heblarce albo wyrzynarce i będę przekrzykiwać hałas warsztatu? No nie, zdecydowanie nie! Powiem mu, gdy tylko się zjawi jutro rano. Otworzy drzwi, a ja mu się rzucę w ramiona i szepnę do ucha, że... albo nie, nic mu nie powiem, tylko wręcę tę ramkę. A jak Staszek nie będzie wiedział, o co chodzi? Przecież nie ma doświadczenia w sprawie testów ciążowych, a zepsuć taki moment pytaniem: „A co to?”, byłoby przykro. Zresztą w drzwiach to może też nie najlepsza koncepcja. Niech wejdzie, usiądzie i wtedy, na spokojnie... Może kupię jakieś wino? No jak wino, przecież w ciąży nie wolno, nawet kieliszek może źle wpłynąć na układ nerwowy tej kruszyny, zwłaszcza w pierwszym trymestrze. No to może na spacerze, nad Wisłą? Bardzo romantycznie. Aaaa! Już wiem – podczas tej kolacji! Staszek wyjmie pudełeczko z pierścionkiem, a ja – z testem ciążowym. Doskonały pomysł!

Radość wprost się ze mnie wylewała. Lęk i niepewność uleciały, zostało czyste szczęście.

Korciło mnie, żeby wykrzyczeć całemu światu, jak cudownie mnie los obdarował.

Miałam ochotę zadzwonić do mamy, babci, Anki, zbiec na dół do Jadzi, ale postanowiłam poczekać, bo przecież najpierw powinien

się dowiedzieć on – Staszek.

Po pierwszym przerażeniu nie było już śladu. Fakt, byłam ogromnie zaskoczona, bo przecież nie planowałam ciąży, to znaczy teraz jej nie planowałam, ale z drugiej strony nie zrobiłam – nie zrobiliśmy – nic, żeby jej nie było. Wiara w to, że mój organizm jest perfekcyjnie wyregulowany, więc mogę polegać na naturze, okazała się płonna. A raczej – brzemienna.

Byłam tak podekscytowana, że nie potrafiłam sobie znaleźć miejsca. To siadałam, to wstawałam. Robiłam sobie herbatę, odstawiałam ją na stolik w jadalni i, zapominając o niej, zalewałam miętę. Przekładałam książki w biblioteczkę. Poszłam do sklepu, nie zabrawszy portfela. Wróciłam na Wiślną, tym razem zostawiając na ladzie klucze.

Podśpiewywałam sobie pod nosem i uśmiechałam się do swojego odbicia w mijanych witrynach.

Po południu poszłam do Poziomki. Może silne emocje przytłumiły mdłości, ale czułam się zdecydowanie lepiej. No i dziecko powinno się dobrze odżywiać.

Wzięłam ziemniaki, surówkę z marchewki i zsiadłe mleko. Połączenie nieoczywiste, ale zdrowe.

Jedząc, wprost czułam, jak dbam o dobrostan tego kiełkującego we mnie życia.

Po obiedzie powędrowałam na bulwary. Moja ławka była pusta. Usiadłam i nakryłam głowę cienkim szalem. Założyłam okulary przeciwsłoneczne, a z torby wyciągnęłam pamiętnik prababci Emilii.

Przeglądałam jej zapiski, wzruszona i rozmarzona. W pewnym sensie historia zatoczyła koło. Osiemdziesiąt lat później w tym samym mieszkaniu zacznie się kolejne – czwarte – pokolenie Majewskich.

Ach, nie, nie Majewskich! To dziecko będzie nosić inne nazwisko – Skarłat. I będzie podwójną radością, dzieloną przez oboje rodziców.

Pogładziłam delikatny kremowy wzorek okładek. Przewróciłam

kartki na początek:

*Kiedyś obie się spotkamy. I mam nadzieję, że ta starsza powie tej młodziutkiej: Widzisz, nie trzeba się było lękać, wszystko się potoczyło tak, jak miało być.*

Tak pisała Emilia w 1939 roku – do siebie kiedyś, w odległej przyszłości.

Znów przekartkowałam pamiętnik. Ostatnie zapiski, z 1948, były przepełnione żalem i goryczą.

*Przenosimy się z Bietką na czwartą kondygnację. Teraz są tam dwa oddzielne mieszkania. My będziemy w tym, w którym wszystko się zaczęło. Niech dalej trwa, choć z bólem. Wszystko, co miałam w sercu, przelałam na te stronice. I teraz wkładam to poranione serce do szuflady.*

Och, babciu, pomyślałam wzruszona, to będzie dalej trwało. Bez bólu, radośnie. Wyjęłam serce z szuflady i nie dam go ranić. Gdybyśmy się teraz spotkały, mogłabyś mi powiedzieć: „Widzisz, nie trzeba się było lękać, wszystko się potoczyło tak, jak miało być”.

Nie lękam się, prababciu Emilio.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty



Spało mi się znakomicie. „Sen był tak lekki jak letnie poziomki”. I znowu poziomki mi się śniły – polana zalana słońcem i morze małych czerwoniutkich owoców, zwieszających się z delikatnych łądyżek. Nie chciałam ich zrywać sama; czekałam w tym śnie na Staszka, żeby i on się zachwycił pięknym widokiem.

I teraz, na jawie, też czekałam. Gdy tylko się obudziłam i sięgnęłam ręką po telefon, by sprawdzić godzinę, zobaczyłam mrugające zielone światełko – wiadomość od niego:

*Wyjeżdżam. Jadę. Gnam. Czekaj, bo tęsknię!*

No pewnie, że czekałam!

Staszek wyruszył przed ósmą, więc powinien być mniej więcej po godzinie, a wliczywszy korki, kwadrans później.

Wzięłam szybki prysznic i włożyłam ulubioną zieloną sukienkę. Na wieczór przygotowałam zestaw z Wierzyńka. Niech się na coś jeszcze przyda, zwłaszcza że za chwilę się nie wcisnę w te opięte spodnie, a na razie prezentowałam się w nich całkiem ponętnie. Mama miała rację, mówiąc że wyglądam kwitnąco. Choć sama nie zdawała sobie z tego sprawy, zorientowała się szybciej niż ja! Matki naprawdę mają szósty zmysł, jeśli idzie o ich dzieci. Miałam nadzieję, że i we mnie się obudzi ta szczególna intuicja.

Jeszcze lekko mokre włosy związałam w luźny warkocz i poszłam po pieczywo do piekarni. Wracając, wstąpiłam do sklepu po



szcypiorek i rzodkiewki.

Wyrobiłam się wprost idealnie: stół, kolorowy od zdrowego warzywno-nabiałowego śniadania, czekał już tylko na kawę (dla Staszka) i na bawarkę – dla świadomej przyszłej mamy.

Gdy nastawiałam wodę na herbatę, usłyszałam dzwonek domofonu.

Czułam się jak dziecko, które jest tak bardzo podekscytowane tajemnicą, że z trudem trzyma ją przy sobie. Gdy drzwi się otworzyły i zobaczyłam Staszka, chciałam mu od razu wykrzyknąć, że jestem w ciąży. Postanowiłam jednak trzymać się planu.

W torebce już czekało zielone pudełeczko przewiązane białą wstążeczką, kupione wczoraj w papierniku, a w nim ta radosna nowina. On pewnie będzie miał czerwone puzderko – aksamitne, wyściełane. Jasne, że udam zdziwioną; on natomiast zupełnie nie będzie musiał udawać. Och, żeby już był wieczór!

– Dzień dobry, Klaruniu.

Staszek zamknął mnie w mocnym objęciu ramion. Poczułam znajomy ziołowy zapach, którego tak mi brakowało przez ostatnie dni.

– Dobrze, że jesteś – powiedział, delikatnie mnie kołyszając.

– Jesteśmy – odpowiedziałam, uśmiechając się. – Dobrze, że razem tu jesteśmy – dodałam, myśląc o tym, jak inaczej zinterpretuje te słowa już za kilka godzin.

– Ponoć rozstania pozwalają bardziej docenić tego, za kim się tęskni, ale ja i bez tego cię doceniam, za wszystko – powiedział Staszek, siadając do stołu. – Bardzo miło jest wracać do domu.

„Dom” zabrzmiał w jego ustach jak spełnienie marzeń – bezpieczna przystań, której wszyscy potrzebują i o której wszyscy marzą.

Serce topiło mi się jak wosk. Są chwile, które pamięta się przez całe życie, a w trudniejszych momentach przywołuje się je, żeby rozpędziły czarne chmury i dały nadzieję. To będzie taki moment.

– Szafki wyjątkowo nam się udały – ciągnął Staszek. – Farba schnie, w poniedziałek przed południem Marian przywiezie

komplet i pomoże mi przy montażu. Mam nadzieję, że kuchnia ci się spodoba. – Spojrzał na mnie z uśmiechem.

– Na pewno, Stasiu. Doczekać się nie mogę. – Rozum musiał się bardzo starać, żeby utrzymać serce w ryzach; nie pamiętam, czy cokolwiek w przeszłości tak radośnie mnie poruszyło. Staralam się zachować zimną krew, ale nie do końca udawało mi się ukryć ten gejzer radości.

– Właśnie widzę, że tyle w tobie emocji. Ale oszczędzaj je, bo to tylko ostrugane i pocięte drzewo. Jak będziesz reagować, kiedy wydarzą się sprawy naprawdę ważne? – Wciąż patrzył na mnie wesoło.

Rany, co to będzie za wieczór!!!

\* \* \*

Po śniadaniu poszliśmy na spacer. Zwyczajowa trasa, bulwarami do Jubilata i Plantami do domu. Niespiesznie, przytuleni, objęci.

Z rozczeniem przyglądałam się parom starszych ludzi. Pochylona głowa przy pochylonej głowie, ramię w staromodnej bluzce przy ramieniu w starannie odprasowanej koszuli; szczupła dłoń z pigmentowymi plamami trzymająca drugą – bliźniaczą; powolne, zgodne kroki, równo stawiane stopy w solidnych skórzanych butach, podzielowanych i wypastowanych.

Oczami wyobraźni ujrzałam siebie i Staszka za kilkadziesiąt lat, jak niespiesznie wędrujemy tą samą zacienioną aleją na Wiślną. Wciąż razem, ze splecionymi dłońmi i splecionym życiem.

\* \* \*

Wróciliśmy do domu. Mama Mariana była bardzo troskliwa i brała pod swoje skrzydła nie tylko mocno już dorosłego syna, lecz także jego kolegów. Staszek przyjechał z dużym słojem chłodnika i kartonowym pudełkiem wymoszczonym słomą, w której bezpiecznie leżały jajka, oczywiście wszystko z własnej hodowli.

Kupiliśmy tylko ziemniaki i koperek.

Ja zaczęłam się krzątać przy obiedzie, Staszek sprawdzał jeszcze jakiś pomiar w kuchni, żeby mieć pewność, że przy poniedziałkowym montażu nie będzie przykrej niespodzianki.

Kończyłam obieranie przedostatniego kartofla, kiedy Staszek powiedział:

– Kochanie, pójde do agencji, bo zostawiłem tam trochę swoich rzeczy, na przykład wyjściową koszulę, którą chcę włożyć dziś wieczorem. Po obiedzie wolałabym się już nie ruszać.

– Pewnie, idź. Ziemniaki będą gotowe za pół godziny, wyrobisz się?

– Jasne. Wchodzę, biorę, wychodzę. I wracam. Stęskniony nawet po kwadransie. – Pocałował mnie w usta.

– Wariat – krzyknęłam za nim.

\* \* \*

Poszłam do salonu, nakryć do obiadu.

Śniadaniowe kolory zniknęły, ale pojawił się inny akcent kolorystyczny – na środku stołu cieszył oko i nos aromatyczny bukiet piwonii. Były piękne – amarantowe, ślicznie rozkwitłe i niebiańsko pachnące. Staszek kupił mi je w kwiaciarni naprzeciwko Plant, która w taką pogodę przenosi handel na drewniane stojaki na zewnątrz. Zapach piwonii i lewkonii czuć było, zanim jeszcze zobaczyliśmy barwną plamę kwiatów przed witryną.

Zauważyłam, że Staszek zostawił na oparciu krzesła koszulę, w której przyjechał. Flanelową, roboczą, z wiórkami drewna na kołnierzu. Przyda jej się pranie po tygodniu pracy, pomyślałam, z czułością gładząc miękki materiał. Zdjęłam ją i chciałam zanieść do łazienki, kiedy zauważyłam, że z kieszonki na piersi wypadła karteczka. Schyliłam się po nią.

Czy to była intuicja? Odruch? Ciekawość? Chciałam po prostu sprawdzić, czy warto tę karteczkę odłożyć, czy może jest

zapomnianym śmieciem, który powinien powędrować prosto do kosza? Miałam przecucie, teraz podwójnie wyostrzone? Przeszłe doświadczenia kazały mi zachować czujność?

Nie wiem i teraz to już nie miało znaczenia. Wciąż i wciąż czytałam to jedno zdanie wypisane niebieskim długopisem:

*Stasiu najukochańszy, czekam na Ciebie i tęsknię. Twoja M.*

## Rozdział trzydziesty



Czy można nie wierzyć, jeśli dowód trzyma się w dłoniach?

Przez chwilę na pewno tak; rozum potrzebuje czasu, żeby się przestawić z trybu dotychczasowej pewności – on mnie przecież tak kocha! – na tryb wahanie – może to nie jego? może ja coś źle odczytałam? – aż do przyjęcia okrutnej prawdy – nie jestem jedyną kobietą w jego życiu.

Staszek – mój Staszek, w tak niezwykły sposób poznany, jakby powtórzenie historii sprzed lat. Staszek – kochający syn, dobry nauczyciel, uczciwy i zdolny człowiek. Staszek – zapewniający o swojej miłości i potwierdzający te słowa szczerym spojrzeniem. Staszek – ojciec mojego dziecka. Czy on mógłby mnie tak oszukać? Czy te wszystkie gesty, spojrzenia, słowa były kłamstwem?

A przecież był ten dręczący mnie element, niewyjaśnione, niedopowiedziane wizyty w Witowie, coś, co niby go dręczyło, ale jednak przyciągało. Zagłuszałam tę obawę, spychałam w niepamięć, uzbrajałam się w cierpliwość, żeby mi sam opowiedział, a tymczasem...

Wpatrywałam się w ładne, równe litery. Nie było w nich niepewności, wahania – ta kobieta wiedziała, czego chce, i sięgała po to. Żadna ukradkowa miłość – wprost i otwarcie deklarowane uczucia – zdaje się, że z wzajemnością. Początkowe S miało taki sam zawijas, jak końcowe M. I właśnie te filuterne ornamenciki

sprawiły, że tama pękła, a ze mnie się wylały wszystkie tłumione uczucia.

Dałam się oszukać jak ostatnia naiwna. Najwyraźniej taka była prawda o mnie – łatwowierna kretynka, która przyciąga ten typ facetów – podłych kłamców. Staszek był z nich wszystkich najgorszy. Paweł mnie zdradził, ale przynajmniej uchronił mnie przed upokarzającym poznaniem prawdy z ust osoby trzeciej lub dzięki informacji od kogoś „życzliwego”.

Maciek nie szukał „tej jedynej”, ale nie można mu było niczego zarzucić – nie chciałam ja, to zechciała inna. Motyli w brzuchu przy nim nie czułam, ale na cholerę mi motyle, jeśli facet okazał się oszustem. Zresztą żywot motyli jest krótki. Trzeba było posłuchać pierwszej rady Anki i iść za głosem rozsądku. Ale nie, ja leciałam jak ćma do światła – cud, przypadek, niezwykła historia. I jeszcze tak go żałowałam, tak mu współczułam, tak go przed wszystkimi broniłam!

Kretynka, najzwyczajniejsza kretynka. Ile mnie teraz czeka upokorzeń – powiedzieć mamie, babci, Ance, Jadzi... Znosić ich niosące pocieszenie słowa, podczas gdy na pewno każda z nich pomyśli: „Wiedziałam, że tak będzie”. To współczucie będzie nie do zniesienia, jeszcze większy wstyd mnie zaleje, jeszcze bardziej będę się nad sobą użalać.

A kiedy im powiem, że jestem w ciąży...

Rozplakałam się. I tak się długo trzymałam. Ale myśl o tym, że powtórzę samotny los innych Majewskich, kompletnie mnie osłabiła.

Siedziałam przy stole, trzęsąc się i szlochając.

Wszystko mnie bolało, nie miałam pojęcia, co robić. Uciekać, gdzieś się schować, już nigdy więcej go nie oglądać czy wręcz przeciwnie, rzucić się na niego z pięściami i zwymyślać od łajdaków? Rzucić mu tą karteczką w twarz czy spokojnie poprosić o wyjaśnienia? Udać, że mnie to nie obeszło, że dla mnie to też była drobna miłośćka, i w ten sposób oszczędzić sobie upokorzenia czy wyszlochać mu, że podeptał moje najczystsze uczucia?

Dzwonek. Najpierw myślałam, że to domofon, ale nie, to był sygnał telefonu. Przetarłam zapłakane oczy i spojrzałam na wyświetlacz – Mama/Dorota. Nie, nie odbiorę, od razu usłyszy, wyczuje, że coś się stało, a ja nie miałam teraz siły i ochoty na rozmowę.

Przeczekałam dzwonek. Za chwilę jednak mama zadzwoniła ponownie. I kolejny raz.

Nagle się przestraszyłam – jeśli mama tak się do mnie dobijała, to mogło oznaczać tylko jedno: coś się stało. To mnie trochę otrzeźwiło i na chwilę wyciągnęło z dna rozpacz.

Gdy sygnał rozbrzmiał po raz czwarty, szybko wydmuchałam nos, wzięłam głęboki oddech i przesunęłam palcem po ekranie.

– Rany, jak dobrze, że jednak odebrałaś, *sweetie!* – Mama była w wielkich emocjach, ale one – w przeciwieństwie to tego, co się we mnie telepało – były z zupełnie innej półki – to było radosne podekscytowanie. Czyli żaden dramat jej się nie przytrafił. Jednak już odebrałam, więc będę musiała wysłuchać, co tam fajnego w świecie innych, mimo że mój właśnie legł w gruzach.

– No tak... – zaczęłam, odchrząkując i z całych sił się starając nie zdradzić, że coś okropnego się właśnie wydarzyło po tej stronie światłowodów.

Na szczęście mama była całkowicie zajęta tym, z czym do mnie dzwoniła, bo zupełnie nie zwróciła uwagi na mój niemrawy ton.

– Dzwonię i dzwonię, bo muszę ci coś ważnego powiedzieć. Masz teraz chwilę?

Łatwiej było powiedzieć „tak” niż tłumaczyć, dlaczego akurat ta chwila nie jest najlepsza na błahe pogawędki.

– Tak – powiedziałam więc, starając się o neutralny ton. Oszczędne trzy litery pozwoliły go zachować.

– No to słuchaj. A najlepiej to usiądź i słuchaj, bo mam dla ciebie coś takiego, że wprost trudno w to uwierzyć.

Och, mam, nie przebijesz mnie, pomyślałam gorzko.

– No więc robię tę książkę o drugiej wojnie światowej i Polakach w Anglii, prawda? Połowa już za mną, a – przy okazji, podziękuj

Staszкови za pomoc, bardzo celne uwagi.

Zakłuło mnie w piersi. Omal znowu się nie rozplakałam.

– Mniej więcej znałam treść, bo kilkadziesiąt pierwszych stron przeczytałam, żeby zobaczyć, jak to jest napisane, nim się zdecyduję wziąć tłumaczenie, a resztę przejrzałam. Oczywiście, nie tak drobiazgowo, więc szczegóły mogły mi umknąć. I umknęły. Ale jakie! No więc dochodzę do kolejnego rozdziału – o RAF-ie, czyli o lotnictwie. Tysiąc dziewięćset czterdziesty rok, *Battle of Britain*, czyli bitwa o Anglię. Lato i jesień tego roku, starcie w powietrzu między siłami angielskimi i niemieckimi. Brytyjczykom po zaciekłych walkach udało się przerwać pasmo zwycięstw Trzeciej Rzeszy...

Boże, czy mama dzwoniła po to, żeby mi zrobić wykład? Co w tej opowieści było fascynującego albo odkrywczego? Mnie się właśnie życie z hukiem zawaliło i jeszcze muszę słuchać streszczenia wojennej historii. Chciałam się rozłączyć i wyrzucić telefon przez okno. A potem leżeć w samotności i płakać, płakać, płakać...

– Ale wcale nie było oczywiste, że tak się stanie – ciągnęła mama, przyjmując moje milczenie za skupienie ciekawego dalszej opowieści słuchacza. – Niemiecka ofensywa lotnicza miała umożliwić desant na Wyspy Brytyjskie. Rzesza chciała zniszczyć Królewskie Siły Powietrzne, zająć przestrzeń powietrzną Anglii, sparaliżować ich produkcję wojenną i gospodarkę. Niemcy mieli wtedy najlepsze lotnictwo na świecie, Anglicy nie mogli z nimi konkurować. Wiadomo było, że nie dadzą rady odeprzeć ataku. Potrzebowali wsparcia aliantów. O Polakach mieli nie najlepsze zdanie – że Niemcy rozbili ich armię, że nie znają angielskiego i latają na starych maszynach. A jednak zdecydowali się zaangażować polskich pilotów. Po kilku dniach okazało się, jak dobra to była decyzja. Zwłaszcza co do Dywizjonu 303.

Ten Dywizjon 303 lekuchno mnie wytrącił z mojego marazmu. Nawet mieliśmy taką lekturę w szkole, przypomniało mi się. Dzielni polscy piloci, którzy pokonali Niemców nad angielskim niebem. Tylko co, u licha, miało to wspólnego z mamą? I wymagało



tak pilnego kontaktu?

– Spektakularne zwycięstwo, sława i chwała. To bardzo wzruszający dla polskiego czytelnika kawałek tej książki. – Słysząc było, że mama jest poruszona. – A teraz, po tym wprowadzeniu, przechodzę do konkretnego. Otóż piloci i maszyny to jedno. Nie byłoby sukcesów, gdyby tych, rzeczywiście przestarzałych, myśliwców nie miał kto naprawić. I wśród speców od obsługi, czyli mechaników, był... Zgadniesz kto? – Mama zawiesiła głos.

Rany, skąd mam to wiedzieć?, zirytowałam się. Jestem farmaceutką, a nie historyczką. Co to za quizy? Chwilowe zainteresowanie opowieścią minęło i znowu byłam myślami przy zupełnie innej historii.

– Pojęcia nie mam – odparłam, chcąc jak najszybciej skończyć tę dziwną rozmowę.

– No to siądź. – Mama miała uroczysty ton.

Siedziałam. Zresztą co to by musiały być za wieści, żeby mnie zwalić z nóg? W tej konkurencji karteczki z koszuli nic nie pobije.

– Stanisław Morlaczonek.

– Rany! – wyrwało mi się. Nawet w obecnym stanie ducha, przy takiej rozsypce, ta wiadomość musiała zrobić na mnie wrażenie. I zrobiła.

– Właśnie! – potwierdziła mama triumfalnym tonem. – Stanisław Morlaczonek. Twój pradziadek. Mój dziadek. Ojciec babci Elżbiety.

Rzeczywiście, to była informacja, która wprawiła mnie w drżenie. Nie sądziłam, że kiedyś, gdzieś, jakoś jeszcze coś uda się nam o nim dowiedzieć.

– Bardzo mnie to poruszyło. Ale to nie koniec. Bo w trakcie prac wydawca dostał mi jeszcze jedną kolorową wkładkę ze zdjęciami. I to akurat do tego rozdziału. Wyobraź sobie, że jest w niej jego fotografia!

W tym momencie usłyszałam lekki trzask drzwi wejściowych, skrzypienie parkietu i w progu salonu stanął Staszek. Do niedawna mój Staszek Skarłat. Spojrzał, ale nie podszedł bliżej, widząc, że trzymam telefon przy uchu. Oparł się o framugę i przyglądał mi się

z uśmiechem. Serce zaczęło mi walić jak oszalałe. Za chwilę pokażę mu tę kartkę zdrady, jak zdążyłam ją nazwać, a on spuści głowę i się przyzna. Żegnaj, miłości.

– Właśnie mam ten plik otwarty w laptopie, a przed oczami jego twarz. Młody, pogodny chłopak w płóciennych spodniach i koszuli.

Podniosłam wzrok na Staszka.

– Stoi oparty o ścianę hangaru, lekko uśmiechnięty. Ciemne, błyszczące oczy, rozwiana jasna czupryna – opowiadała mama, a ja patrzyłam na Staszka naprzeciwko mnie i miałam wrażenie, że opis dotyczy właśnie jego. – Wygląda tak męsko, bardzo przystojny. Nie dziwię się, że babci Emilii serce się do niego rwało, a kolana miękły.

Jeszcze chwila, a znowu zacznę płakać, pomyślałam. I co z tego, że tak podobni, skoro jeden bohater, a drugi drań?

– No i teraz najważniejsze... – Mama zawiesiła głos.

Najważniejsze? A co jeszcze może się wydarzyć w dawno zakończonej historii? Nic. Podobnie jak w mojej. Za siódmą górą miała być baśń, a jest pustka.

– Pod tymi zdjęciami są takie króciutkie biografie. *Born, dead, pilot, mechanic* – podstawowe informacje. I przy Staszku też. Z wyjątkiem jednej. Już zadzwoniłam do wydawcy, żeby się upewnić, czy to nie błąd. Dwa dni czekałam jak na szpilkach na potwierdzenie. I już wiem, na pewno wiem.

– Co wiesz, mamo? Czego brakowało?

– Daty śmierci. Stanisław Morlaczek żyje.

Moje serce na moment się zatrzymało, a potem zaczęło trzepotać. Przymknęłam oczy, a pod powiekami zobaczyłam góry, których wierzchołki ostro się odcinały od błękitu nieba. Jaką jeszcze tajemnicę skrywają?

Zakręciło mi się w głowie, świat zaczął wirować.

A góry nade mną jak niebo, a niebo nade mną jak góry...

*Ciąg dalszy nastąpi.*

# Spis treści



[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Prolog](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)  
[Rozdział osiemnasty](#)  
[Rozdział dziewiętnasty](#)  
[Rozdział dwudziesty](#)  
[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)  
[Rozdział dwudziesty drugi](#)  
[Rozdział dwudziesty trzeci](#)  
[Rozdział dwudziesty czwarty](#)  
[Rozdział dwudziesty piąty](#)  
[Rozdział dwudziesty szósty](#)  
[Rozdział dwudziesty siódmy](#)  
[Rozdział dwudziesty ósmy](#)  
[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)  
[Rozdział trzydziesty](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © by Agnieszka Jeż, 2019  
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2019

Zdjęcia na okładce: © Lyona/Shutterstock  
Redakcja: Lena Marciniak-Cąkała / Słowne Babki  
Korekta: Agnieszka Zygmunt / Słowne Babki  
Skład i łamanie: TYPO Marek Ugorowski

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-872-8

**FILIA**

Wydawnictwo Filia  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl